

HYBRYDA

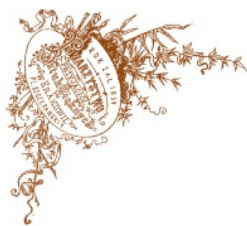
Pismo Artystyczno-Literackie Stowarzyszenia Twórczego POLART

Nr 44/2024



Krystyna Nowakowska - VINTAGE, brąz, granit, wys. 75 cm, 2013

| | |
|--|----|
| • Joanna Krupińska-Trzebiatowska Słowo od Redakcji | 3 |
| • Joanna Krupińska-Trzebiatowska Kraków pod tęczą flagą | 4 |
| • Anna Adamus-Matuszyńska Prezydent, rektor, menedżer a kwestia kobiet. Wcale nie chodzi o parytety | 7 |
| • Małgorzata Karolina Piekarska Kreatywne kobiety czyli o sile kreacji i wyobraźni | 11 |
| • Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska Międzynarodowy Festiwal Creative Woman POLART 2024 | 15 |
| XII Międzynarodowy Festiwal Związki pomiędzy kulturą Północy a Południa Schubert-Chopin-Grieg. Wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze | 17 |
| • Jacek Romański Pocztówka z Mediolanu... | 23 |
| • Wojciech Zalewski Filozofia nadziei | 27 |
| • Irena Kaczmarczyk Rozmawia z Bolesławem Faronem | 29 |
| • Marek Sołtysik Szkłanka Kopernika | 35 |
| • Andrzej Bogunia-Paczyński Wyspiander i Piromądrzyk | 42 |
| • Wacław Krupiński Jacka Zielińskiego harmonia świata | 45 |
| • Edward Kurleto Myśli nie podlegają ocenie | 51 |
| • Marcin Mielcarek Monia | 53 |
| • Krystyna Habrat Malwa | 55 |
| • Barbara Korta-Wyrzycka Balans | 57 |
| • Joanna Krupińska-Trzebiatowska Prokurator Aleks | 58 |
| • Jolanta Baziak Wiersze | 68 |
| • Bolesław Faron Wygnaniec | 69 |
| • Bolesław Faron Wiersze poetów nowosądeckich. Jerzy Trzajna | 71 |
| • Jerzy Trzajna Wiersze | 73 |
| • Ignacy Fiut W pogoni za znaczeniami słów | 75 |
| • Tadeusz Hutyra Wiersze | 76 |
| • Ferdynand Nawratil Nagroda Kowadła | 78 |
| • Wojciech Antoni Sobczyński Wycieczka po myślach i w zadumie... | 79 |



Mariusz Korkosz

Prezes Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie

Krzysztof Pałeczki i Przemysław Witek

Wiceprezisi Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie

oraz Artysta

Janusz Trzebiatowski

mają zaszczyt zaprosić na wystawę jubileuszową

70. lecia pracy twórczej

Wernisaż 6 czerwca 2024, czwartek, godz. 19.00

Górny Pałac Sztuki TPSP – Świetlica Wyspiańskiego

Wystawa czynna 5.06 – 30.06.2024

Z cyklu Rzeka, olej na płótnie, 100 x 150 cm, 2017, fragment



PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA



Od lewej: Autor Medalu XXX-lecia prof. Jerzy Nowakowski, prezes ST POLART Joanna Krupińska-Trzebiatowska i Andrzej Makuch

MEDALE XXX-LECIA ST POLART OTRZYMALI:

Wiceprezes Zarządu Stefan Dousa,
Skarbnik Franciszek Gałuszka,

Dyrektor Muzeum Żup Krakowskich
Wieliczka Jan Godłowski,

Dyrektor Muzeum Niepołomickiego
Maria Jaglarz,

Prezes Zarządu Joanna Krupińska-Trzebiatowska,

Członkowie Zarządu: Józef Lipiec, Józef Mędrała,
Marta Patena, Fotografik Andrzej Makuch,

Dyrektor Muzeum Niepodległości
w Warszawie Tadeusz Skoczek,
Prezes Honorowy POLART-u Janusz
Trzebiatowski oraz Wiceprezes Zarządu
Andrzej Ziębliński.

SŁOWO OD REDAKCJI



Szanowni Państwo,

W 44 numerze Pisma Artystyczno-Literackiego HYBRYDA odnotowujemy, jak zawsze, ważne wydarzenia z życia Stowarzyszenia Twórczego POLART, a do takich należało bez wątpienia Walne Zgromadzenie Członków, które odbyło się 4 kwietnia 2024r. w Zamku Królewskim w Niepołomicach.

Już sam fakt, że towarzyszył mu Koncert Inauguracyjny XII Międzynarodowego Festiwalu *Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy Schubert-Chopin-Grieg. Wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze* z udziałem orkiestry niemieckiej (o czym dalej), poczytujemy sobie za sukces, tym większy, że od wielu lat wnioski o wsparcie finansowe naszej festiwalowej działalności nie są uwzględniane zarówno na szczeblu lokalnym jak i rządowym. Dziwi to, bo jak powszechnie wiadomo, płyną do Polski pieniądze przeznaczone na wsparcie finansowe organizacji pozarządowych, lecz kryteria ich podziału wciąż są niejasne i budzą moc kontrowersji, zwłaszcza że decyzje odmowne nie wymagają żadnego uzasadnienia. Beneficjenci na listach pojawiają się wciąż ci sami a poczesne miejsce wśród nich zajmują Koła Gospodyń Wiejskich. I jak tu mówić o kulturze wysokiej?

Planując działania na rok 2024, liczymy siły i pieniądze, a te niestety nie spadają z nieba i gdyby nie daleko idąca współpraca zawiązana przed laty z placówkami muzealnymi i przychyłność ich kierownictwa, najprawdopodobniej niewiele udało by się nam osiągnąć. Z radością informujemy więc o narodzinach kolejnego międzynarodowego festiwalu **Creative Woman**, całkowicie nowego w zamyśle i dedykowanego wyłącznie sztuce kobiet. Zapoczątkuje go wystawa malarstwa i rzeźby siedmiu artystek należących do POLART-u – Renaty Bonczar, Teresy Chomik, Małgorzaty Mizi, Krystyny Nowakowskiej, Agaty Poloczek, Kai Soleckiej, Ewy Poradowskiej-Werszler – a o wystawie i jej idei szeroko pisze na naszych łamach dr Małgorzata Karolina Piekarska.

Wernisaż wystawy odbędzie się 27 czerwca 2024 w w Muzeum Niepodległości w Warszawie, a już jesienią będzie można oglądać ją w Muzeum Niepołomiczkim. Tam też zabrzmie muzyka stworzona przez kompozytorki, a jej wykonaniem zajmą się również kobiety. Polska pianistka Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska i niemiecka dyrygentka Rebekka Zastrow, z towarzyszeniem orkiestry Collegium Musicum bońskiego uniwersytetu, zmierzą się z koncertem fortepianowym wybitnej acz żadko wykonywanej niemieckiej kompozytorki Klary Schumann. Usłyszymy go najpierw 14 i 15 lipca w Bonn a następnie 2 października w Zamku Królewskim w Niepołomicach. Festiwal *Creative Woman* zamknie 3 października 2024 roku Koncert Finałowy w Filharmonii Krakowskiej.

Zapraszając do lektury 44 numeru Hybrydy, rekomenduję artykuły publicystyczne, a także te związane z najszerzej pojmowaną kulturą: sztuką, literaturą i muzyką. Opowiadania i fragmenty książek, wiersze wraz z opracowaniami krytycznymi, a także *novum* – słuchowisko radiowe "Szkłanka Kopernika" Marka Sołtysika.

Stanowimy forum, na którym piszemy o NAS i dla NAS.

JOANNA KRUPIŃSKA-TRZEBIATOWSKA



Marsz Równości w Krakowie. Pośrodku Aleksander Miszalski Prezydent Krakowa (Fot. Jakub Włodek)

JOANNA KRUPIŃSKA-TRZEBIATOWSKA

KRAKÓW POD TĘCZOWĄ FLAGĄ

W Krakowie, gdzie do niedawna na Rynku gromadziły się tłumy w obronie wolnych sądów, praw kobiet i społeczności LGBT, powiało wolnością.

Prezydent Krakowa Aleksander Miszalski – który udzielił nam wywiadu, gdy był jeszcze posłem (HYBRYDA nr 43/2023) – objął patronatem Marsz Równości i w przeciwieństwie do swojego poprzednika, prof. Jacka Majchrowskiego, osobiście wziął w nim udział. Pochód pod tęczową flagą z hasłami "Love is love" wyruszył w sobotę 17 maja spod Muzeum Narodowego w Krakowie i ulicami Piłsudskiego, Straszewskiego dotarł pod Wawel, by znaleźć się w drodze powrotnej na Rynku. Był to dwudziesty tego typu marsz w naszym mieście i w przeciwieństwie do poprzednich, a zwłaszcza tych pierwszych, nie wywołał aż tylu emocji, aczkolwiek pojawiło się na Facebooku wiele kontrowersyjnych wpisów, świadczących o daleko idącej polaryzacji społeczeństwa. Jej przejawem była kontrmanifestacja z symbolami Młodzieży Wszechpolskiej i Ruchu Narodowego paląca tęczową flagę, a także grupa zakonnicy z Barbarą Nowak na czele odmawiająca różaniec pod Kościołem Mariackim.

Prezydentowi towarzyszyła wywodząca się z Krakowa Ministra ds. równości Katarzyna Kotula wciąż obiecująca osobom LGBT zmiany w prawie, a także wiceminister nauki Maciej Gdula. Nie mogło zabraknąć Roberta Biedronia od lat walczącego o legalizację związków partnerskich uznawanych nawet w krajach tak katolickich, jak Irlandia, Malta czy Grecja.

Trzeba przypomnieć, że w 2019 transpłcioowość, w tym transseksualizm, zniknęły z listy zaburzeń psychicznych Światowej Organizacji Zdrowia, a WHO zobowiązała państwa członkowskie do wprowadzenia stosownych zmian w systemie opieki zdrowotnej i prawie, podkreślając, że klasyfikowanie zespołu dezaprobaty płci, to jest utożsamiania się z inną płcią niż ta, którą ma się od urodzenia, jako choroby, może powodować ogromne piętno u osób transseksualnych.

I choć wydawałoby się, że temat został zamknięty, transseksualizm i obojnactwo zostały ponownie uznane w rozporządzeniu MON i to w 2024 roku za przesłankę dyskwalifikującą z zawodowej służby wojskowej. Nadal też pozostaje kwestią otwartą i nierozwiązaną leczenie dysforii płciowej u osób transpłciowych i refundacji kosztów z tym związanych, co jest standardem w większości państw europejskich. Brak wsparcia w procesie zmiany ekspresji płciowej, na co zwróciła uwagę WHO, prowadzi w Polsce do wielu tragedii, a nawet samobójstw młodych ludzi i wymaga pilnego rozwiązania, podobnie jak znajdujący się w katastrofalnym stanie system opieki psychiatrycznej dzieci i młodzieży, a właściwie brak takiego systemu w ogóle.

Lewicy, jak na razie, nie udało się spełnić obietnic wyborczych nie tylko w zakresie praw osób LGBT, ale niestety także w zakresie dekryminalizacji aborcji, nie mówiąc już o jej legalizacji, której domagały się Polscy w wyborach 15 października 2023. Pigułka "dzień po", choć była ochłapem i tak została zawetowana przez prezydenta i nowelizacja prawa farmaceutycznego nie weszła w życie, za to w Sejmie, po przedstawieniu czterech projektów ustaw aborcyjnych, odbyła się debata publiczna, żeby nie powiedzieć wprost, że awantura, na temat podstawowych praw kobiet. Badania pokazują rosnącą frustrację kobiet, które czują się oszukane przez nową władzę, co odbiło się na frekwencji w wyborach samorządowych i nie rokuje dobrze wyborom do Parlamentu Europejskiego.

Rzecz znamienna, trzy godziny przed Marszem Równości na krakowskim Rynku pojawił się premier Donald Tusk oraz Władysław Kosiniak-Kamysz w celu upamiętnienia 80. rocznicy bitwy o Monte Cassino i chwała im za to. Obaj wystąpili dwa dni wcześniej z ostrym potępieniem zamachu na premiera Słowacji Roberta Fico, który 15 maja wstrząsnął całym cywilizowanym światem.

W tym kontekście pojawia się konieczność przeprowadzenia szybkich zmian w prawie, torpedowanych, jak wiadomo, przez prezydenta Andrzeja Dudę i pytanie, jak prezydent odniesie się do mającej pojawić się niebawem w Sejmie ustawy o mowie nienawiści, skierowanej w ostatnich latach właśnie do społeczności LGBT. Należy dążyć do uspokajania nastrojów społecznych, a nie do rozdrapywania starych ran. Wojna nikomu nie służy, ani ta tocząca się w kraju, ani ta w Ukrainie.

Słowacy otwarcie mówią, że podłożem zamachu na ich premiera była pojawiająca się na niespotykaną dotąd skalę fala hejtu. Poglądy Roberta Fico rzeczywiście wydawać się

mogą kontrowersyjne, a szczególnie jego prorosyjski stosunek do wojny toczącej się w Ukrainie i negowanie udzielanej jej przez Unię Europejską pomocy. Doktor praw, zajmujący się prawem karnym i karą śmierci, w 1999 roku założył partię SMER (Socjalna Demokracja) i w 2006 roku objął po raz pierwszy urząd premiera. W 2012 roku utworzył samodzielnie rząd, lecz już w 2018 podał się do dymisji w związku z zarzutem założenia zorganizowanej grupy przestępczej i skandalem wywołanym samobójstwem dziennikarza śledczego Jana Kuciaka, badającego powiązania SMER z mafią. Powrócił po raz trzeci w 2023 roku. Jednocześnie, znana ze swoich liberalnych poglądów Zuzanna Caputowa, która powierzyła mu utworzenie rządu, zrezygnowała z ponownego kandydowania na urząd prezydenta, właśnie z uwagi na pojawiającą się wokół niej atmosferę wrogości i nienawiści. Widoczna i w tym wypadku polaryzacja społeczeństwa, choć przebiegająca po nieco innej linii niż w Polsce, prowadzić będzie najprawdopodobniej do zmian podobnych do tych, jakie już wprowadził na Węgrzech Orban.

W Polsce przeciwnie, wydawać by się zatem mogło, że po zwycięstwie Koalicji 15 października mamy wiele powodów do radości, że daliśmy odpór autorytarnej władzy PiS. Tymczasem na środowisko sędziowskie spadła niczym grom z jasnego nieba informacja, że pojawił się wśród nich agent obcego wywiadu, należący do grupy hejterskiej Kasta albo Antykasta w Ministerstwie Sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry, atakującej na WhatsApp sędziów skupionych wokół stowarzyszenia Iustitia – Tomasz Szmydt.

I jakby tego było mało, coraz bardziej problematyczna staje się kwestia przywrócenia praworządności poprzez rozwiązanie neo KRS, zwłaszcza w świetle poprawki wprowadzonej przez Senat do nowelizacji. Zakładała, że sędziowie, którzy zostali powołani po zmianie przepisów dotyczących KRS w 2017 roku, nie będą mogli kandydować do KRS, tymczasem Senat poparł poprawkę umożliwiającą kandydowanie wszystkim sędziom, niezależnie od tego, czy weszli do KRS przed czy po 2017 roku, co nobilituje neosędziów i tzw. sędziów dublerów.

Z jednej strony stoi za nimi murem, nie kto inny, ale właśnie prezydent Andrzej Duda, a z drugiej Komisja Wenecka, która wydała opinię, że "całkowite wykluczenie neosędziów z możliwości kandydowania do KRS, pomija ich indywidualną ocenę. Sędziowie nominowani po raz pierwszy po odbyciu aplikacji sędziowskiej zostaliby pozbawieni możliwości kandydowania do KRS, mimo że nie mieli innej możliwości rozpoczęcia pracy w wymiarze sprawiedliwości".

Słychać głosy, że kandydować będą mogli, co nie znaczy, że zostaną wybrani, niemniej oburzenie jest spore, bo wszystko to po to, aby prezydent podpisał nowelizację ustawy o Krajowej Radzie Sądownictwa. Kompromis podważający sens walki, jaką toczyli Polacy i Polki o wolne sądy...

Od zwycięstwa Koalicji 15 października upłynęło sporo czasu i niestety zmian na lepsze nie widać, choć trzeba przyznać, że udało się premierowi Tuskowi doprowadzić

do odblokowania środków z KPO, a Komisja Europejska zakończyła postępowanie w sprawie naruszenia przez Polskę unijnych zasad praworządności, co stanowi przesłankę do zamknięcia procedury z artykułu 7 wobec Polski. Ale, jak ta Polska będzie się jawić na arenie międzynarodowej i w Parlamencie Europejskim z plejadą gwiazd PiS-owskich – Kamińskim i Wąsikiem na czele – strach pomyśleć

Wśród kandydatów PO uwagę zwraca startujący w województwie Małopolskim dotychczasowy minister kultury Bartłomiej Henryk Sienkiewicz czy w Śląskim Borys Budka, minister aktywów państwowych. Trzecia Droga wystawiła z numerem jeden Adama Jarubasa z Błotnowoli, nikomu nieznanego tutaj, choć jest on aktualnie europoseł w grupie Europejskiej Partii Ludowej.

Niestety nie informuje się wyborców o układzie sił w Parlamencie Europejskim, ani o tym, że istnieje tam obecnie aż siedem mocno zróżnicowanych grup politycznych, z których każda liczy co najmniej 23 posłów reprezentujących co najmniej jedną czwartą państw członkowskich.

W chwili obecnej Polska posiada pięćdziesięciu dwóch posłów, z których większość, bo aż dwudziestu siedmiu należy do EKR (Grupa Konserwatystów i Reformatorów), a w tym europosłowie PiS: Adam Bielan, Joachim Brudziński, Ryszard Czarnecki, Anna Fotyga, Patryk Jaki, Danuta Kępa, była premier Beata Szydło, czy niegdyśjsza przewodnicząca Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Elżbieta Kruk.

Do EPP (Grupa Europejskiej Partii Ludowej) należy szesnastu europosłów, a w tym Magdalena Adamowicz, Krzysztof Brejza, Jerzy Buzek, Jarosław Duda, Tomasz Frankowski, Andrzej Halicki, Danuta Maria Hubner, Adam Jarubas, Ewa Kopacz czy wreszcie Janusz Lewandowski.

Siedmiu europosłów wchodzi do SiD (Grupa Postępowego Sojuszu Socjalistów i Demokratów), a między innymi Robert Biedroń oraz trzech byłych premierów Marek Belka (2004-2005), Włodzimierz Cimoszewicz (1996-1997) oraz Leszek Miller (2001-2004). Ponadto jeden poseł - Róża Grafina von Thun und Hohenstein - należy do grupy Renew(Odnówmy Europę) i jeden - Sylwia Spurek - do Zielonych.

Nie sposób wyliczyć wszystkich, warto jednak zwrócić uwagę na kogo się głosuje w kontekście jego późniejszej przynależności do europartii, a co za tym idzie roli jaką będzie pełnić w Parlamencie Europejskim.

Życzyć sobie tylko można, aby pojawił się tam ktoś obdarzony takim splendorem i charyzmą, jak nieodwołalnie odchodzący europoseł Jerzy Buzek. Wywodzący się z Solidarności Premier Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1997-2001, wybrany do Parlamentu Europejskiego w 2004 roku i jego przewodniczący w latach 2009-2012, podkreśla drogę, jaką przeszła Polska od zmian ustrojowych 1989

roku i znaczenie wejścia do NATO i Unii Europejskiej.

Nie ulega wątpliwości, że widmo pol-exsitu zostało zażegnane, lecz wicherzycieli atakujących UE wciąż nie brakuje. Atakowanie Unii Europejskiej w kontekście toczącej się za naszą wschodnią granicą wojny przypomina podcinanie gałęzi, na której się siedzi. Z drugiej strony zdumiewa zupełnie niespodziewana i niekonsultowana z rządem propozycja Andrzeja Dudy zorganizowania w Polsce dwóch szczytów "dla podkreślenia znaczenia politycznego naszej prezydencji w Unii Europejskiej: Unia Europejska – Stany Zjednoczone i drugi Unia Europejska – Ukraina".

Trudno jest nam sobie wyobrazić relacje Unii ze Stanami Zjednoczonymi w wypadku, jeśli wybory prezydenckie wygra tam Donald Trump, pamiętamy bowiem jego wypowiedź, która rozeszła się po świecie szerokim echem, że Ukraina powinna radzić sobie sama, ale widać polski prezydent doszedł do odmiennych wniosków po spotkaniu ze swoim przyjacielem 18 kwietnia 2024. Czy Trump dał się przekonać, że dalsza pomoc wojskowa dla Ukrainy, a w szczególności zatwierdzenie przez Kongres finansowania dostaw broni jest niezbędne dla przetrwania Europy, trudno zgadnąć.

Powrót do idei amerykańskiego izolacjonalizmu staje się wyraźny, a obawy, że Putin pochłonie Ukrainę i sięgnie po kolejne kraje, bynajmniej niebezpieczne, zwłaszcza że premier Donald Tusk zapowiedział budowę "Tarczy Wschód" – bezpiecznej granicy i systemu fortyfikacji. Sytuacja na całym świecie nie wydaje się stabilna i można odnieść wrażenie, że trzęsie się on w posadach.

Dość wspomnieć walki toczące się w strefie Gazy, czy rosnące napięcie na linii Chiny – Stany Zjednoczone w związku z wyborem Lai Chinga na prezydenta Tajwanu. Chiny otwarcie grożą Australijczykom i ostrzegają Londyn. Jednocześnie brytyjski minister obrony ostrzega Iran, że "świata kończy się cierpliwość". Historia dowodzi, że Linia Maginota nie zapewniła Francuzom bezpieczeństwa, a Hitlera udało się pokonać dopiero po przystąpieniu Stanów Zjednoczonych do wojny po stronie Aliantów. Z drugiej strony przekonanie Amerykanów, że nic im nie grozi, może okazać się złudne, biorąc pod uwagę, że broń atomowa leży w zasięgu ręki szaleńca.

Nie znajduję odpowiedzi na pytanie, jak należy się zachować, gdy świat balansuje nad przepaścią i jak żyć. Jedno jest pewne, że trzeba przywrócić zasadę trójpodziału władzy, standardy demokratycznego państwa, a w tym wolne sądy i wyłączyć z orzekania neo sędziów. Walka o pryncypia – prawa człowieka, a w tym prawa kobiet do stanowienia o sobie, osób LGBT, a także ludzi, a zwłaszcza kobiet i dzieci umierających na granicy – musi być konsekwentna. Pryncypia nie obronią się same.



ANNA ADAMUS-MATUSZYŃSKA

PREZYDENT, REKTOR, MENEDŻER A KWESTIA KOBIET. WCALE NIE CHODZI O PARYTETY

Trzecia dekada XXI wieku przyspiesza. Owo przyspieszenie dokonuje się dzięki coraz nowszym technologiom, które szybko przestają być nowe, ponieważ pojawiają się kolejne. Media społecznościowe są dzisiaj naturalnym elementem życia indywidualnego i społecznego, choć w tym roku najbardziej znany z nich Facebook obchodzi dopiero swoje dwudzieste urodziny. Więc gdyby był człowiekiem i obywatelem USA, to nadal nie mógłby kupić butelki piwa w pubie.

ChatGPT pod koniec 2022 roku stał się narzędziem dostępnym dla każdego, kto ma dostęp do internetu. Jest więc jeszcze w okresie wczesnego dzieciństwa, choć dzisiaj w niecałe dwa lata od jego upowszechnienia stał się narzędziem powszechnie znanym, a także masowo wykorzystywanym. Jak podają źródła w 2023 roku ChatGPT miał ponad 100 milionów użytkowników. Facebook, aby osiągnąć ten wynik, potrzebował 5 lat¹. To tylko jeden przykład postępującego rozwoju technologii w XXI wieku, która bezpośrednio oddziałuje na życie społeczeństwa.

Problem jednak nie tkwi w rozwoju technologii, bo człowiek szybko uczy się z niej korzystać. Wyzwaniem są konsekwencje zmian w systemach wartości, normach kulturowych, zwyczajach i obyczajach czy nawykach zarówno tych odziedziczonych po przodkach, jak i nabytych w indywidualnym życiu każdego z nas. Te, dokonują się wolno i nie tolerują rewolucyjnych przeobrażeń. Preferują za to ewolucyjne, które choć powolne i tak postępują szybciej niż ewolucja gatunków.

Powyższy wstęp odwołujący się do stosunkowo banalnych informacji jest niezbędny jako wprowadzenie do zasadniczego tematu prezentowanych refleksji, które dotyczyć mają zagadnienia obecności kobiet w rzeczywistości społecznej, w życiu publicznym oraz w sposobie myślenia ludzi o tym, co ich otacza. Jak, po wielu badaniach i eksperymentach, wnioskował laureat nagrody Nobla Daniel Kahneman, nawet gdy możemy zweryfikować informacje docierające do naszej świadomości, to i tak kierujemy się błędami poznawczymi². Z owych heurystyk wyłaniają się między innymi nasze poglądy, opinie, stereotypy i uprzedzenia, które przekazywane

w procesach komunikowania stają się nośnikami treści mających ogromną siłę oddziaływania na emocje, wiedzę i zachowania odbiorców tych przekazów.

Przykładem powolności przemian świadomościowych była między innymi decyzja prof. dr hab. Ryszarda Koziółka, rektora Uniwersytetu Śląskiego o składzie zespołu przygotowującego wydarzenie pt. "Katopolis" inaugurujące obchody Europejskiego Miasta Nauki Katowice 2024, który składał się wyłącznie z czterech, skądinąd zasłużonych dla kultury, mężczyzn³. Opublikowanie tej informacji miało bezpośredni wpływ na powstanie ruchu kobiet w obronie ich widoczności w życiu publicznym i przyczyniło się do powstania inicjatywy „Każda jest ważna”⁴. Grupa licząca dzisiaj ponad 100 członkiń podejmuje trud sprawienia, by kobiety zarówno były dostrzegane, jak i uwzględniane w życiu publicznym. Czy odniesie na tym polu sukces? Czas pokaże.

Innym przykładem dowodzącym, że tempo zmian świadomościowych jest zbyt wolne, może być treść wywiadu, jakiego tuż po reelekcji udzielił Radiu Katowice dr Marcin Krupa, prezydent stolicy Górnego Śląska. Na pytanie czy planuje na stanowisku wiceprezydenta zatrudnić kobiety (zarówno wówczas, jak i dziś Katowice mają czterech wiceprezydentów – wyłącznie mężczyzn) powiedział między innymi: „Najgorszym elementem jestem ja sam, ponieważ prowadzę zarządzanie twardą ręką i o wiele prościej rozmawia mi się z mężczyznami niż z kobietami. Stąd ten stół jest bardziej dynamiczny i złożony z mężczyzn”⁵. Zdanie to wywołało zdziwienie jednych, zaskoczenie drugich oraz oburzenie wielu. Dzisiaj w czasach, gdy kobiety są partnerkami mężczyzn nie tylko w życiu prywatnym, ale także zawodowym i publicznym, takie słowa brzmią jak impertynencja, jakby Pan Prezydent żył w dawnych czasach, a i to trzeba się głęboko zastanowić, gdzie na świecie takie poglądy mogły być w przeszłości akceptowane.

Podobnych przykładów zapewne każda czytająca te refleksje osoba potrafi podać dużo więcej. Jednak owe dwa stanowią punkt wyjścia dla dalszych rozważań, gdyż dotyczą zachowań bardzo dobrze wykształconych mężczyzn, pod pewnymi względami osób uznanych i docenianych, których

celem zapewne nie było intencjonalne pomijanie, krzywdzenie czy niedostrzeżenie kobiet, ale ich wypowiedziane w sposób automatyczny i bezrefleksyjny (system pierwszy w teorii Kahnemana) stwierdzenia i decyzje faktycznie eliminują kobiety z publicznego życia. Temat jest tym bardziej istotny, bo skoro osoby pełniące ważne funkcje publiczne w swym myśleniu i działaniu nie dostrzegają miejsca dla kobiet, to trudno jest oczekiwać, że osoby mające mniejsze doświadczenie publiczne będą widzieć potrzebę różnorodności i włączania kobiet w procesy decyzyjne, zarządcze czy doradcze.

W książce reportażu o kobietach Solidarności, jedna z jej bohaterek - Barbara Labuda - mówi: „Kobiety tyle robiły w czasie stanu wojennego i nigdy nie było ich widać”⁶, a dalej stwierdza: „Rola kobiet nie tylko jest umniejszana. Jest zrównana z ziemią!”⁷. Sama autorka reportażu podkreśla, że jedyną osobą, która reprezentowała stronę solidarnościową podczas Okrągłego Stołu w 1989 roku była Grażyna Staniszevska. Autorka pisze wprost, że kobiety Solidarności (nie tylko one) zostały wygumkowane. Utracono pamięć o kobietach, które w latach 80. XX w. walczyły i pomagały ryzykując tak samo, jak powszechnie znani mężczyźni Solidarności.

Innym przykładem potwierdzającym niewidoczność kobiet w życiu publicznym jest tak zwana tradycyjna rodzina śląska, choć mało kto potrafi jednoznacznie zdefiniować, co to znaczy. Role w niej są jasno podzielone, kobiety opiekują się ogniskiem domowym, a mężczyźni zajmują się materialnym zabezpieczeniem tego domu (jest to oczywiście uproszczenie, ale chyba dość powszechnie nadal znane)⁸. To jednak tylko ogólne stwierdzenie. Za każdą rodziną zamieszkującą jedno z miast Górnego Śląska wije się historia kobiet, ale ta jest nieznana. Opowiada się o bohaterstwie powstańców śląskich, trudach synów i mężów wysłanych na wojnę, etosie pracy górnika czy hutnika. Brak opowieści o kobietach, które tylko z pozoru nie pracowały. I nie chodzi o to, że prowadziły gospodarstwo domowe, ale kobiety śląskich rodzin zajmowały się opieką nad starszymi osobami, pomocą sąsiedzką, działalnością charytatywną najczęściej realizowaną za pośrednictwem kościoła. One też w czasie II wojny światowej wysyłane były do niemieckich rodzin, odrywane od matek i ojców, koleżanek i kolegów, zmuszane często do ciężkiej pracy. Ale ich historie są nieznane w przeciwieństwie do wojennych losów ich dziadków, ojców czy braci.

Dzido we wspomnianej wcześniej książce zadaje pytanie o przyczynę nieobecności kobiet w historii, opowieściach czy nawet rodzinnych narracjach. Dlaczego nie ma kobiet w przekazywanej historii, skoro one zawsze były obecne w sztuce, nauce, przemyśle, a także w polityce. Jednak zawsze były tłem, anonimową grupą, służalczą wobec mężczyzn. A takich nazwisk po prostu się nie utrwała i nie pamięta.

Można przytoczyć całą listę terminów, które oddają istotę braku obecności kobiet w historii i społeczeństwie. Kobiety były i są nadal niewidoczne, niedostrzegane, wymazywane, „wygumkowane”, zapominane, wypierane, zaniechane, wykluczane, a nawet eksmitowane z pamięci. Istniały i istnieją, ale jakby nie żyły w przeszłości i nadal nie

ma ich w opowieściach z przeszłości i o teraźniejszości.

W dyskusji o miejscu kobiet w historii, sztuce, polityce, życiu publicznym i społecznym nie chodzi o to, by podkreślać, że były i są, ale by o nich myśleć, by budując zespoły, wskazując stanowiska i zadania, mieć zakodowany „gen” różnorodności. Nie chodzi wcale o parytety, choć i te są ważne, by zmuszać do podejmowania decyzji inkluzyjnych. Nie chodzi także o to, by prowadzić debaty pod tytułem „kobiety w ...”, by wykazać się, że rola kobiet reżyserem takich debat nie jest obojętna. Istotą sprawy jest, by kod kulturowy różnorodności płci i gender (choć termin różnorodność ma znacznie szersze znaczenie) był zinternalizowany, stał się naturalną normą wkomponowaną w świadomość ludzi, co pozwoli osobom takim jak prezydent czy rektor w procesie podejmowania decyzji zadać sobie pytanie: Czy zespół jest różnorodny? Czy zadziałałem/zadziałałam tak by włączyć przedstawicieli i przedstawicielki różnorodnych grup? Czy zapewniłem/łam warunki do włączania osób z odpowiednim przygotowaniem, ale niezależnie do płci, wieku czy przekonań do procesu podejmowania decyzji? Co kobiecość czy męskość lub niebinarność ma do umiejętności, kompetencji, możliwości tworzenia, podejmowania decyzji czy dokonywania wyborów?

Płeć, płciowość była i nadal jest sposobem na marginalizowanie znaczenia i roli wielu osób w konkretnych sytuacjach. Dawniej kobiety nie mogły pracować pod ziemią, choć ciężko pracowały piorąc ubrania w domu, homoseksualiści nie mogli być w armii, choć badania socjologów ujawniają, że są członkami każdej grupy społecznej i zawodowej, jednak ukrywają swoją seksualność, dzieci dawniej nie miały prawa głosu, choć ciężko pracowały, aby wesprzeć rodziny. Jakie są przyczyny tych zjawisk, dlaczego tak wiele osób nadal wyklucza niektóre grupy społeczne z życia publicznego, choć robi się to ciszej, by być w zgodzie z prawem⁹? Przecież nie ma prawa, które nakazuje zatrudnianie kobiet na stanowiska wiceprezydentów. Nie ma prawa, które rektorowi zakazuje budowania zespołu projektowego zgodnie z jego przekonaniem o kompetencjach członków.

Żyjemy w świecie, w którym wprowadzono zasady wypracowane przez heteronormatywnych mężczyzn i dla heteronormatywnych mężczyzn. To one sprawiają, że nie dostrzegamy – kobiety i mężczyźni – pewnych różnic lub owe różnice przyjmujemy jako oczywiste, nie podlegające dyskusji. A one mogą wprowadzić nas w błąd, jeśli nie zwrócimy na nie uwagi, jeśli ich nie zakwestionujemy i jeśli nie zrobimy wysiłku, aby obiektywnie spojrzeć z perspektywy płci (ang. *gender lenses*), na nasze przyzwyczajenia, rutynę, nawyki, decyzje, wybory. Dotyczy to mężczyzn, kobiet, osób *queer*, gdyż wszyscy jesteśmy społecznie uwarunkowani i widzimy zagadnienia w sposób, w jaki nas uformowano. Perspektywa płci to zbieranie danych, ich analizowanie oraz podejmowanie decyzji poprzez badanie wpływu norm kulturowych wynikających z różnorodności powszechnie i zawsze obecnej w społeczeństwach, na ich codzienność. Zagadnienie to odnosi się zarówno do mężczyzn, jak i kobiet. Odnosi się do społecznie skonstruowanych ról, naszych zachowań, naszych działań, sposobu, w jaki nawiązujemy relacje, dzielimy się

zasobami, podejmujemy decyzje, planujemy przyszłość i uczestniczymy w naszej społeczności. Korzystanie z perspektywy płci przyczynia się do synergii, znajdowania skutecznych rozwiązań problemów, lepszego zrozumienia i porozumienia. Brak takiego podejścia w poznawaniu świata jest jak próba czytania książki osobie z chorym wzrokiem. Patrzenie na świat bez okularów, to czytanie zamazanych plam, bardziej domyślanie się treści niż jej faktyczne poznawanie. Wobec różnic między ludźmi dobrze jest mieć pokorę, gdyż nigdy nie jesteśmy w stanie zrozumieć dogłębnie tego mechanizmu.

Niewidoczność kobiet obecna jest praktycznie wszędzie. Nawet w pracach uznanych socjolożek i socjologów brakuje często odrębnego rozdziału poświęconego zagadnieniom różnorodności¹⁰. Kwestia czynników determinujących zdrowie kobiet jest nadal ignorowana. Wizerunek kobiety w mediach jest wciąż stereotypowy, kobieta jest przede wszystkim matką Polką, romantyczną kobietą spełniającą aktualne kryterium piękna, jest ciałem, które albo służy zaspokajaniu seksualnych pragnień mężczyzny, albo jest środkiem prokreacji, najczęściej bez decyzyjnego udziału podmiotu - kobiety, która świadomie chce i potrafi decydować o roli tego ciała.

W poszukiwaniu odpowiedzi na omawiany problem często słychać, że to kobiety same są odpowiedzialne za swoją nieobecność w życiu społecznym, bo borykają się z dylematem pomiędzy życiem własnym, a rolami matki i opiekunki, bo odczuwają silne poczucie obowiązku, bo same poprzez własne postawy rekonstruuja nierówności. Nadal przeczytać można o powodach słabszego aktywnego udziału kobiet w biznesie wskazujących, że to im samym nie zależy na splendorze lub obawiają się porównań¹¹.

Czy rzeczywiście kobiety są winne swoim słabościom? Czy rzeczywiście to one same są przyczyną nierówności, braku aktywności i nieobecności w realnym świecie? Pytania mają charakter retoryczny, jednak dylematem jest, kto na owe pytania odpowiada. Wiele osób udzieli odpowiedzi: „tak, to one są odpowiedzialne!”, ale wiele innych zacznie krzyżeć, „nie, to nie kobiety odpowiadają za swoją niewidoczność”. Żyjemy w kulturze, która sprzyja utrwalaniu norm nieprzyjaznym obecności kobiet w realnym świecie. Na przykład, pomimo wielu starań samych kobiet, żyjemy w świecie, w którym nadal liczy się wygląd kobiety, a nie jej wiedza i kompetencje, a to przyczynia się do wzmacniania barier równościowych¹². Nadal kobiety muszą walczyć o to, by być tak dobre jak mężczyźni, tak jak musiały się z tym problemem zmagać malarki w XIX i na początku XX wieku¹³, nie wspominając o miejscu kobiet w nauce czy biznesie. Nadal kobiety postrzegane są jak osoby do prac domowych, sprzątanania, porządkowania, jak to było w Polsce przedwojennej¹⁴. Nadal kobiety są postrzegane w rolach opiekunek, nauczycielek, pielęgniarek, które mają potrzebę poświęcenia się zgodnie z „kapitałem serca”, który jest produktem społecznego wizerunku kobiety, wynikającego z zaangażowania emocjonalnego kobiet w pomoc i opiekę na różnymi grupami społecznymi mającymi szczególne potrzeby¹⁵.

Dziwić może powiązanie niewidoczności kobiet

w życiu publicznym z nowymi technologiami przyspieszającymi i dynamizującymi życie społeczne. Jednak właśnie owa żywiołowość procesów technologicznych sprawia, że argumenty racjonalne muszą zmierzyć się z zaawansowanymi akcjami dezinformacyjnymi oraz emocjonalnością reakcji odbiorców wszelkich internetowych przekazów. To emocje są w cyfrowym świecie motorem utrudniającym przebiecie się faktów do świadomości ludzi oraz hamują odchodzić od nawyków myślowych będących barierami w zrozumieniu bogactwa społecznego¹⁶. A to sprawia, że zmiany norm społecznych mogą być utrudnione, bo zatrzymywane przez tych, którzy mają dostęp do środków przekazu poprzez dysponowanie odpowiednimi narzędziami i środkami finansowymi.

Dlatego dzisiaj tak bardzo potrzebujemy herstorii, by oddać hołd tym kobietom, które były, choć nie było ich widać, które zmieniały świat, choć tak niewiele ich nazwisk znaleźć można w panteonie sław. Kobiety zostały wyparte z narracji społecznej, eksmitowane z pamięci zbiorowej, zapomniane, choć przecież one zawsze były i nadal są. Doprowadzono do ich zanikania w historii, w procesach zmian i przeobrażeń. Są nieobecne lub słabo obecne w przestrzeni politycznej, w sferze symbolicznej oraz w rzeczywistości społecznej. Są niedoreprezentowane w pamięci zbiorowej i wykluczane ze sfery symbolicznej¹⁷. Nieobecna nie oznacza nieistniejąca, nieobecna nie oznacza, że się ukrywa, nieobecna nie oznacza, że sama nie chce być widoczna. Kobieta nieobecna to kobieta, która została wymazana i wyparta ze świadomości zbiorowej. W efekcie zjawisko owego wyparcia wpłynęło i nadal wpływa na zachowania wobec kobiet, w formie szowinizmu, dyskryminacji, molestowania, mobbingu, pomniejszania ich roli czy znaczenia. Dlatego tak ważne jest, by ową niewidoczność zastąpić widocznością. Bo tylko to pomoże stopniowo zmniejszać nierówności.

Co więc jest przyczyną tych skrótowo zasygnalizowanych zjawisk? Maurice Halbwachs podkreśla, że wierzenia społeczne mają podwójny charakter. Wynikają zarówno z tradycji, jak również z poznania teraźniejszości. Jego zdaniem społeczeństwo sięga tylko po te tradycyjne idee, które będą zainteresowanie i zrozumienie ludzi współczesnych¹⁸.

Przyjmując tezę francuskiego socjologa, nieobecność kobiet także w XXI wieku szczególnie w sferze symbolicznej jest zgodna z potrzebami dzisiejszego społeczeństwa. Teza tyleż kontrowersyjna, co budząca przerażenie, że w dobie dynamicznych przemian technologicznych pozwalających na błyskawiczny dostęp do danych, można akceptować brak widoczności kobiet.

Poszukując odpowiedzi na pytanie o przyczyny niewidoczności kobiet można sięgnąć do rozważań polskiego filozofa Andrzeja Szahaja, który analizując ponowoczesność stwierdza, że „postępowi technologicznemu towarzyszy regres społeczny”¹⁹. Idąc tym tropem nasuwa się wniosek, że stanowisko prezydenta Katowic czy decyzja rektora to po prostu efekt społecznego cofania się będącego wynikiem coraz silniejszego udziału technologii w życiu ludzi pogłębiającego *de facto* nierówności, choć z pozoru wydaje się być środkiem do ich niwelowania.

Być może rację ma Zygmunt Baumann, który uważał, że „... nie ma innego sposobu osiągnięcia wyzwolenia, jak tylko podporządkować się społeczeństwu i przestrzegać norm. Nie można być wolnym wbrew społeczeństwu”²⁰. Parafrazując wypowiedź polskiego socjologa można dojść do przekonania, że kobiety albo muszą się podporządkować aktualnym normom sprzyjającym ich nieobecności, bo nie mogą być wolne wbrew oczekiwaniom społecznym, albo muszą wznieść bunt wbrew swojemu społeczeństwu ujawniając sprzeciw wobec eksmitowania ich z życia publicznego i symbolicznego? To pierwsze to trwanie w niebycie, to drugie to wzniesienie buntu, który – jak pisze sam Bauman – „jest męką niepewności związaną z nieprzewidywalnością zamiarów i zachowań innych ludzi, którzy mogą zmienić życie w piekło”²¹.

Właśnie ten kobiecy gniew wybuchł w ostatnich latach w Polsce. Aleksandra Nowak postarała się uporządkować wzburzenie Polek spowodowane przez konkretny system społeczno-polityczny w naszym kraju. Opisuje i analizuje gniew, który nie jest zabawą nastolatek, o co posadzają niektórzy zezłoszczone polskie kobiety, jest to gniew na niesprawiedliwość, gniew pozytywny, który nie jest gniewem przeciwko komuś, ale gniewem przeciwko systemowi, normom, regułom, nawykom przyczyniającym się do dyskryminacji nie tylko ze względu na płeć²².

Kobiety zawsze miały miejsce w społeczeństwie, choć wielu próbowało to miejsce im zabrać. Dzisiaj mają głos i sobie go udzielają. Dlatego kobiety zwracają uwagę na fakt, iż żyjemy szybko, bo technologie nas do tego zmuszają, a to nie zwalnia nas z obowiązku refleksji i podjęcia wysiłku zmiany nawyków i norm. Choć jest to niezwykle trudne. Przeszłość ma znaczenie dla terażniejszości, a od tego, jaką przeszłość pamiętamy zależy, jak widzimy terażniejszość. Odkrycie naszego chłopskiego pochodzenia dzięki książce pt. „Chłopki”²³, sprawiło, że wielu sięga do swych chłopskich korzeni i co więcej, głośno się tym chwali. Choć jeszcze tak niedawno przywoływanie swego wiejskiego pochodzenia nie stanowiło o dumie z własnych przodków. Powszechny dostęp do mediów poprzez technologie cyfrowe pozwala nam na komunikowanie poglądów. Niemniej warto pamiętać słowa Judith Butler: „Być zranionym przez mowę to doświadczyć utraty kontekstu, to znaczy nie wiedzieć, gdzie się jest”²⁴. Słowa, zdania, decyzje zmaterializowane w formie przekazów werbalnych i niewerbalnych zawierają treści, które „pokazują komuś jego miejsce, ale to miejsce może okazać się brakiem miejsca”²⁵. Kobiety miały, mają i będą miały swoje miejsce w sferze publicznej, symbolicznej i realnej rzeczywistości. A dzisiaj mają odwagę, chęć i narzędzia, które pozwalają im to ich miejsce zdefiniować i określić. Kobiety więc przestały być jedynie tłem w społeczeństwie. Pokazują swoją tożsamość, ujawniają swoje potrzeby, komunikują swoje kompetencje. Kobiety chcą być widoczne i wiedzą, że same muszą o to zadbać.

Przypisy:

1 <https://www.stylefactoryproductions.com/blog/chatgpt-statistics>

2 Zob. D. Kahnemna, *Pułapki myślenia. O myśleniu szybkim i wolnym*. Poznań, Media Rodzinna, 2012

3 <https://us.edu.pl/event/inauguracja-7-slaskiego-festiwalu-nauki->

katowice-oraz-europejskiego-miasta-nauki-katowice-2024/

4 <https://www.facebook.com/kazdajestwazna>

5 <https://www.radio.katowice.pl/zobacz,68316,Marcin-Krupa-komentuje-swoja-wygrana-i-niska-frekwencje-w-Katowicach.html>

6 M. Dzido, *Kobiety Solidarności. Materiały odrzucone*. Warszawa: Grupa Wydawnicza Relacja, 2023, s. 11.

7 Tamże, s. 23

8 Zapewne w pełni tradycyjna rodzina śląska już nie istnieje, zmiany społeczno-gospodarcze wpłynęły na nowe i inne role matek i ojców. Jednak w tych rozważaniach zostaje przypomniana rodzina śląska, której analizę socjologiczną znaleźć można np. w pracach Urszuli Swadźby. Zob. U. Swadźba, *Wartości – pracy, rodziny i religii – ciągłość i zmiana. Socjologiczne studium społeczności śląskich*, Katowice: Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, 2012.

9 Zob. m.in.: *Kobiety w Polsce XXI wieku*. Raport Centrum Praw Kobiet. 2020 r. https://cpk.org.pl/wp-content/uploads/2021/03/raport_ca%C5%82o%C5%9B%C4%87_cpk.pdf

10 W ważnej pracy o współczesnym społeczeństwie polskim brak przedstawienia roli kobiet a ich obecność traktowana jest marginalnie, zob. *Współczesne społeczeństwo polskie*. Praca pod red. A. Gizy, M. Sikorskiej. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN.

11 Zob. m.in.: <https://wyborcza.biz/akcjespecjalne/7,154807,29866082,wspaniale-albo-wcale-to-pulapka-w-ktora-najczesciej-wpadaja.html?disableRedirects=true>

12 Zob. R. Engeln, *Obsesja piękna. Jak kultura popularna krzywdzi dziewczynki i kobiety*. Warszawa: Grupa Wydawnicza Foksal. 2022.

13 Zob. m. in.: S. Zientek, *Polki na Montparnassie*. Warszawa: Wydawnictwo AGORA, 2021.

14 Zob. J. Kuciel-Frydryszak, *Służące do wszystkiego*. Warszawa: Marginesy, 2022.

15 Zob. A. Krasnodębska, *Zagraniczne migracje kobiet a problemy rodziny i małżeństwa*. „Roczniki Nauk Społecznych”, nr 4/2019.

16 A. Mierzyńska, *Efekt niszczący. Jak dezinformacja wpływa na nasze życie*. Warszawa: Wydawnictwo AGORA, 2022.

17 I. Desperak, *Płeć zmiany. Zjawisko transformacji w Polsce z perspektywy gender*. Łódź: Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, 2013.

18 M. Halbwachs, *Społeczne ramy pamięci*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN, 2008, s. 430 – 431.

19 A. Szahaj, *Ponowoczesność i postmodernizm dla średniozaawansowanych*. Warszawa: Wydawnictwo Naukowe PWN, 2021, s. 199.

20 Z. Bauman, *Płynna nowoczesność*. Kraków: Wydawnictwo Literackie, 2006, s. 33.

21 Tamże, s. 33.

22 A. Nowak, *Wyp***dalać!. Historia kobiecego gniewu*. Kraków: Znak Horyzont, 2024.

23 J. Kuciel-Frydryszak, *Chłopki. Opowieść o naszych babkach*. Warszawa: Wydawnictwo Marginesy, 2023.

24 J. Butler, *Walczące słowa*. Warszawa: Wydawnictwo Krytyki Politycznej, 2010, s. 12.

25 Tamże

MAŁGORZATA KAROLINA PIEKARSKA



KREATYWNE KOBIETY CZYLI O SILE KREACJI I WYOBRAŹNI

Renata Bonczar, Teresa Chomik-Kazarian, Małgorzata Mizia, Agata Poloczek-Imielińska, Kaja Solecka, Ewa Maria Poradowska-Werszler oraz Krystyna Nowakowska są związane ze Stowarzyszeniem Twórczym Polart, którego misją jest m.in. popieranie i promowanie sztuki najnowszej. Prace artystek, prezentowane w Galerii Brama Bielańska, na wystawie Kreatywne Kobiety pokazują, że mamy do czynienia z twórczyniami o różnym temperamencie i zainteresowaniach.

Renata Bonczar zaprezentowała sześć obrazów, które z jednej strony wyglądają na przypadkowo namalowane zbiory plam, ale mamy tu do czynienia z malarstwem przemyślanym. Powstało ono w sposób zarówno podświadomy, zautomatyzowany i gwałtowny jak i zaplanowany. Zdradzają to nie tylko tytuły, ale także użyte niezwykle harmonijne zestawy kolorystyczne. *Zatoka zbawienia* namalowana z użyciem brązów i ugrów, rozświetlonych żółcieniami i bielą tytanową, przypomina zatokę otoczoną skałami. Widniejący z prawej strony jasny pas dzielący obraz wprowadza do kompozycji uspokojenie. Ciemna przestrzeń po jego prawej stronie pokazuje, że zbawienie jest jasnością. Tak rozpoczynamy podróż w głąb malarstwa artystki. Podobne konsekwencje kolorystyczne zaobserwować można w obrazie *Trwanie i nadzieja*, którego szarości i brązy, pokrywające górną część, przerywa drobna kreska czerwieni. Jest to barwa, do której Renata Bonczar ma szczególne upodobanie. Widać ją na obrazie *Trwanie i nadzieja 2*, jak pęcznieje i rozrasta się gorejąc pośrodku płótna. Obecna jest też na płótnach *Powroty 1* oraz *Czerwony fort 2*. Są to zresztą obrazy pokazujące przemianę przedstawionej już symbolicznej zatoki zbawienia w coś tętniącego ogniem, być może ogniem miłości lub po prostu ogniem życia. Na to życie patrzeć trzeba z boku, jak patrzy się na sztukę. Widać to na ostatnim z prezentowanych obrazów, noszącym tytuł *Requiem dla sztuki*. Oto skały, które znamy z poprzednich obrazów, oglądamy przez uchylone drzwi, niemniej skalne od reszty. Korolowa plama zwiastuje zmianę w czerwień. Kiedy przemiana nastąpi? Wtedy, gdy wejdziemy głębiej do świata Renaty Bonczar. Jej obrazy to kwintesencja ekspresjonizmu abstrakcyjnego, ale też iluzjonizmu. A interpretacja? Cóż... obraz wart więcej niż tysiąc słów, dlatego każdy może opowiedzieć o nim swoją historię. W tym przypadku historii będzie aż sześć.

O **Teresie Chomik-Kazarian** w notce biograficznej napisano, że jest artystką, dla której „obserwacja natury jest inspiracją do tworzenia żywiołowych kompozycji o wyszukanej kolorystyce, które maluje z wielką ekspresją”. Prezentowane na wystawie sześć akrylowych obrazów, zatytułowanych *Dotyk abstrakcji*, charakteryzuje zamiłowanie artystki do czerwieni, czerni i bieli. Te kolory, dynamicznie nakładane szerokimi plamami, dominują na jej obrazach. Malarstwo Chomik-Kazarian komunikuje się z widzami językiem abstrakcji dlatego przenosi nas do świata wyobraźni, gdzie wszystko może się zdarzyć. A to, co się zdarza zależy od odbiorcy. Ekspozowane sześć płócien to pionowe kompozycje, które dotyczą abstrakcji, ale... uważne oko jest w stanie zauważyć w nich coś, co może być iluzją niezbędną człowiekowi, by

w gąszczu plam znaleźć znajomy kształt. Ale oprócz wymienionych już trzech barw w różnych odcieniach, widać na jej obrazach fragmenty stworzone z użyciem barwy żółtej. To właśnie te drobne żółcenie są czymś rozbijającym abstrakcyjne kompozycje i wprowadzającym w nie tajemniczy ruch. Dzięki nim na jednym z obrazów mamy wrażenie, że widzimy owada, na drugim ruch jego skrzydeł, a na trzecim ślad po jego locie. W tajemniczych kształtach Teresa Chomik-Kazarian skrywa zarówno przemijający czas, który sprawia, że przyroda dziś wygląda inaczej niż wyglądała wczoraj i niż będzie wyglądać jutro, jak i myśli, które podobnie jak czas stanowią ciągłą zmienną. Dlatego dziś na jej obrazach widzimy owada, a jutro stwierdzimy, że może to jednak nie owad, a... helikopter? A może owoc? Na przykład z drzewa wiadomości dobrego i złego? A może jeszcze coś innego, co dziś nie przyjdzie nam do głowy, ale jutro wraz z nastaniem nowego dnia wypełni nasze myśli. Abstrakcja zawsze rozwijała wyobraźnię widza, a proponowana przez Teresę Chomik-Kazarian robi to zarówno barwami, jak i kształtami, które jakby zatrzymanymi w kadrze ruchami pędzla wyzwalają w umyśle widza pokłady głęboko drzemiącej siły fantazji. To dzięki temu odbiorca – zgodnie z ideą sztuki nowoczesnej – sam znajduje w nich właściwe dla siebie treści i refleksje. Odkrywając przy tym, że właśnie dotknęła go... abstrakcja.

Małgorzata Mizia na wystawie prezentuje sześć obrazów, których bohaterem jest Pegaz. To mityczny skrzydlaty koń zrodzony z krwi Meduzy po uśmierceniu jej przez Perseusza. Meduza – najmłodsza z trzech Gorgon, czyli potwornych sióstr, pierwotnie była piękną. Bujnych włosów zazdrościła jej sama Atena, a uroda zwróciła uwagę Posejdona – boga mórz i jezior. Do zbliżenia między Posejdonem a Meduzą doszło w świątyni zazdrosnej Ateny, która z zemsty zamieniła bujnowłosą piękność w potwora, którego loki odtąd były kłębówiskiem węży. Meduza potrafiła swoim spojrzeniem zmieniać w kamień. Na wyprawę przeciwko potworowi wyruszył heros Perseusz, uzbrojony w specjalny, czyniący użytkownika niewidzialnym, hełm Hadesa oraz



Kaja Solecka, *Border zone*, olej na płótnie, 100x100

skrzydlate sandały. By nie zamienić się w kamień stanął tyłem do śpiącego potwora, ściął mu głowę i odleciał dzięki skrzydlatym sandałom, pozostając przy tym niewidzialnym dzięki hełmowi. Z szyi Meduzy wydostali się synowie Posejdona, wśród których był właśnie Pegaz. Skrzydlaty koń uważany jest za symbol natchnienia artystów, gdyż to uderzenie jego kopyta miało otworzyć Hippokrene, czyli źródło natchnienia na górze Helikon, będącej jedną z siedzib muz. Pegaz dotarł aż na Olimp, gdzie służył samemu Zeusowi. Obrazy Małgorzaty Mizii można interpretować jako pokazujące różne momenty z życia Pegaza: od narodzin (Pegaz czerwono-czarny), przez beztroskie dzieciństwo w okolicach źródła Pirene (Pegaz zielony), wędrówkę na Olimp z Belerofontem (Pegaz czarno-niebiesko-czerwony), służbę u Zeusa (Pegaz czerwony), aż po śmierć (Pegaz brązowy), która sprawiła, że Zeus przeniósł go na niebo jako gwiazdozbiór (niebiesko-biały). Artystka maluje bowiem swoje pegazy w ruchu, który zawsze jest symbolem następujących przemian.

Agata Poloczek-Imielińska, prezentuje na wystawie płótna pokazujące siły natury, a jednocześnie trzy żywioły – ziemię, powietrze i wodę. Jej *Jezioro Bălea*, pokazujące polodowcowe jezioro w rumuńskich Górach Fogaraskich, stanowiących część Karpat Południowych, zachwyca turkusowymi barwami tafli wody. Te same góry pokazuje płótno zatytułowane *Fogarasze*. Dwa płótna stanowiące dyptyk *Wiosna w Tatrach* pokazują z kolei najwyższe pasmo Karpat. Wszystkie cztery obrazy prezentują fascynację artystki górami, po których wędrówka zawsze stanowi symbolikę życia człowieka, gdyż wspinanie się, wejście na górę, a potem zejście z niej jest metaforą życia i jego przemijania. Oddaje też różnice pomiędzy zielonymi wzgórzami Tatr, a brunatnymi szczytami Fogarasz, leżącymi na terenie Transylwanii, gdzie być może wciąż snuje się duch Draculi. Niemiecki malarz okresu romantyzmu – Caspar David Friedrich (1774-1840) – malował potęgę gór w zderzeniu z człowiekiem. Poloczek-Imielińska pokazuje je jakby nietknięte ludzką stopą. Świadoma tego, że ten wirus, który nazywa się człowiek, nie jest w stanie w przyrodę wnieść nic, co mogłoby uczynić ją piękniejszą, bo przyroda sama z siebie jest wspaniała. Potrafi

też sama malować pejzaże, czego najlepszym dowodem jest *Widok z okna pracowni*, pokazujący chmury na niebie. Jest więc jakby utrwaleniem obrazu namalowanego przez samą przyrodę. Błękity w różnych odcieniach i biele, przez które przebija blask słońca, tworzą kompozycję niepokojącą, ale niosącą nadzieję. Jakże pasuje tu cytat z *Ody do młodości* Adama Mickiewicza (1798-1855): „Witaj jutrzeńko swobody, / Zbawienia za tobą słońce”. Z kolei *Samotne drzewo* pokazuje, jak natura walczy sama ze sobą. Gałęzie drzewa uginają się smagane wiatrem nadciągającej burzy. Ale i tu jest nadzieja w postaci mickiewiczowskiej jutrzeńki swobody, gdyż słońce rozrywa gniewne niebo. Jak długo zajmie mu opanowanie firmamentu? Artystka stosuje kontrastowe barwy, co podkreśla niepokój tego, co powinno nas w jej malarstwie niepokoić i działa kojąco wtedy, gdy ma uspokajać.

Z kolei **Kaja Solecka** to artystka skupiająca się na człowieku. Zyta Misztal v. Blechinger napisała o artystce, że jej „malarstwo kryje w sobie zarówno sensualną cielesność, jak i opowieść o naturze w wymiarze intelektualnym. Malarka pracuje z elementami geometrii oraz z symbolem, za pomocą których odnosi się zarówno do przetworzonych psychicznie zdarzeń, jak i do rozmyślań nad nimi. Ogromną rolę w jej twórczości odgrywa kolor oraz jego parametry, takie jak saturacja – subiektywna intensywność barwy czy jasność, dzięki którym artystka buduje nastrój prac¹”. Trudno się nie zgodzić z kreatorką sztuki, warto jednak spojrzeć na prace Soleckiej z innej perspektywy. Prezentowane na ekspozycji obrazy artystki to jakby dwa w jednym, gdyż kobiece akty Soleckiej pokazują ciało człowieka jako nowe podłoże do obrazu. Każda z namalowanych postaci ma bowiem na sobie nowe przedstawienie. Nie jest to jednak nawiązanie do popularnych dziś tatuaży, a stworzenie czegoś na zasadzie obrazu w obrazie. Widz patrzy zarówno na akt, jak na obraz będący przedstawieniem ciała człowieka jako wyrazu boskości natury, ale też jak na opowieść o nieograniczonych możliwościach ludzkiej wyobraźni. Bo to właśnie wyobraźnia może wyzwolić abstrakcyjne malarstwo stworzone na ludzkim ciełe, za pomocą dłuższych lub krótszych, cieńszych lub szerszych pociągnięć pędzla, a także różnego rodzaju płam. *Reflection*, czyli refleksja, pokazuje z jednej strony zadumę modelki, ale z drugiej to co jest na modelce, stanowi refleksję na temat świata i życia. Czy białe plamy namalowane nerwowymi ruchami pędzla to nie są przypadkiem zadane rany? *Vividness*, czyli po polsku plastyka, to z kolei najbardziej kolorowy z aktów Soleckiej. Świetnie pokazuje, jak żywe w kolorach plamy poprzez swój układ tworzą coś na kształt kostiumu, czyniąc plastyczne ciało odzianym w plastyczny, barwny strój. *Kudzu* to opowieść o człowieku, który jest jednocześnie leczniczą rośliną. Artystka namalowała swoją modelkę w barwach korzenia opornika łatkowatego. To roślina, której korzeń, barwy jasnobrązowej, lekko prążkowany i pokryty drobnymi wąsami, jest od wieków stosowany w medycynie m.in. do leczenia migreny. Modelka wygląda na osobę zdrowiejącą. Z kolei *Uziemienie* to obraz, którego symbolika jest wieloznaczna. To opowieść o tym, jak trudno człowiekowi oderwać się od podłoża, ale też jak często owo podłoże stanowi dla niego ratunek. Namalowana postać kuca na palcach stóp, a palcami rąk dotyka ziemi. Samo uziemienie to z reguły przewód

łączący ciało naelektryzowane z ziemią, dzięki czemu ciało oddaje lub przyjmuje odpowiednią liczbę ładunków, ulegając zubożeniu. Tu nie widać żadnego przewodu, jakby tym przewodem była modelka, której ciało ma barwę, jaką w elektryce oznacza się potencjał ujemny, czyli jest niebieskie. Czy granatowe i białe plamy na nim to elektryczne rozładowania?

Ostatnim obrazem jest *Demeter*. Grecka bogini płodności oraz matka wszystkich matek. To przedstawienie fragmentu aktu i pejzażu jednocześnie, gdyż ciało modelki tworzy krajobraz z łąką i niebem zwiastującym burzę. Namalowana postać jest świadoma swojej siły, a także siły natury, która wyraża się na ludzkim ciełe stanowiącym dla artystki źródło natchnienia na równi z otaczającą nas przyrodą.

Ewa Maria Poradowska-Werszler to artystka, która na wystawie prezentuje obrazy nie malowane, a stworzone z wełny. Zofia Gebhard, pisząc o jej twórczości, zwróciła uwagę na to, że strzyż, czyli strzyżona wełna, „ma swój kolor i brud. Brud trzeba wypłukać, a kolor zostawić albo zmienić. I przygotować do pracy, w której udział bierze gorąca woda, starte mydło, delikatny masaż i żmudne cierpliwe powtarzanie procedur obrzędu nawarstwiania i utrwalania. To uważnie kontrolowany proces twórczy, w którym – jak mówi artystka – jest miejsce na spontaniczność, ale nie na przypadek²”. Prace Poradowskiej-Werszler to opowieść o otaczającym nas świecie, w którym to, co najpiękniejsze, tworzy natura, a człowiek opowiada o tym korzystając z jej dobrodziejstw. Tym dobrodziejstwem jest wełna. A natura? W zderzeniu z nią jesteśmy *W progach wielkiego milczenia*, gdyż piękno natury zawsze zapiera dech w piersiach. Artystka tworząc swoje wełniane pejzaże przedstawia przede wszystkim znaczenie słońca, które obecne jest we wszystkich jej pracach. *Powiew miłości* pokazuje, jak jego siła budzi wszystko do życia, sprawiając, że kwiaty rozpoczynają swój taniec ku kwitnieniu. Początek i kres to zmierzch i świt naraz. Dwie pory dnia namalowane przy użyciu wełny, pokazującej zarówno barwy poranka jak i wieczoru. Słońce jest łącznikiem Między niebem a ziemią, pozwalając ziemi na czerpanie siły ze swoich promieni. Jest też symbolem trzech cnót kardynalnych, których personifikacje stanowiły legendarne córki św. Zofii: *Wiara, Nadzieja, Miłość* – święte kościoła prawosławnego i katolickiego. Poradowska-Werszler przedstawia jednak cnoty nie jako osoby, ale jako wielką siłę stanowiącą świetlistą jedność. Uświadamiając tym samym widzowi, że absolut, do którego często dąży człowiek, jest *Nieskończony, nieprzenikniony*.

Wełniane obrazy artystki to twórczość wymagająca cierpliwości i precyzji. Użycie wełny do stworzenia swoistych słonecznych pejzaży to połączenie sacrum, którego symbolem jest pokazywane na obrazach słońce, z profanum symbolizowanym przez wełnę, którą – by mogła być użyta – trzeba najpierw wyczyścić.

Krystyna Nowakowska – jedyna prezentująca prace rzeźbiarskie, zaprasza widza do świata brył, których bohaterem jest muzyka i człowiek. Jej *NOKTURN ES-DUR op.55 nr 2* to zaklęta w brąz opowieść o jednym z najśłynniejszych utworów Fryderyka Chopina (1810-1849),



Krystyna Nowakowska, "Obłąd" brąz 2018

który artysta skomponował w 1843 roku i jako jeden z dwóch zadedykował swojej uczennicy – Jane Stirling (1804-1859). Widzimy tu i fragment zapisu nutowego i emocje poruszające zarówno słuchacza, jak i towarzyszące twórcy tej zrównoważonej kompozycji inspirowanej poetyckim nastrojem nocy. Z kolei jej *Układ zmienny* to opowieść o proporcjach, pionie i poziomie, klęczeniu i staniu, leżeniu i siedzeniu. Jednym słowem o wszelkich możliwych ludzkich postawach, pozycjach i tym, jak postrzega świat – wertykalnie czy horyzontalnie? A może jeszcze inaczej? *Obłąd* to wizualizacja stanu duszy człowieka, w którego umyśle panuje chaos. Artystka wspaniale przedstawiła rozgałęziające się, niczym konary drzewa, ręce pragnące schwycić dawno straconą już głowę. Głowy nie ma również postać z kompozycji zatytułowanej *Vintage I*, przedstawiającej postać w sukni nie z tej epoki. Artystka wspaniale oddała tu samotność kogoś, kto nie idzie z modowym prądem. Głowy nie ma też *Eurydyka*. Mitologiczna piękność była żoną Orfeusza. Pewnego dnia zbierała zioła w dolinie Tempe. Zobaczył ją myśliwy Akistajos – syn Apolla, zauroczył się i zaczął ścigać. Eurydyka uciekając przed nim nadepnęła na węża, który śmiertelnie ją ukąsił. Orfeusz ubłagał bogów o zgodę na powrót ukochanej z krainy śmierci. Dostał jednak warunek, że wyjdzie z nią z podziemi, idąc pierwszy i nie oglądając się za siebie. Jednak tuż przed wyjściem na powierzchnię, gdy widać już było światło słońca, Orfeusz tak bardzo zapragnął ujrzeć twarz Eurydyki, że wbrew zakazowi odwrócił się i utracił ukochaną na zawsze. Tańcząca bezgłowa postać autorstwa Krystyny Nowakowskiej zdaje się z jednej strony kusić Orfeusza, ale też Akistajosa, a z drugiej umierać powtórnie, bo Orfeusz spojrział w jej piękną twarz. Być może kompozycja *Dobrana para* to Orfeusz i Eurydyka nim piękność została ukąszona przez węża. Mamy tu bowiem do czynienia z jedną postacią stworzoną przez połączenie dwóch. Właśnie o takim złączeniu i takiej miłości marzy każdy człowiek nieświadom, że w życiu, jak w tekście Ryszarda Riedla, „piękne są tylko chwile”.

Rzeźby Krystyny Nowakowskiej, podobnie jak wełniane obrazy Ewy Marii Poradowskiej-Werszler, wspaniale dopełniają dzieła pozostałych artystek, z których kilka w swojej twórczości nawiązywało do mitologii, pokazując, że tradycja jest wciąż obecna w sztuce, zaś kreacja często czerpie z tego, co już znamy, ale opowiada popularne historie po swojemu.

Wystawa siedmiu tak różnorodnych artystek jest wyjątkowa i zróżnicowana stylistycznie, a to oznacza, że każdy ze zwiedzających znajdzie tu coś dla siebie.

Przypisy:

¹ *XXIII Salon Sztuki Stowarzyszenia Twórczego Polart*, Warszawa 2023, s.36

2. Tamże, s. 30

IZABELA JUTRZENKA-TRZEBIATOWSKA

MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL CREATIVE WOMAN POLART 2024



Wystawą w Galerii Brama Bielańska w Warszawie rozpocznie się Międzynarodowy Festiwal Creative Woman. Celem projektu jest wzmocnienie współpracy artystycznej i kulturalnej na poziomie europejskim oraz wspieranie mobilności artystów. Szczególny nacisk położono na promocję artystek sztuk wizualnych, a także kompozytorek, których twórczość wciąż pomija się w programowaniu koncertów. W październiku przyjedzie do Krakowa orkiestra symfoniczna Collegium Musicum Bonn, aby zaprezentować m. in. *Koncert fortepianowy* Clary Schumann.

Do stworzenia tego projektu zainspirowały mnie osoby skupione wokół wiedeńskiej BYOM Academy Bernharda Kerresa, a w szczególności żywo zainteresowana promowaniem twórczości kompozytorek, nieżyjąca już gitarzystka Heike Matthiesen, związana z Archiv für Frau und Musik we Frankfurcie. Niezależnie temat ten podjęły działające w stowarzyszeniu Maria Anna Mozart Gesellschaft w Salzburgu jego prezeska i muzykolożka dr Eva Neumayr oraz skrzypaczka Susanne Hehenbeger.

Wtedy też narodził się pomysł zawiązania projektu trójstronnego, łączącego Kraków, Salzburg i Bonn. Polscy muzycy mieli prezentować twórczość polskich kompozytorek w Niemczech i Austrii, a z kolei do Polski miała przyjechać orkiestra kameralna Sindica Salzburg, a po niej młodzieżowa

WYSTAWA MALARSTWA I RZEźBY

RENATA BONCZAR, TERESA CHOMIK, MAŁGORZATA MIZIA, KRYSZYNA NOWAKOWSKA, AGATA POŁOCZEK, EWA PORADOWSKA-WERSZLER, KAJA SOLECKA

27.06.2024 – WERNISAŻ GALERIA BRAMA BIELAŃSKA MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE

08.09.2024 – WERNISAŻ MUZEUM NIEPOŁOMICKIE

KONCERT SYMFONICZNY COLLEGIUM MUSICUM BONN

REBEKKA ZASTROV – DYRYGENTKA
IZABELA JUTRZENKA-TRZEBIATOWSKA – FORTEPIAN
CLARA SCHUMANN – *KONCERT FORTEPIANOWY a-moll op. 7*
LOUISE FARRENC – *II UWERTURA ES-DUR OP. 24*
AUGUSTA HOLMÉS – *ALLEGRO FERROCE*
AMY BEACH – *SYMFONIA E-MOLL OP. 32*

14.07.2024 – UNIWERSYTET W BONN

02.10.2024 – ZAMEK KRÓLEWSKI W NIEPOŁOMICACH

03.10.2024 – FILHARMONIA KRAKOWSKA

orkiestra z Bonn. Ponieważ podjęte próby pozyskania dofinansowania na projekt unijny nie odniosły sukcesu, pozostał on na trzy lata w swoistego rodzaju zawieszaniu.

W tym roku nieoczekiwanie pojawiła się możliwość zaproszenia do Krakowa orkiestry symfonicznej Collegium Musicum Bonn, właśnie z programem wypełnionym w całości muzyką kobiet i to pod batutą dyrygentki młodego pokolenia Rebekki Zastrov. Udało się także zrealizować zaplanowaną już wówczas wystawę artystek POLART-u, o której pisze dr Małgorzata Karolina Piekarska.

Collegium Musicum zaprezentuje program najpierw w wielkiej Auli Uniwersytetu Bońskiego (14 i 15 lipca), a następnie w Zamku Królewskim w Niepołomicach (2 października) oraz w Filharmonii Krakowskiej (3 października).

Założona przez prof. Emila Platena w 1953 roku orkiestra Rheinische Friedrich-Wilhelms-Universität Bonn, działająca pod nazwą Collegium Musicum Bonn, występowała w kraju i za granicą, m.in. w Stanach Zjednoczonych, Brazylii, Nowej Zelandii, we Włoszech i Francji. Jako pierwsza orkiestra zachodniemiecka w 1966 roku odbyła *tournee* koncertowe po Rumunii. Na uwagę zasługuje także jej udział, jako jedynej orkiestry niemieckiej, w obchodach „V-Day” z okazji 50. rocznicy zakończenia II wojny światowej

w Londynie. W trasie koncertowej w Korei w 2001 roku orkiestra koncertowała zarówno w Seulu w Korei Południowej, jak i w stolicy Korei Północnej, Pjongjangu. W ostatnim czasie zespół we współpracy z chórem Collegium Musicum Bonn zrealizował oratorium *Elias* Mendelssohna w auli uniwersyteckiej, a w trzech w pełni wyprzedanych koncertach wzięło udział ponad dwustu wykonawców.

W programie festiwalowych koncertów znalazły się dzieła wybitnych kompozytorek doby romantyzmu – Louise Farrenc, Clary Schumann, Amy Beach oraz Augusty Holmès.

Dziś nazwisko Clary Wieck-Schumann wymienia się najczęściej jako żony i muzy Roberta Schumanna. Jest to o tyle krzywdzące, że w czasie gdy tych dwoje nawiązało znajomość, Robert był jeszcze zupełnie nieznanym kompozytorem, podczas gdy Clara rozpoczęła intensywną działalność koncertową jako "cudowne dziecko" w wieku jedenastu lat, odnosząc sukcesy w Paryżu i w Wiedniu. Dzięki zaangażowaniu i szerokim kontaktom ojca, również kompozytora Friedricha Wiecka, już jako nastolatka miała w pełni ugruntowaną pozycję koncertującej w całej Europie pianistki. Dzięki temu znacząco przyczyniła się do promocji twórczości zarówno przyszłego małżonka – Roberta, jak i Fryderyka Chopina oraz Johanna Brahmsa. *Koncert fortepianowy a-moll* skomponowała w wieku zaledwie czternastu lat. Miał on być prezentem dla Roberta. Prawykonanie, co znaczące, poprowadził sam Felix Mendelssohn, dyrygując orkiestrą Gewandhaus w Lipsku. Koncert jest trzyczęściowy, aczkolwiek kompozytorka starannie rozplanowała przejścia między poszczególnymi częściami, wymagając od wykonawców zagrania ich *attaca*, bez przerw na oklaski. Utwór ten wpisuje się w nurt koncertów fortepianowych w stylu *brillante*, pełnych wirtuozowskich przebiegów, a w szybkich częściach korzystających z rytmiki tanecznej. Ostatnia część koncertu przybrała formę poloneza, zmierzającego do wirtuozowskiej kody.

Louise Farrenc (1804-1875) studiowała fortepian u Ignaza Moschelesa i Johanna Nepomuka Hummla, a kompozycję w klasie Antona Reichy w Konserwatorium Paryskim. Wspólnie z małżonkiem, Artistide Farrencem, koncertowała w całej Francji. Otworzyła również oficynę wydawniczą Éditions Farrenc. Przez ponad trzydzieści lat prowadziła klasę fortepianu w konserwatorium w Paryżu. Jej *II Uwertura Es-dur op. 24* jest dziełem samodzielnym (w odróżnieniu od uwertur operowych) i charakteryzuje się dużym ładunkiem dramatycznym. Farrenc była wysoko ceniona za umiejętności orkiestracji m.in. przez Hectora Berliozę.

Podczas koncertu zabrzmiał również utwór urodzonej czterdzieści lat później w Paryżu Augusty Holmès (1847-1903). Pomimo dużych zdolności pianistycznych, jej rodzina nie zgodziła się na podjęcie przez nią studiów w Konserwatorium Paryskim. Dlatego też pobierała lekcje domowe u Mademoiselle Peyronnet oraz poznawała zasady muzyki u organisty katedry wersalskiej Henri'ego Lamberta, jednak jej mistrzem stał się César Franck. Ponieważ Holmès chciała, aby jej twórczość była traktowana poważnie,

publikowała pod pseudonimem Hermann Zenta. Stała się znana dzięki kompozycjom o politycznym wydźwięku, takim jak poematy symfoniczne *Pologne* oraz *Irlande*, a także dzięki napisanej z okazji Wystawy Światowej 1889 roku *Ode triomphale* na tysiąc dwustu wykonawców. *Allegro feroce* charakteryzuje charakter narracyjny, barwna instrumentacja i szerokoodechowe, zapadające w pamięć linie melodyczne.

Amerykańska pianistka i kompozytorka Amy Beach (1867-1944) jako cudowne dziecko podejmowała pierwsze próby kompozytorskie w wieku zaledwie czterech lat. Ta obdarzona słuchem absolutnym synestetyczka bardzo szybko zaczęła koncertować i odnosić sukcesy. Chociaż rodzinie doradzano wysłanie młodej adeptki sztuki pianistycznej do konserwatorium w Europie, nie zdecydowano się na ten krok. Beach podjęła edukację u Ernsta Perabo oraz Carla Bearmanna, który był uczniem samego Franza Liszta. Naukę teorii i kontrapunktu kontynuowała u Juniusa W. Hilla, jednak w znacznej mierze, a zwłaszcza w zakresie orkiestracji, można ją uznać za samouka. Zuwagi na status społeczny swego męża Henry'ego Harrisa Aubrey'a Beacha, ograniczyła działalność koncertową, skupiając się wyłącznie na komponowaniu. Jej *Symfonia e-moll op. 32* miała swoją premierę w 1896 roku i jest pierwszą symfonią skomponowaną i wydaną przez Amerykankę. W symfonii można usłyszeć wyraźne wpływy Antonína Dwořáka, chociaż Beach na tym etapie życia sceptycznie odnosiła się do wprowadzania do muzyki symfonicznej elementów muzyki rdzennych mieszkańców Ameryki, a także afro-amerykańskich. Źródłem inspiracji *Gaelic Symphony*, była muzyka celtycka, która szczególnego znaczenia nabrała w drugiej części (*Alla siciliana – allegro vivace*).

Każda z prezentowanych kompozytorek zmagiała się z oczekiwaniami społecznymi, które często ograniczały dostęp do edukacji i możliwości rozwoju zawodowego. W czasie małżeństwa z Robertem Schumannem Clara urodziła dziewięć dzieci, co wymusiło długi przestój w jej trasach koncertowych. Amy Beach z uwagi na presję męża musiała ograniczyć działalność do dwóch koncertów publicznych w roku. Rodzina Augusty Holmès nie wyraziła zgody na podjęcie przez nią studiów. Ale to przecież nie wszystko. Dochodziły do tego problemy z prezentowaniem na bieżąco powstających dzieł, czego przykładem jest fakt, że tylko jedna z czterech oper Holmès została wystawiona. Dziś wiele z kompozytorek pozostaje w zapomnieniu, a utwory tych, które można zaliczyć do znaczących osobowości doby romantyzmu, i tak nie znajdują miejsca w stałym repertuarze filharmonicznym. Przyszedł czas, by wreszcie o obecność twórczości kobiet-kompozytorek na estradach koncertowych zadbać.

Mam nadzieję, że zaszczytą nas Państwo swoją obecnością na koncertach 2 października w Zamku Królewskim w Niepołomicach oraz 3 października w Filharmonii Krakowskiej i wysłuchają tych nadzwyczajnych koncertów.

XII MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL ZWIĄZKI POMIĘDZY KULTURĄ POŁUDNIA A PÓŁNOCY SCHUBERT- CHOPIN- GRIEG WZAJEMNE INSPIRACJE I REZONANS W MALARSTWIE I LITERATURZE



Sinfonieorchester TH Köln, dyrygent Andreas Winnen, pianistka Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska

KONCERT INAUGURACYJNY W ZAMKU KRÓLEWSKIM W NIEPOŁOMICACH I WALNE ZGROMADZENIE CZŁONKÓW STOWARZYSZENIA POLART

Sinfonieorchester TH Köln pod batutą Andreego Winnena i Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska (fortepian) wystąpili w czwartek 4 kwietnia 2024 w Zamku Królewskim w Niepołomicach z *I Koncertem fortepianowym C-dur* Ludwiga van Beethovena i jego *II Symfonią D-dur*.

Koncert inauguracyjny XII Międzynarodowego Festiwalu "Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy Schubert–Chopin–Grieg. Wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze" został powtórzony w sobotę 6 kwietnia w Kościele św. Apostołów Piotra i Pawła w Krakowie, a zaszczycił go tam swoją obecnością Konsul Generalny Niemiec Holger Mahnicke wraz z małżonką.

Było to trzecie z kolei pojawienie się tej orkiestry w Krakowie, licząc od 2018 roku, a znakomitego niemieckiego dyrygenta czwarte. Jesienią 2018 roku Andreas Winnen przyjechał na zaproszenie ST POLART do Krakowa wraz z Sinfonieorchester TH Köln po raz pierwszy, a w programie koncertów znalazł się wówczas między innymi *Koncert fortepianowy e-moll* Fryderyka Chopina, z którym Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska wystąpiła gościnnie latem w Kolonii. W następnym roku pojawił się Winnen w Krakowie ponownie, tym razem z orkiestrą Junge Kammerphilharmonie z Fryburga i *Koncertem fortepianowym* polskiego kompozytora Franciszka Lessla, który zagrali wraz z polską pianistką w ramach tego *turne* również w Pradze.



Joanna Krupińska-Trzebiatowska oraz Andreas Winnen



Od prawej: Elżbieta Grochowska i Teresa Róg. Stoją: Joanna i Franciszek Gałuszkowie oraz Andreas Winnen

Jesienią 2023 roku, po przerwie spowodowanej pandemią, specjalizujący się w prowadzeniu orkiestr młodzieżowych znakomity pedagog a jednocześnie dyrygent powrócił do Krakowa i zagrał wraz z najmłodszym ze swoich zespołów, Bonner Jugendsinfonieorchester, *III Koncert fortepianowy* Ludwiga van Beethovena, najpierw w Zamku Królewskim w Niepołomicach, a następnego dnia wystąpił w Koncercie Jubileuszowym XXX-lecia POLART-u w Filharmonii Krakowskiej wraz z Izabelą Jutrzenka-Trzebiatowską.

Długofalowa współpraca absolwentki krakowskiej Akademii Muzycznej, występującej często wraz z niemieckimi orkiestrami Andreasa Winnena również w Bonn i Kolonii, przyciągnęła Sinfonieorchester TH Köln do Krakowa ponownie wiosną 2024 roku. Część tego zespołu zasilila jesienią 2023 roku skład bońskiej orkiestry młodzieżowej i najwyraźniej pokochała Kraków. Pretekstem do kolejnej wizyty było otwarcie dwunastej edycji Międzynarodowego Festiwalu "Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy Schubert-Chopin-Grieg. Wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze".

Już 4 kwietnia, tuż po świątach Wielkiej Nocy Andreas Winnen wystąpił w Zamku Królewskim w Niepołomicach wraz z Sinfonieorchester TH Köln z *I Koncertem fortepianowym* Ludwiga van Beethovena, który zagrała tak jak poprzednio Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska. Tym razem Sinfonieorchester TH Köln nie miała pełnego składu i jej szeregi zasilili muzycy krakowskiej orkiestry Fresco Sonare, na co dzień pracującej pod dyrekcją prof. Moniki Bachowskiej.

Koncert był zwieńczeniem dorocznego Walnego Zgromadzenia Członków Stowarzyszenia Twórczego POLART od lat odbywającego się w Zamku Królewskim w Niepołomicach w ramach współpracy zadzierżgniętej z Muzeum Niepołomicckim, gdzie począwszy od 2016 roku prezentowane były Salony Sztuki z udziałem wszystkich artystów należących do Stowarzyszenia.

Zgromadzenie zaczęło się w czwartek 4 kwietnia 2024 roku w godzinach popołudniowych, jak zwykle od stwierdzenia przez mecenasa Janusza Panka, że wymogom formalnym uczyniono zadość.

W sprawozdaniu merytorycznym przedstawionym przez prezesa Zarządu Stowarzyszenia Twórczego POLART Joannę Krupińską-Trzebiatowską wymieniono wszystkie dokonania 2023 roku, a przede wszystkim zdano relację z realizacji jedenastej edycji Międzynarodowego Festiwalu *Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy Schubert-Chopin-Grieg. Wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze*, na który złożyły się dwie wystawy: XXII Salon Sztuki POLART 2023 oraz malarstwo Ludwiga Angerera der Altere, pokazane najpierw w Muzeum Niepołomicckim, a następnie w Muzeum Niepodległości w Warszawie.

Wystawie tego znakomitego niemieckiego malarza, przedstawiciela realizmu magicznego, towarzyszyły aż

dwa koncerty w Zamku Królewskim w Niepołomicach. 10 września 2023 po wernisażu, wystąpiła z recitalem chopinowskim Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska, od wielu lat zaprzyjaźniona z malarzem, który specjalnie na tę okazję przyjechał do Niepołomic z Bawarii, a 9 października orkiestra Andreasa Winnena.

Szerszego omówienia podczas Walnego Zgromadzenia wymagał natomiast spektakularny Koncert XXX-lecia POLART-u zorganizowany 10 października 2023 w Filharmonii Krakowskiej. Skarbnik Stowarzyszenia, Franciszek Gałuszka, odnotował w sprawozdaniu finansowym, że koncert ten nie pociągnął za sobą znaczących kosztów, a w szczególności straty, która nie znajdowałaby pokrycia w zasobach POLART-u. Padło też pytanie czy podejmowanie tak wielkich wyzwań przez stuosobowe stowarzyszenie ma sens. Pominąwszy fakt, że na zasoby te składają się głównie składki członkowskie, płacone notabene sporadycznie, trzeba podkreślić, że wszelkie koszty związane z przyjazdem i akomodacją trzydziestoosobowej orkiestry pokryła strona niemiecka. Bez tego wsparcia i równoczesnej rezygnacji z honorariów przez wszystkich wykonawców biorących udział w Koncercie XXX-lecia, koncert ten by się nie odbył.

Nie należy nikomu liczyć pieniędzy ani ich zazdrościć, ale już na pierwszy rzut oka widać jak wielką wagę przykładają do naszej zachodniej granicy do kultury i wszechstronnego rozwoju młodych muzyków. Nie bez powodu otwiera się przed nimi granice, również te finansowe. Tam też popiera się działania mające na celu umocnienie zawiązanej w 2018 roku współpracy międzynarodowej z POLART-em, w ramach której młodzi Niemcy promują muzykę swojego kraju w Polsce. Wszelkie zabiegi ST POLART o pozyskanie środków finansowych na tego rodzaju działalność w naszym kraju od lat nie przynoszą efektów, pomimo że w programach kilku orkiestr prowadzonych przez Andreasa Winnena znalazły się utwory fortepianowe polskich kompozytorów: Chopina i Lessela i były wykonywane również w Niemczech.

Wracając do Międzynarodowego Festiwalu "Związki pomiędzy kulturą Południa a Północy Schubert-Chopin-Grieg. Wzajemne inspiracje i rezonans w malarstwie i literaturze" warto przypomnieć tym, którzy tego nie pamiętają, że idea festiwalu narodziła się już w 2012 roku i od samego początku zakładała szeroką wymianę międzynarodową zarówno artystów, jak i dzieł sztuki. Pojawił się też pomysł zdobywania środków w ramach projektu unijnego Kreatywna Europa.

Festiwal zapoczątkowany w 2013 roku, ciągnął się nieprzerwanie przez minione dziesięciolecie, owocując wieloma wielkimi Salonami Sztuki POLART-u z udziałem artystów polskich i zagranicznych, licznymi wystawami indywidualnym, koncertami kameralnymi i symfonicznymi, doś wymienił choćby te pod batutą Tadeusza Strugały czy Sebastiana Perłowskiego,



Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska



Konsul Generalny Niemiec Holger Mahnicke i prezes ST POLART Joanna Krupińska-Trzebiatowska

a także wydarzeniami literackimi. W latach 2016-2017 towarzyszył mu organizowany równolegle Międzynarodowy Festiwal "POLART Kraków-Warszawa-Norymberga".

O tych wszystkich, niekiedy wręcz spektakularnych dokonaniach – Stowarzyszenie nie posiada biura, sztabu wolontariuszy, ani pracowników etatowych – i o szeroko zakrojonych planach artystycznych nastawionych na promocję sztuki najnowszej, nie tylko w roku bieżącym, ale również w przyszłości, była mowa podczas Walnego Zgromadzenia Członków Stowarzyszenia Twórczego POLART w Zamku Królewskim w Niepołomicach. Zakończyło się ono zatwierdzeniem bilansu i udzieleniem Zarządowi, na wniosek Komisji Rewizyjnej, absolutorium.

Wręczono też ostatni z Medali XXX-lecia ST POLART nadwornemu fotografikowi POLART-u, Andrzejowi Makuchowi. Ostatni, bo niebawem Stowarzyszenie założone w 1990 roku będzie świętować trzydziestopięciolecie swojego istnienia, co podkreślił podczas Walnego Zgromadzenia prezes honorowy Stowarzyszenia Janusz Trzebiatowski. Ostatnim akcentem w tegorocznej działalności festiwalowej Stowarzyszenia będzie XXIII Salon Sztuki Polart 2024, z którym wrócimy jesienią do Muzeum Żup Krakowskich w Wieliczce, otwierającego swoje podwoje po remoncie. W XXIII Salonie wezmą udział również panowie, malarze, rzeźbiarze, aby ktoś nie zarzucił nam, że zostali zdominowani przez kobiety. Ale i oni mają na swoim koncie wystawy takie jak "4 X Po Mistrzowsku".

(JKT)



Andreas Winnen i Izabel Jutrzenka-Trzebiatowska

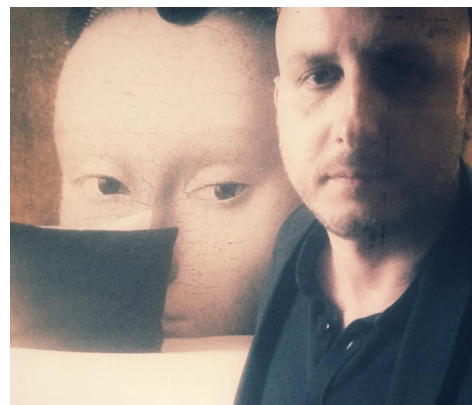


KONCERT SYMFONICZNY W KOŚCIELE ŚW. APOSTOŁÓW PIOTRA I PAWŁA



Konsul Generalny Niemiec Holger Mahnicke, Andreas Winnen, Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska

JACEK ROMAŃSKI



POCZTÓWKA Z MEDIOLANU CZYLI PRZECHADZKA PO OBRZEŻACH WIRTUALNOŚCI

Fenomen krótkich wypadów poza stałe miejsce zamieszkania znany jest mieszczaństwu prawdopodobnie od czasów starożytnych. Wyjazd poza opatrzone, hałaśliwe mury polis stanowił element kultury i do dziś wpisany jest w rytm naszego życia. Kilkanaście, kilkadziesiąt przebytych kilometrów wystarczało zazwyczaj, aby innym okiem spojrzeć na otaczający świat oraz odnaleźć chwilę wytchnienia. Początkowo był to przywilej jedynie wyższych warstw społecznych posiadających swoje majątki zarówno w obrębie miast jak i poza nimi. Szerokie połacie ziemi będące ich własnością długo nie były dostępne wszystkim, a prawo do swobodnie poruszania się po nich w celach rekreacyjnych społeczeństwa musiały sobie wywalczyć. Należy wspomnieć, że odległości i prędkość z jaką pokonywano drogę do miejsca przeznaczenia (choć często sama wędrówka była przecież celem samym w sobie), uzależniona była wstępnie od ogólnej kondycji fizycznej przemierzającego ją pieszo wędrowca. Dopiero rozwój sieci komunikacyjnej i informacyjnej, który następował od XX w. i nie tak dawno osiągnął apogeum, sprawił, że od stylu przemieszczania się wędrowców takich jak Rousseau, Wordsworth czy Rimbaud zdają się dzielić nas już nie wieki, ale lata świetlne. Wraz z rozwojem handlu ilość i jakość dróg wzrastała, wynalezienie maszyny parowej następnie samolotów skróciło czas w jakim podróż się mogła odbywać, odtąd mogliśmy poruszać się szybciej i na większe odległości¹. Obecnie żyjemy w czasach, w których możliwości podróżowania i zdobywania wiadomości o miejscach, do których się udajemy stała się bardzo prosta, niewiele jest już destynacji, od których nie dzieli nas więcej niż maksymalnie kilkanaście godzin lotu, oraz o których informacje nie byłyby dostępne w sposób prawie natychmiastowy. Weszliśmy w inny wymiar, w którym nasze możliwości pozyskiwania wiedzy, oraz zmiany lokalizacji zostały zintensyfikowane. Należy zadać jednak pytanie, czy przekłada się to bezpośrednio na rozwój naszych zdolności poznawczych? Jak funkcjonują nasze umysły posiadające akces do tylu możliwości na raz, dysponujące natychmiastowym dostępem do ogromu wiedzy zgromadzonej przez ludzkość? Czy możliwe jest dzisiaj skupienie się na tym, co istotne dla naszego własnego człowieczeństwa, skoro dostęp do odniesień kontekstów, wielość możliwości zdaje się przypominać labirynt, do którego często nie wiadomo, jak weszliśmy, nie wiemy,

jak opuścić, a nawet gdy nie zamierzamy go eksplorować, przed naszymi oczami przesuwają się kolorowy kalejdoskop generowany przez ową maszynę medialno-komunikacyjną. Dokąd w tym wszystkim się udać, co wskazuje nam drogę? Bez wątplenia mamy dzisiaj do czynienia z pewnego rodzaju wirtualną nakładką na świat, z pewnym rodzajem mapy, dzięki której szybko znajdujemy miejsce docelowe, informację, wiadomość, a nawet więcej - obcujemy z kopią w pewien sposób doskonalszą w odbiorze niż oryginał nie ruszając się z ekranu monitora.² Kolejne pytanie jakie się nasuwa dotyczy tego, czy owa nakładka jest tylko i wyłącznie narzędziem służącym do okrywania świata?³ O ile u Platona mieliśmy do czynienia z procesem odwzorowania świata idei w rzeczywistości zmysłowej o tyle obecnie (na ile możemy pozwolić sobie na tę niedoskonałą analogię) jasna konstatacja podziąłu pomiędzy tym, co stanowi efekt działania matematycznych wyliczeń komputera a tym co należy do świata spoza jego zasięgu przestaje być oczywista. Stopień wysublimowania technologii postawi nas z pewnością niebawem przed problemem nierozróżnialności tego, co wygenerowane przez komputer a tym, co autentyczne lub jedynie zapośredniczone przez maszynę. Wirtualny świat za pomocą swoich narzędzi niesie zatem informacje o świecie, który istnieje poza komputerem, lecz czy ten świat nie jest już jedynie skansenem, reliktem przeszłości, czy chcąc być na czasie, pragnąc uchwycić na bieżąco moment naszej teraźniejszości możemy pominąć ten aspekt komputerowej wirtualności, która niczym pleśń przenika obecnie całość obszaru naszej aktywności? Zdaje się zatem, że owa wirtualna mapa przestała być zatem jedynie narzędziem do odkrywania i nawigowania po świecie, lecz wraz z nim stanowiłaby całe na uniwersum do odkrycia. Jednak, czy taki świat stał się bardziej zrozumiałym przyjaznym miejscem? Odpowiedź na to pytanie jest dwojaka. Z jednej strony mamy do czynienia z pewnym ujednoczeniem czy zbanalizowaniem naszej rzeczywistości, wszędzie odnajdujemy te same sklepy, te same marki, reklamy, sieciowe restauracje, przez co można odnieść wrażenie, iż w tym globalnym świecie zmieniamy jedynie dzielnice nieznacznie jedynie różniąc się od siebie szczegółami. Świat został skrojony pod wątpliwe gusta mas i wygodę rzeszy podróżujących. Wszyscy mniej więcej konsumujemy, ubieramy i w ramach celowo spolaryzowanych



Neruccio de' Landi, *Madonna z dzieciątkiem*, ok. 1470-1475 r.

narracji medialnych myślimy podobnie, w każdym razie trend ten jest coraz silniejszy. Równocześnie jednak świat stał się bardziej obcy, właśnie poprzez to, iż wymusza ciągły ruch, nakazuje być częścią owych przypominających labirynty strumieni komunikacyjno-informacyjnych, w których jak wspomnieliśmy ciężko się zakorzenić, znaleźć swoje miejsce, odnaleźć niezapośredniczone np. poprzez wirtualne filtry mediów społecznościowych - autentyczność drugiej osoby czy swoją własną.

W ten sposób, pomimo że skrócił się czas podróży, odległości zdają się mniejsze, a cała wiedza dostępna jest praktycznie od ręki – to, co chcielibyśmy poznać w sposób prawdziwy pełny czy jednoznaczny nadal zdaje się od nas oddalać pozostając nieuchwytnie z jednej strony, z drugiej banalne i opatrzone – niełatwo w takiej sytuacji odnaleźć harmonię i współistnienie z tym, co nas otacza. Odnalezienie pewnej niszy dla siebie, a zarazem pewien dystans do sfery, w której przyszło nam funkcjonować zdają się w tym przypadku konieczne. Niszę tę dość dobrze zdają się wypełniać muzea. To właśnie w nich będziemy rozglądać się za namacalnym, naocznymi efektami przesłań na temat naszej ludzkiej kondycji, do której istoty zdaje się nie prowadzić żadna cyfrowa, asfaltowa, ani nawet polna droga. Będziemy zatem szukać pewnego uniwersalnego klucza, który przejawiałby się w dziełach na przestrzeni wieków nie patrząc na nie już przez pryzmat prądów artystycznych, nie wikłając się w skomplikowaną sieć teorii sztuk, lecz starając się stanąć przed nimi i oglądać, jakby dopiero co wyszły spod rąk artysty. Jeżeli zatem przyjmujemy tu pewną badawczą metodologię to jest ona najbliższa pierwszemu członowi podziału Foucaulta, który stosuje on do uchwycenia w pojęcia historii idei. Jest to dyscyplina, której przedmiot, jak sam określił, jest niezwykle niepewny, o niewyraźnie zarysowanych granicach, nie prowadzi do niego ponadto żaden

wytyczony z góry szlak, którym można podążać. Ten pierwszy człon w przeciwieństwie do drugiego, którego ambicją jest jak pisze przemierzanie i reinterpretacje istniejących dyscyplin, nie jest historia nauk, lecz jak wspomina:

„historią owej niedokładnej, nieugruntowanej wiedzy, która nigdy w ciągu swego upartego żywota nie mogła osiągnąć formy naukowości (...) Jest historią owych niejasnych filozofii nawiedzających literaturę, sztukę, nauki, prawo, moralność, a nawet codzienne życie ludzi; historią wielowiekowych tematów, które nigdy nie skryształizowały się w ścisły i indywidualny system, ale tworzyły spontaniczną filozofię tych, którzy nie filozofowali.”⁴

Posługując się naszą wirtualną mapą, przygotowaliśmy zatem plan podróży i po krótkim locie wylądowaliśmy wraz z I. i M. w Bergamo, naszej stacji przesiadkowej w drodze do Mediolanu. Miasto podzielone jest na dwie części, starszą górną (Città Alta) oraz dolną (Città Bassa). Już od pierwszych kroków po opuszczeniu taksówki rzucił się nam w oczy kontrast w porównaniu do nieco chaotycznych, zwichrowanych miast i miasteczek włoskiego południa. Wszystko zdaje się tu bardziej poukładane, uporządkowane, praktyczne, ale też wzniosłe, naznaczone pewną wysublimowaną dostojnością i wyczuciem estetycznym, mogącym osiągnąć swe wyżyny chyba jedynie na tej szerokości geograficznej. Padało, lecz deszcz sprawiał, że miasto odbijając się w mokrym asfalcie i w niekończących się kałużach stawało się jeszcze bardziej ulotne, prawie nierzeczywiste, niczym ze snu M.C. Eschera. Pierwszy z etapów naszych poszukiwań stanowiła Academia di Carrara, raptem szesnastie sal podzielonych według chronologicznego klucza sprawiało wrażenie przytulności, której brak wielkim kolekcjom, ale też taka jest proweniencja eksponowanych tu zbiorów, większość z nich pochodzi bowiem od prywatnych donatorów, wśród których można znaleźć nazwiska tak wybitnych osób jak Mario Scaglia, Federico Zeri, czy Francesco Baglioni. Już po przejściu kilku pierwszych pomieszczeń można odnieść wrażenie, iż dominującym tematem podejmowanym w dziełach artystów tu prezentowych (muzeum słynie z obrazów m.in. Pisanello, Lotta, Tiepola, Belliniego) było macierzyństwo, cud nowego życia, a zaraz po nim misterium cierpienia i śmierci. W tym kontekście naszą uwagę zwróciły dwa malowane na desce przedstawienia Madonn. Pierwsze z nich to *Madonna z Dzieckiem i Aniołami* (Madonna Pokory) namalowana przez Benozzo Gozzoligo, ą 1440-1445 słynnego w owym czasie twórcy fresków z Florencji. Na obrazie widoczne są wpływy jego mistrza Beato Angelico, widzimy również motyw hortus conclusus (zamkniętego ogrodu – symbolu czystości Maryi). Tym jednak, co najbardziej przemawia, to niezwykle ładunek wzajemnej czułości, którą dostrzec tu możemy zarówno w spojrzeniach jak i gestach. Tę samą czułość dostrzegamy także u Neroccia, utalentowanego malarza i rzeźbiarza sienieńskiego ze szkoły Giorgio Martiniego, z jego obrazu *Madonna i Dziecko* ą 1470-1475 r. przebija niezwykle czyste i subtelne piękno, spojrzenie szuka tu spojrzenia, dłoń dłoni, a zaczerwienione policzki zdradzają jedyne w swoim rodzaju emocje. Zamiłowanie do realistycznych detali oraz atletyczna postawa i klasyczne cechy w przedstawieniu dzieciątka wywodzą się bez wątpienia od Donatella. W muzeum tym możemy również prześledzić przedstawienia wspomnianej drugiej strony tej historii. Jednym z najbardziej dyskusowanych przez historyków sztuki tego przykładem jest wczesne dzieło Giovanniego Belliniego „*Pieta z Matką Boską i świętym Janem Ewangelistą*” ą 1455. Uderzający jest przede wszystkim punkt

z jakiego widza zmuszony jest oglądać jest te trzy ściśnięte na wąskiej przestrzeni postacie (Maryję, Chrystusa i Jana Ewangelistę), zabieg ten powoduje, iż oglądający chcąc nie chcąc zostaje wystawiony na ból i cierpienie zdające się wykraczać poza ramy obrazu. Równocześnie pomimo całego dramatyizmu sama kompozycja pozostaje pełna gracji i subtelności w prowadzeniu linii (szczególnie włączeniu rąk) Nie trudno również doszukać się wpływów zarówno Donatella, a także Mantegny⁵.

Nazajutrz szybkim pociągiem, przed południem przyjeżdżamy do Mediolanu. Pierwsze kroki kierujemy do muzeum Brera. Ilość nagromadzonych niezwykle dzieł onieśmiela, niektóre z nich emanują jednak szczególną tajemniczą i zarazem magnetyczną aurą. „Zmarły Chrystus” Andrea Mantegny z ok. 1483 r. z pewnością jest jednym z nich. Nowatorskie zastosowanie perspektywy, zmarszczki na twarzy Maryi, przypominającej płaczki z obrazów północy, skryta w półcieniu twarz Marii Magdaleny, kolor leżącego ciała, nad którym unosi się niczym uchodząca z niego dusza - subtelna aureola, wreszcie ciemność ostatniego planu, przypominająca głębię grobowca, wszystko to składa się na intrygujący, skłaniający do kontemplacji i zadawania pytań obraz. Również obok „Piety” Giovanniego Belliniego trudno przejść obojętnie. Wymodelowanie niczym w marmurze ciała Chrystusa, wyraz twarzy naznaczonej cierpieniem, lecz już od niego wolnej a także bolejącej, jakby pytającej wyraz twarzy Maryi tworzą niezwykłą atmosferę misterium. Całość doskonale ilustrują słowa na niewielkiej kartce w dole obrazu: „Haec fere qvum gemitvs turgentia lvmina promant bellini poterat flere ioannis opvs” – w tłumaczeniu „Ponieważ te oczy pełne łez wyrażają cierpienie, z dzieła Giovanniego Belliniego, również mogą popłynąć łzy”⁷. W Museum Poldi, okrywamy ten sam motyw, jednakże w niezwyklej kosmicznej wręcz formie serpentynaty, którą tym razem posłużył się Sandro Boticelli w obrazie „Opłakiwanie zmarłego Chrystusa” z ok. 1499-1500 r. Scena zdaje się niezwykle ekspresyjna, pełna jest napięcia i energii, która niczym w muzyce swoje rozwiązanie odnajduje w bezwładnie opadającym ciele Jezusa. Użycie kolorów podstawowych potęguje ów intensywny patos oglądanego przedstawienia⁸. W kolekcji Galleria d’Arte Moderna poruszyły nas z kolei dwa obrazy feraryjskiego malarza Gaetano Previati, nawiązujące do przedstawień Madonn, o których pisaliśmy powyżej. Pierwszy



Andrea Mantegna, *Zmarły Chrystus*, ok. 1483 r.

z nich to „Madonna z liliami” z 1828 r., na jego przykładzie widać jak na przestrzeni czasu zmieniła się technika malarska (zastosowano tu dywizjonizm i pointylizm). Spokojny kontemplacyjny charakter malowideł przepełnionych mistyczną świetlistością i głębią zdaje się niezmienny od czasów średniowiecza, potęgowany jest tu jednak przez zastosowanie wspomnianej techniki oraz stylistyki. Należy nadmienić, iż obraz ten stanowi jedno z największych dokonań symbolistów. W podobnej tonacji utrzymane jest drugie dzieło tego artysty, czyli „Madonna z Chryzantemami”, z 1885-1887 r. na twarzy matki obserwujemy tu pewną niemą rezygnację, a operowanie światłem nadaje przedstawieniu dodatkowy wymiar melancholii wzmocniony ponadto przez dominację koloru niebieskiego. Śmiałe pociągnięcia pędzla i mistrzowskie żywe modelowanie dopełniają całość sprawiając, że obcujemy w tym przypadku z dziełem kompletnym, wykonanym przez artystę u szczytu jego kompetencji⁹. W ostatniej z oglądanych kolekcji, czyli Museo del Novecento przykuł naszą uwagę „Krucyfik” Lucio Fontany, znanego z mieszczących się m.in. w Wenecji słynnych rozciętych płócien tzw. Tagli (cięć). Na tym obrazie wnosi swoją koncepcję na nowy poziom, cięcie staje się tu dramatycznym wręcz demonicznym rozdarcie, za pomocą którego reinterpretuje on na nowo znany motyw religijny, zrywając równocześnie z jego przedstawieniowym charakterem, na korzyść wstrząsającej wizualności.¹⁰

To niezwykle przyspieszenie, którego jesteśmy obecni świadkami stanowi równocześnie efekt wielopokoleniowej pracy porządkowania, katalogowania i organizowania zasobów zarówno wiedzy jak i kultury. Dzięki temu, oprócz możliwości podróżyowania na niespotykaną wcześniej skalę, posiadamy również dostęp do dziedzictwa historii, a zatem otworzyły się przed nami w ten sposób możliwości przemierzania czasu. W kilka dni możemy przebyć nie tylko wiele kilometrów, ale również otrzeć się o wiele epok. Nadszedł czas na udzielenie odpowiedzi na zadane wcześniej pytanie, co jest wspólnego w tych wszystkich okresach, co wykraczając równocześnie poza nie same, stanowi o istocie naszego człowieczeństwa? Wspólne jest dążenie do tego, czego nie da się skopiować, naśladować, czego nie można udawać, do tego co niepowtarzalne i oryginalne. Dostrzec to można co najmniej dwojako – w pozornie prostej opowieści o codzienności, poprzez którą widzimy, że tym czego nie możemy sami wytworzyć, czego wygenerować nie może żaden komputer – to cud i radość nowego życia, a tym czego nie możemy z kolei uniknąć to tajemnica śmierci. Drugi aspekt ukazuje się nam jednak poprzez nieco inny pryzmat. Z czasem, jak u Fontany mieliśmy do czynienia



Gaetano Previati *Madonna z lijami*, 1828 r.

z osłabieniem mocy samej opowieści, z przesunięciem paradygmatu w stronę wizualności, która ma poruszyć nas bardziej niż ilustracja historii opowiedzianej przez obraz - efektem tego było załamanie się reprezentacji. Niewiele lat później w sztuce nastąpił jednak kolejny powrót do bardziej przedstawieniowej twórczości. Choć wybierany temat bywa w tym przypadku banalny, to jednak dzięki niezwyklej formie (której należałoby z pewnością poświęcić osobny artykuł) właśnie przez tę pospolitość przedmiotu przedstawionego zdaje się prześwitywać to, co wykracza poza ludzką egzystencję, w jakiś sposób jednak ją warunkując, coś czego również nie da się już ująć w żadną przypowieść, wytłumaczyć, lecz można jedynie odczuć. Stało się to dla nas jasne hangarze Bicoca, do którego dotarliśmy na końcu naszej podróży. Ujrzeliśmy tam obraz Anselma Kiefera „Deutsche Heilslinie”, niezwykle, wkomponowane w instalację „Siedem Niebiańskich Pałaców” dzieło, które zatrzymało nas przy sobie przez wiele długich chwil. Przedstawia ono odwróconą tyłem postać (nawiązanie do romantycznych wizji Friedricha zdaje się tu oczywiste) na tle bliżej nieokreślonego krajobrazu. Cały obraz pokryty jest niewidocznymi na pierwszy rzut oka napisami, są to nazwiska niemieckich filozofów nawiązujących w swojej twórczości do idei zbawienia: Hegla, Feuerbacha, Marxa, Schopenhaura, Nietzschego, Junga oraz Heideggera. W tej jednej chwili mimo całej trywialności tego przedstawienia mogliśmy zrozumieć a raczej odczuć, to z czym wielcy artyści się mierzą, wobec czego stają codziennie w tym niehumanym niemalże wysiłku – z Nieznanym – do którego nie wiedzie już żadna droga, którego nie da się już odwzorować w żadnym dziele sztuki, bo przerasta wszelkie możliwości reprezentacji. To dlatego Kiefer pisze, że dzieło zawsze upada, ponieważ, mamy do czynienia z: „niemożliwością namalowania obrazu samego w sobie, tzn. stworzenia nieskończoności za pomocą skończonych i materialnych środków”¹¹. Nieliczni artyści poprzez akty twórcze, starają się zatem nie tyle udzielić nam odpowiedzi na frustrujące nas pytania o istotę człowieczeństwa, co jedynie na nią wskazać, z pewnością natomiast nie poda nam jej żadna maszyna, żaden komputer. Należy jednak dodać, iż dobór formy przez Kiefera skłania równocześnie do refleksji, iż osadzeni jesteśmy w byciu, który co prawda wykracza poza nas samych, ale którego niezbywalną część ze wszystkimi naszymi przypadłościami stanowimy.

Wspomniana na początku wirtualna mapa posiada tę właściwość, iż zmienia oblicza miejsc, do których się odnosi. Szukaliśmy zatem obszarów, do których ona nie prowadzi, autentycznych

nie zmienionych przez nią przestrzeni tylko po to by odkryć w konkluzji, że nie jest to już możliwe. Zawsze pozostajemy zapośredniczeni, ale równocześnie w samym dążeniu do wyjścia poza to co wygenerowane, odnajdujemy uniwersalne problemy natury ludzkiej, istniejące niezależnie od komputera. W pierwszej kolejności przypomina nam to, że nie jesteśmy jedynie odbiorcami pustej rozrywki i jej konsumentami. Po drugie, że per analogiam nasze wyobrażenie, mniemania o świecie podobnie jak wytwory komputera nie są autentyczne, oryginalne i również stanowią pewne zapośredniczenie. W ten sposób widzimy, iż cały zabieg jaki zastosowaliśmy tutaj dzieląc świat na wygenerowany przez maszynę i bazowy stanowił jedynie analogię do czysto ludzkiej przypadłości. Niemniej, tak jak współcześnie nie da się rozdzielić już świata i tej wirtualnej nakładki, tak od zawsze stanowił on dla nas konglomerat obiektywnej rzeczywistości i sposobów w jaki ją pojmujemy – perspektywa z jakiej na tak ukonstytuowaną rzeczywistość spoglądamy stanowi być może miejsce, z którego prześwituje ku nam pewna pełniejsza prawda o Byciu, o którym relację przesyłają ku nam wielcy artyści filozofowie czy naukowcy¹².

Przypisy:

1 Por. Rebecca Solnit, „Zew włóczęgi, opowieści wędrowne”, tłum. A. Dzierżgowska, S. Królak Kraków 2018 s.30,125,137.

2 Wirtualne skany dzieł sztuki pozwalają dziś na kontemplację artefaktów w niezwykłym przybliżeniu, trudnym do uzyskania nawet w bezpośrednim kontakcie i przy użyciu np. szkła powiększającego, nie są również obciążone błędami ekspozycyjnymi tj. niewłaściwe oświetlenie.

3 Por. Martin Heidegger, „Bycie i czas”, tłum. B. Baran, Warszawa 2004, s. 87

4 Michel Foucault, „Archeologia wiedzy”, tłum. A. Siemek, Warszawa 1977, s. 170.

5 Por. Accademia Carrara, Visitor's Guide, ed. Paolo Plebani, transl. to Eng. Elizabeth Jane Burke, Milano 2023 s. 19,20,30.

6 Rosella Lauber, „Pinakoteka Brera w Mediolanie, Arcydzieła malarstwa”, tłum. H. Borkowska, Warszawa 2014 s.146

7 Ibidem,152

8 Por. „The Poldi Pezzoli Museum”, ed. Maria Teresa Balboni Brizza, Marina Sambuy, transl. to eng. Richard Sadleir, Maria Teresa Balboni Brizza, Marina Sambuy, Torino 2020, s. 66

9 Por. „Le Collezioni Galleria d'Arte Moderna Milano”, ed. Alessandro Oldani, Paola Zatti, Milano 2017, s.242-245;

10 Por. „Museo del Novecento, Un nuovo racconto”, ed. Dario Cimorelli, Verona 2021, s.128-136;

11 „Anselm Kiefer The Seven Heavenly Palaces”, ed. Giovanna Amadasi Milano 2022 s. 19

12 Por. Martin Heidegger, „Bycie i czas”, tłum. B. Baran, Warszawa 2004, s. 4 i dalsze

Bibliografia:

- Martin Heidegger, „Bycie i czas”, tłum. B. Baran, Warszawa 2004
- Michel Foucault, „Archeologia wiedzy”, tłum. A. Siemek, Warszawa 1977
- „Accademia Carrara, Visitor's Guide”, ed. Paolo Plebani, transl. to Eng. Elizabeth Jane Burke, Milano 2023;
- Rosella Lauber, „Pinakoteka Brera w Mediolanie, Arcydzieła malarstwa”, tłum. H. Borkowska, Warszawa 2014
- „The Poldi Pezzoli Museum”, ed. Maria Teresa Balboni Brizza, Marina Sambuy, transl. to eng. Richard Sadleir, Maria Teresa Balboni Brizza, Marina Sambuy, Torino 2020;
- „Le Collezioni Galleria d'Arte Moderna Milano”, ed. Alessandro Oldani, Paola Zatti, Milano 2017;
- „Le Collezioni Galleria d'Arte Moderna Milano”, ed. Alessandro Oldani, Paola Zatti, Milano 2017;
- „Museo del Novecento, Un nuovo racconto”, ed. Dario Cimorelli, Verona 2021
- „Anselm Kiefer The Seven Heavenly Palaces”, ed. Giovanna Amadasi, Milano 2022
- „Muzeum Sztuki – Antologia”, red. M. Popczyk, Kraków 2005;
- Hand Belting, „Obraz i kult”, tłum. T. Zatorski, Gdańsk 2010;
- Jean-Francois Lyotard, „Co malować, Adami, Arakawa, Burden”, tłum. M. Murawska, Piotr Schollenderger, Warszawa 2015;
- Louis Marin, „O przedstawieniu”, tłum. P. Pieniżek, B. Banasiak, K. Matuszewski, J. Bodzińska, E. M. Wierzbowska, P. Mościcki, P. Tarasiewicz, Gdańsk 2011
- Rebecca Solnit, „Zew włóczęgi, opowieści wędrowne”, tłum. A. Dzierżgowska, S. Królak, Kraków 2018

WOJCIECH ZALEWSKI



FILOZOFIA NADZIEI

Zasadniczo zadanie egzystencjalnego obszaru badań nad nadzieją jest podwójne. Po pierwsze, polegać ma ono na swoistej *apofatyce*; na jego gruncie należy rozprawić się z wszelkiego rodzaju stereotypami, nieporozumieniami, błędnymi utożsamieniami i skrótami myślowymi, dotyczącymi fenomenu nadziei. Po drugie, trzeba podkreślić, że analizy i opisy egzystencjalne powinny skupiać się wyłącznie na *e g z y s t e n c j i* – samotnym podmiocie nadziei. Bowiem, jak przekonuje nas Gabriel Marcel, patron egzystencjalnego obszaru naszych rozważań, nadzieja – w swoim podstawowym stadium – to indywidualne, wewnętrzne doświadczenie odseparowanego od innych, konkretnego, „imiennego” podmiotu. Doświadczenie, które w miarę przeżywania otwiera na to, co zewnętrzne, inne³.

Nadzieja nie jest tożsama z oczekiwaniem czy zespołem oczekiwań – oto pierwsza, negatywna teza, którą zawdzięczamy Marcelowi. Francuski filozof, przystępując do swoich badań nad nadzieją, zaznaczył, że uchwycenie specyfiki interesującego nas fenomenu zależy od tego rozpoznania. Czym bowiem jest oczekiwanie, na czym polega jego specyfika? Zauważmy, że oczekiwanie zawsze dotyczy jakiejś określonej skończonej treści. Może dotyczyć spraw najbardziej błahych, jak zwykłe czekanie na mający nadjechać pociąg czy spraw ważniejszych, jak spotkanie z przyjacielem⁴, bądź oparte na sondażach oczekiwanie na to, że zwycięży popierana przez nas opcja polityczna. Jednakowoż, do istoty oczekiwania należy to, iż dotyczy ono tego, co określone, możliwe i prawdopodobne, a czego rozpoznanie mniej lub bardziej zależy od naszego zaangażowania. Oczekiwać to znaczy mieć uzasadnione przekonanie, że w konkretnym momencie wydarzy się coś określonego, np. że mój przyjaciel pojawi się w umówionym miejscu. Jednocześnie należy dostrzec, że struktura oczekiwania w gruncie rzeczy dopuszcza aksjologiczną dwuznaczność. Można równie dobrze oczekiwać wizyty ukochanej osoby, jak i – na wskutek zatargu – „mieć nadzieję”, oczekiwać, że ta osoba już więcej nie pojawi się w moim życiu. Dlatego nadzieja, odnosząc się do tego, co dla człowieka w jego istnieniu istotne, nie podziela „błahości” i możliwej obojętności, przynależących oczekiwaniu.

Nadziei nie należy również mylić z postawą optymistyczną. Jak w swoich analizach zauważył Marcel, „optymista to człowiek, który opiera się na mocnym przeświadczeniu lub w pewnych przypadkach na mglistym przecuciu, że sprawy powinny «się ułożyć»”⁶. Nie wchodząc w szczegóły, zwróćmy uwagę na to tylko, że siła optymizmu jest względna, ma ograniczony zasięg, bowiem opiera się na podmiotowym *p r z e ś w i a d c z e n i u*. Innymi słowy, optymizm sięga tak daleko jak przeświadczenie samego optymisty. Dlatego nieoddzielny od optymizmu pozostaje pesymizm; tam, gdzie kończy się siła indywidualnego przeświadczenia i pewności, w sytuacji, w której pojawia się zawód, tam zaczynają się właściwe postawie pesymistycznej fatalizm i bierność. Optymizm i pesymizm to bowiem dwie strony tej samej postawy⁷. Postawy, w której podmiot, akcentując własne „ja”⁸, pozostaje przekonany o *w ł a s n e j* racji i niezawodności swoich wyroków.

Skoro nadzieja nie ma nic wspólnego z oczekiwaniem i postawą optymistyczną, to pozostaje zapytać, co należy przez nią rozumieć? Czy jest ona zatem jakimś elitarnym doświadczeniem, którego osiągnąć mogą jedynie nieliczni? Czy na nadzieję trzeba się jakoś przygotować? Teza Marcela brzmi następująco: „Istnieje pewien całkowicie ogólny aspekt egzystencji ludzkiej, w którym wydaje się ona niewola, i że właśnie wtedy, kiedy egzystencja ta ukazuje się w tym przekroju, jest ona (...) podległa nadziei”⁹. Co filozof ma na myśli, gdy mówi – w sposób szeroki – o „ogólnym aspekcie egzystencji ludzkiej”? Ów aspekt to nic innego jak przynależąca kondycji ludzkiej śmierć. Więcej, to wszystko to, co jej bezpośrednio i pośrednio przynależy: choroba, utrata bliskiej osoby, cierpienie, życiowa porażka o fundamentalnym znaczeniu – oto sytuacje, które rodzą nadzieję. Lecz rodząc możliwość nadziei, odprowadzają równocześnie do przeciwności jej możliwości rozpacz. Dlatego też należy podkreślić – za Marcellem – że nadzieja rodzi się zawsze w sytuacji egzystencjalnej próby¹⁰. Próby, która skazuje na nieprzerwany wybór: między nadzieją a rozpaczą.

Nadzieja i rozpacz, ich paradoksalny związek daje do myślenia. Od razu więc napomknijmy, że przemyślenie owego związku stanowi jedno z najpilniejszych wyzwań filozofii nadziei. Tymczasem zauważmy, że nadzieja, rodząc się w sytuacji granicznej, potwierdza swoją jednoczesną bliskość i oddalenie względem rozpacz. Bliskość, ponieważ podobnie jak rozpacz, nadzieja rodzi się w sytuacji jakiegoś tragicznego wydarzenia. Oddalenie, gdyż w odróżnieniu od rozpacz, nadzieja nie ugina się pod natłokiem trudu i zła, lecz, przeciwnie, zwraca się całą mocą przeciwko nim. O ile rozpacz zamyka podmiot na czas, świat i innych, o tyle nadzieja przeciwnie, otwiera go na to, co zewnętrzne, na to, czego jeszcze nie było, a co „wyglądając” z horyzontu przyszłości, jawi się jako nieokreślone i obiecujące jednocześnie. Dlatego Marcel nie waha się powiedzieć: „Każda nadzieja jest nadzieją zbawienia (...). Tylko we wszechświecie, który z a w i e r a r z e c z y w i s t e k r z y w d y jest miejsce na zbawienie”¹¹.

Powiązanie nadziei z religijną problematyką zbawienia może rodzić pewne kłopoty, na przykład zastrzeżenie, że wszelka nadzieja ma sens dopiero wtedy, gdy zostanie związana z wiarą. Czy jednak na pewno? Zauważmy, że Marcelowskie skojarzenie nadziei i zbawienia nie kryje w sobie – właściwej dla odkrywcy – pewności. Nadzieja to nie pewność zbawienia ani nie zdolność jego dookreślenia. Przeciwnie, to wyzbycie się wszelkich wyobrażeń oraz, by tak to ująć, skupienie na możliwości jako takiej, którą nadzieja oręduje. A to oznacza, że nadzieja pozostaje ponadkonfesyjna, jej związek z wiarą nie jest konieczny. Dlatego podkreślmy z całą mocą: nadzieja to wewnętrzny sprzeciw wolnego podmiotu wobec natłoku nieszczęścia, które go dotyka. Więcej, to rozpoznanie pozytywnej nadwyżki, które ów sprzeciw z podmiotu wydobywa, kierując go w stronę nieokreślonej, lecz przeczuwanej mocy dobra.

Dlatego przeżywając nadzieję, podmiot nie może się nigdy zatrzymać na żadnym określonym przedmiocie, stwierdzając, że „oto spełniła się moja nadzieja”, ta bowiem nigdy się nie spełnia, lecz nieustannie odprowadza ku nieokreślonemu „więcej”. Nie da się jej zatem wyuczyć, nie zakłada ona żadnej niezawodnej ścieżki oraz, ze swej istoty, opiera swe racje na niepewnym zaufaniu¹². Nieustannie przekraczając każdy konkretny, zwraca się nadzieja w stronę nienazwanej, nieokreślonej transcendencji, o której

nie można powiedzieć nic poza tym, iż przeczuwana jest jako absolutne dobro...

Przykładem osoby, która w swojej nadziei przekracza każdą, nawet najtrudniejszą sytuację „bez wyjścia” jest nieuleczalnie chory¹³. Początkowo, chory człowiek może mieć zbliżoną do oczekiwania, lecz nietożsamą z nim, nadzieję na powrót do zdrowia. Mając świadomość małych szans na wyzdrowienie, ufa, że na mocy cudownego splotu okoliczności, w bliżej niesprecyzowany sposób wszystko skończy się dobrze. Po jakimś czasie godzi się jednak z wyrokiem: wie, że nie wyzdrowieje. Gdy wszystko inne zawiodło i nie ma już żadnego wyjścia, pozostaje jednak nadzieja, której treść brzmi: „Nie wszystko stracone”¹⁴. I choć umierający chory, wiedząc, że umrze, nie potrafi powiedzieć, do czego dąży w swojej nadziei, to jednak – dzięki niej – zdobywa się na wyzwolenie¹⁵, na dystans wobec własnej, pozornie bez – nadzieinnej sytuacji.

„Rezultatem” nadziei – na gruncie rozważań egzystencjalnych – będzie zatem pełnia wolności, wyrażająca się w zdolności otwarcia, w bezwarunkowym przyzwoleniu na przyjście tego, co zewnętrzne, niezależne od indywidualnego „chcę”, w zaufaniu, że za nadzieją kryje się samo dobro. Ufając intuicji owego dobra, podmiot nadziei staje się „podmiotem gościnnym”, kimś, kto, nie dając zgody definitywności panoszących się w świecie zła i śmierci, pozostaje otwarty na innego człowieka. Bowiem, jak pisze Marcel: „Nie można rozpocząć procesu nadziei, nie rozpoczynając jednocześnie procesu miłości”¹⁶.

Fragment eseju „Filozofia nadziei. Zarys projektu” składającego się na książkę Wojciecha Zalewskiego. „W poszukiwaniu nadziei. Eseje filozoficzne” (Kraków, 2023) Pierwotnie tekst ukazał się w książce pod redakcją Wojciecha Zalewskiego oraz Krzysztofa Mecha pt. „Na ścieżkach pragnienia. Księga Jubileuszowa Profesora Karola Tarnowskiego” (Kraków, 2018).

Przypisy:

1. Por. R. Rorty, *Filozofia a nadzieja na lepsze człowieczeństwo*, przeł. J. Gryginić, S. Tokariew, Toruń 2013.
2. Zob. J. Jagiełło, *Problematyka nadziei we współczesnej filozofii człowieka*, w: *Kieleckie Studia Teologiczne* 3 (2004), s. 49–68.
3. Zob. G. Marcel, *Homo viator. Wstęp do metafizyki nadziei*, przeł. P. Lubicz, Warszawa 1984, s. 70.
4. Zob. tamże, s. 2
5. Zob. tamże, s. 30.
6. Tamże, s. 34.
7. Zob. tamże, s. 35.
8. Zob. tamże.
9. Tamże, s. 32.
10. Zob. tamże, s. 30.
11. Tenże, *Być i mieć*, przeł. D. Eska, Warszawa 1998, s. 107–108.
12. Por. Tenże, *Homo viator*, dz. cyt., s. 49.
13. Por. tamże, s. 47.
14. Por. tamże.
15. Por. tamże.
16. Tamże, s. 60.



SANKTUARIUM MŁODEJ POLSKI IRENA KACZMARCZYK ROZMAWIA Z BOLESŁAWEM FARONEM

Irena Kaczmarczyk: Panie Profesorze, nikt lepiej niż autor literackiego przewodnika po Jamie Michalika nie oprowadzi mnie po najślawniejszej kawiarni artystycznej w Krakowie. Znajdujemy się przy ulicy Floriańskiej 45. To ten lokal w roku 1895 zakupił Jan Apolinary Michalik i...

Bolesław Faron: Przypomnijmy najpierw, kim był Jan Apolinary Michalik. Jaka była jego droga do Krakowa? Urodził się w 1871 roku w Hołobotowicach koło Stryja, dzisiejsza Ukraina. Zenon Pruszyński – stały bywalec kawiarni, właściciel zakładu litograficznego przy ulicy Pijarskiej, a zarazem numizmatyk i zbieracz staroci – twierdzi, że Michalik jako młodzieniec miał kłopoty w nauce. Podobno ojciec oddał go na praktykę cukierniczą do Lwowa z nadzieją, że zasmakowawszy trudu pracy fizycznej, wróci do nauki. Tak się nie stało. Praca cukiernika tak się spodobała młodzieńcowi, że pozostał w terminie i po paru latach przyjechał do Krakowa, by w zabytkowej kamienicy założyć Cukiernię Lwowską.

Na początku swego istnienia Cukiernia Lwowska była nader skromna. Składała się ona z wynajętego od Józefa Witoszyńskiego

sklepu, złożonego z jednej sklepionej sali oraz z położonego za nią pokoiku. W pierwszej sprzedawano ciastka, w drugim zbierała się cyganeria artystyczna. Na to, że cukiernia szybko przemieniła się w kawiarnię artystyczną złożyło się wiele przyczyn, a przede wszystkim duże znaczenie miało jej położenie. Mieściła się ona niedaleko Szkoły Sztuk Pięknych, świeżo otwartego Teatru miejskiego przy ul. Szpitalnej czy redakcji poczytnego dziennika „Czas”. Stąd więc artyści, aktorzy i dziennikarze zaczęli odwiedzać kawiarnię bądź to po drodze na zajęcia plenerowe pod Wawelem, po przedstawieniach teatralnych, czy w drodze do redakcji. Tadeusz Żeleński-Boy twierdzi, że malarze zrobili z Michalika postać sławną niejako wbrew jego woli, że początkowo był on bardzo sceptyczny wobec ich prób „ozdabiania” małej sali. Później sam zaopatrywał ich w papier, kredki kolorowe, tusz, farby. Dzięki temu powstała kolekcja dzieł, z których część zdobi do dziś wnętrza kawiarni. Współcześni opowiadają, że nawet Stanisław Wyspiański zaproponował Michalikowi, że wykona dekorację małej sali. Podobno miał się nie zgodzić, czego bardzo żałował po śmierci artysty, kiedy przekonał się, jak wielką był postacią w środowisku krakowskiej bohemy.

Co rozświetliło tę Cukiernię Lwowską w Krakowie? Kto tu bywał?

Malarze, aktorzy teatru miejskiego, profesorowie uniwersytetu, dziennikarze (zwłaszcza „Czasu”), którzy systematycznie odwiedzali lokal. Szybko ze sklepu sprzedającego ciastka, stał się on kawiarnią artystyczną, w której przy stolikach toczyły się zażarte dyskusje artystyczne. Trudno byłoby wymienić wszystkich, gdyż prawie cała bohema krakowska tam się spotykała. Przypomnę jedynie niektóre nazwiska. Ze środowiska artystów-malarzy: Teodor Axentowicz, Józef Mehoffer, Jan Stanisławski, Leon Wyczółkowski, Stanisław Wyspiański, Karol Frycz; dziennikarzy i literatów: Rudolf Starzewski (redaktor „Czasu”), Konrad Rakowski, Witold Noskowski, Stanisław Sierosławski, Jan August Kisielewski, Adolf Nowaczyński, Leon Schiller, Tadeusz Żeleński-Boy, Edward Żuk-Skarnewski, Władysław Prokesch, Edward Leszczyński; aktorów Teatru Miejskiego: Kazimierz Kamiński, Marian Jednowski, Józef Węgrzyn, Stanisława Wysocka i wielu innych.

W 1918 roku Jan Michalik sprzedał kawiarnię i wyjechał do Poznania, gdzie otworzył ekskluzywny pensjonat. Po II wojnie światowej Jama Michalika zmieniała właścicieli, jednym z nich była Powszechna Spółdzielnia Spożywców „Społem”. Jak wpłynęło to na wizerunek artystyczny lokalu?

Tak. Powszechna Spółdzielnia „Społem” przejęła ten lokal po II wojnie światowej. Michalik sprzedał kawiarnię 1 marca 1918 roku Romanowi Madejskiemu i Franciszkowi Trzascie. Nowi właściciele nie byli w stanie zapewnić Jamie jej dawnej świetności. Kawiarnia egzystowała jeszcze jako tako przez parę lat, nie pozostało jednak nic z dawniejszej atmosfery. W roku 1920 Franciszek Trzaska zrezygnował ze spółki, przeniósł się do Zakopanego, kupił dom od Wincentego Szymborskiego, tak zwaną „Płonkę” i założył własną firmę. Madejski zakupił jego udziały i w 1929 roku został jedynym właścicielem kawiarni, którą prowadził wraz z żoną. Nastąpiła jedynie chwilowa poprawa koniunktury. W 1935 roku firma ponownie przekształcona w spółkę, ogłosiła upadłość. Na licytacji sprzedano szereg często bardzo wartościowych rysunków i obrazów. Kolejną właścicielką Jamy została Stefania Maturowa, która zabezpieczyła resztę dzieł sztuki, jakie pozostały w kawiarni. Było ich ponoć niewiele ponad dwadzieścia pięć procent stanu sprzed 1930 roku. Maturowa zdołała jeszcze przed drugą wojną światową dokonać gruntownego remontu. Dzięki niej Jama przetrwała w ówczesnym kształcie do lat pięćdziesiątych, kiedy z nienaruszonymi ścianami i wytartymi kanapami lokal przekazano PSS „Społem”. W 1956 roku krakowskie Przedsiębiorstwo Konserwacji Zabytków na zlecenie władz miasta dokonało kolejnego remontu, przywracając kawiarni – na ile to było możliwe – dawną świetność. Pozyskano wiele obiektów sprzedanych przed wojną, inne uzupełniono analogicznymi dziełami sztuki.

Ma Jama Michalika i swą historię najnowszą, swój epilog. W roku 1986 właścicielem kamienicy przy ulicy Floriańskiej 45 został Stanisław Jerzy Kuliś, który od 1991 roku podjął się również prowadzenia kawiarni. W maju 1992 roku przeprowadzony został remont lokalu. Dzięki zabiegom konserwatorskim odratowano w Sali Czerwonej polichromię Stanisławski z bocianem, załaną wcześniej przez lokatorów kamienicy. Pozostałe polichromie odświeżono. Władze miasta, których własnością są dzieła sztuki zgromadzone w Jamie, upoważniły wówczas nowego właściciela

do opieki nad nimi, do troski o ich artystyczną kondycję. Kawiarnia jakby nieco przejaśniała, a na stołach pojawiły się bardziej urozmaicone napitki i smakołyki (tort Michalik, tort Ewa i Stanisław, tort czekoladowy, karpátka).

Nie sposób, siedząc na zabytkowej sofie i delektując się michalikową kawą, nie przywołać narodzin słynnego kabaretu Zielony Balonik oraz Krakowskiej Szopki. Spektakle rozpałały i zarazem bulwersowały mieszkańców ówczesnego Krakowa.

Proszę przypomnieć w skrócie dzieje kabaretu...

Nie jest to zadanie łatwe, by w kilkunastu zdaniach scharakteryzować działalność Zielonego Balonika. Pomysł powołania kabaretu powstał w małej salce Jamy Michalikowej po powrocie Jana Augusta Kisielewskiego z Paryża – gdzie zetknął się z funkcjonującymi tam scenkami, wprawdzie już po apogeum francuskiego kabaretu. Współcześni – wymieniają oprócz Kisielewskiego – różnych pomysłodawców, między innymi: Teofila Trzczińskiego, Stanisława Sierosławskiego, Karola Frycza, Witolda Noskowskiego, Zenona Pruszyńskiego... Istnieją różne poglądy na genezę Zielonego Balonika. W szkicach Znaszli ten kraj Tadeusz Żeleński-Boy twierdzi, że francuskie kabarety zainspirowały pomysłodawców, natomiast Tomasz Weiss w książce Legenda i prawda Zielonego Balonika sugeruje, że to doświadczenia niemieckie dominowały, gdyż krakowscy artyści nie tylko podróżowali do Paryża, ale też do Monachium i Wiednia. Prawda zapewne leży pośrodku.

Pozostała kwestia nazwy kabaretu. Zdecydował o tym przypadek. Kiedy pewnego razu wesoła kompania wyszła z kawiarni, na rogu ulicy Floriańskiej i Rynku, zauważyła, jak małemu chłopcu wyrwał się z rąk zielony balonik i odleciał. Podobno wtedy wszyscy chórem krzyknęli „zielony balonik! zielony balonik!” – i w ten sposób narodziła się nazwa nowego przedsięwzięcia w Jamie Michalika.

Pierwsze przedstawienie kabaretu miało miejsce dziesięć lat po otwarciu Cukierni Lwowskiej, a więc 7 października 1905 roku. Cytowała Pani w odautorskim słowie fragment zaproszenia, jeszcze bardziej obrazoburcza była mowa inauguracyjna Jana Augusta Kisielewskiego. Oba teksty wskazują na charakter zabawy, jaką proponowano przy ulicy Floriańskiej 45 oraz na francuski rodowód kabaretu, niezależnie od ewentualnych późniejszych koligacji ze scenkami niemieckimi czy austriackimi. Rodem z Paryża był styl przemówienia Kisielewskiego: agresywny, zadziorny, czasem wręcz obraźliwy wobec publiczności. Po dwóch tygodniach przygotowano nowy program, który ukazał się 3 grudnia 1905 roku. Jego głównym organizatorem był Stanisław Sierosławski, a tematem sprawa wówczas niezwykle aktualna – restauracja Wawelu. W następnych programach ujawniali się nowi autorzy piosenek. Od trzeciego wieczoru stałą współpracę z Zielonym Balonikiem podjął Boy. Ile było tych kabaretowych przedstawień? Tego nie można z całą pewnością ustalić. Jedno jest pewne, że przez dwa sezony Jama Michalika święciła triumfy. W 1906 roku Jama Michalika proponuje trzy formy zabawy: kabaret, który powoli wędnie, szopkę oraz bal kostiumowy.

Późną jesienią 1905 roku powstał pomysł pierwszej szopki i towarzyszył on akcjom Towarzystwa Polskiej Sztuki Stosowanej. Jerzy Warchałowski – prezes stowarzyszenia – sfinansował

budowę pierwszej szopki, którą zaprojektował Stanisław Kamocki na wzór architektury kościoła w Modlnicy koło Krakowa. Współpracowali z nim: Frycz, bracia Józef i Stanisław Czajkowsky, Sichulski, Wojtkiewicz, Szczygliński, Rzecki-Szreniawa, Kuczorski, Tadeusz Rychter, kukielki zaś do pierwszej szopki robili bracia Szczepkowsky i Brudzewski. Pierwsza szopka odbyła się w lutym 1906 roku, a ostatnia w roku 1911. W latach poprzedzających I wojnę światową osłabła aktywność Jamy Michalika, a świetlany okres kabaretu minął bezpowrotnie. Miał on charakter elitarny; artyści niejako sami przemawiali do siebie i swoich przyjaciół. To, co wiązało go z zachodnimi scenkami tego typu, to zespolenie sztuk: słowa, rysunku, karykatury i muzyki. Spontaniczny charakter Balonika decydował o jego sile, o tak zwanym „składkowym humorze”. Do końca pozostała impreza zamkniętą, na którą przychodziło się bezpłatnie, ale za zaproszeniem. Kwestie, jakie poruszał Zielony Balonik, dotyczyły głównie Krakowa, przede wszystkim środowiska artystycznego i intelektualnego.

Bardzo krakowskie były też szopki. W pierwszej – kukielka Heroda miała posturę potężnego prezydenta Krakowa Juliusza Lea, a Wilhelmowi Feldmanowi oddawali pokłon trzej królowie: Stanisław Tarnowski, Józef Kallenbach i Ferdynand Hoesick – historycy literatury polskiej. Ostatnia Szopka, wystawiona w 1912, nie osiągnęła sukcesu poprzednich. Wygasły źródła humoru.

Czy kolejni właściciele Jamy Michalika usiłowali wskrzesić kabaretową atmosferę? I czy im się to udało?

Próby odrodzenia szopki politycznej w Jamie Michalika w okresie międzywojennym spaliły na panewce. Zarówno brak autorów, jak i pomysłu na tego typu kabaret zadecydowały, że tradycja Zielonego Balonika nie została wskrzeszona. Organizowano jedynie zabawy z występami literackimi. Programy tych wieczorów zdobią dzisiaj ściany kawiarni, jak na przykład zaproszenie na zabawę Muf mi wójó z 22 lutego 1930 roku w Sali Fryczowskiej. Dopiero w połowie grudnia 1959 roku Jacek Stwora, pracujący wówczas w krakowskiej rozgłośni Polskiego Radia, zaproponował Brunonowi Miecugowowi i Tadeuszowi Kwiatkowskiemu napisanie sylwestrowej szopki politycznej. Po próbach w radio 30 stycznia 1960 roku odbyła się premiera pierwszego spektaklu kabaretu „Jama Michalika”, który zatytułowano A to ci szopa. Sukces przyniósł dopiero spektakl A to ci historia, pełen akcentów politycznych. Ustabilizował się zespół aktorów, który tworzyli: Alicja Kamińska, Halina Kwiatkowska, Marta Stebnicka, Kazimierz Witkiewicz, Wiktor Sadecki i Zbigniew Wójcik, później dołączyli Marian Cebulski i Julian Jabczyński, gdyż Wójcik zmarł śmiercią tragiczną, a Witkiewicz zrezygnował. Pojawił się aktor Marek Walczewski, a przy fortepianie zasiadł Lesław Lic. Trudno byłoby w tej rozmowie wymienić wszystkie tytuły przedstawień, odniosę się zatem do paru charakterystycznych. W grudniu 1978 roku wystawiono rzecz o mediach i manipulowaniu nimi. Program ten szedł do ogłoszenia stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku. Po długich staraniach w 1985 roku otrzymano zezwolenie na wznowienie działalności. Przerobiono A to ci wesele, uwzględniając wszystkie zdarzenia współczesne. Znowu pełna sala i uznanie publiczności. W kwietniu 1990 roku zespół wystąpił z nową premierą Odnowa od nowa. I po kilkudziesięciu przedstawieniach kabaret zamknął swoje podwoje. Byłem uczestnikiem prawie wszystkich programów Stwory, Miecugowa i Kwiatkowskiego w Jamie

Michalika, pamiętam atmosferę tych przedstawień, odważną – jak na owe czasy – satyrę. Czy powojenny kabaret był prostą kontynuacją Zielonego Balonika? Nie. Trwał znacznie dłużej, dawał widzom możliwość ujżenia współczesności w krzywym zwierciadle, rozładowywał nastroje.

Trudno dociec, jakie były faktyczne przyczyny zamknięcia kabaretu. W rozmowie ze mną nowy właściciel kawiarni, Stanisław Kuliś, kreślił w latach dziewięćdziesiątych ambitne plany ożywienia artystycznego kamienicy. Próbował nawet uruchomić nowy kabaret w Jamie Michalika. Obecnie odbywają się tutaj sporadycznie wieczory autorskie krakowskich poetów, biesiady literackie, okolicznościowe spotkania z ludźmi nauki, wizyty satyryków, recitale solistów, występy kabaretowe, koncerty muzyki kameralnej.

Panie Profesorze, utożsamiam się z turystką, która nie mieszka w Krakowie i pragnie poznać unikatowe wnętrza młodopolskich artystów. Rozpocznijmy, proszę, zwiedzanie od Sieni i Barku. Czego tutaj nie możemy pominąć?

A propos mojej książki Jama Michalika. Przewodnik literacki... widzę, że dysponuje Pani pierwszym wydaniem z 1995 roku, opublikowanym przez Oficynę Cracovia. Tekst ten był już wielokrotnie wznawiany od drugiego wydania przez Wydawnictwo Edukacyjne. Zechce Pani przyjąć ode mnie czwarte wydanie, znacznie rozszerzone i poprawione, zwłaszcza że egzemplarz, którym Pani dysponuje jest już bardzo zużyty. Przejdźmy zatem do Sieni. To – jak Pani widzi – obszerny hall tuż za bramą wejściową do budynku. Nie ma tutaj szczególnych eksponatów, może poza zwisającą spod sufitu lampą z początku XX wieku. Warto zwrócić uwagę na gablotę po lewej stronie od wejścia, w której umieszczono informacje o bieżących imprezach, ekspozycję widokówek, krótką historię Jamy Michalika oraz wystawę okolicznościową. W hallu można też zauważyć menu restauracji. Z sieni przechodzimy do barku. Po lewej stronie od kontuaru umieszczono obraz Karola Frycza Stolik malarski w Jamie Michalikowej, który przedstawia tak zwaną małą salę „starą”. Na ścianie oddzielającej barek od Sali Czerwonej dwie karykatury Kazimierza Sichulskiego, Archaniół z jasełek Rydla oraz Generał Iwaszkiewicz – obraz zakupiony przez Stanisława Kulisia.

Wracamy do Sieni, skąd przechodzimy do szatni i hallu głównego. W szatni na ścianie naprzeciwko kontuaru znajduje się obraz z początku XX wieku pod tytułem Aeroplan. W przewodniku podaję jego szczegółowy opis dokonany przez Zenona Pruszyńskiego w broszurze o Jamie Michalika. W hallu głównym zwraca uwagę zegar szafkowy, nabyty przez obecnego właściciela, a na ścianie ceramika. Urządza się tutaj także ekspozycje malarstwa współczesnego. Z hallu głównego przechodzimy do małej sali „starej”, czyli Sali Czerwonej.

Sala Czerwona... Skąd wywodzi się jej nazwa? Salę tę, zwaną „starą” szczegółowo w roku 1930 opisał Zenon Pruszyński. Czy stan obecny różni się od jej wyglądu sprzed prawie stu lat? Na co należy tutaj zwrócić uwagę?

Tutaj zatrzymamy się nieco dłużej. Kiedy dzisiaj porównujemy wygląd Sali Czerwonej z opisem dokonany przez Zenona Pruszyńskiego, to okazuje się, że konserwatorzy w miarę wiernie odtworzyli po latach fakturę ścian. Inaczej stało

się z pomieszczonymi tutaj meblami, których obicia miały oryginalnie kolor czerwony. Stąd jedna z nazw tej Sali. Już po ukazaniu się pierwszego wydania mojego przewodnika zostały wymienione sfatygowane meble. Obicia kanap, krzeseł, kotary i wykładzina podłogowa są teraz tutaj, podobnie jak w Sali Fryczowskiej – zielone. Niestety, wielkość, ciężar, solidność nowego umeblowania zdecydowanie kontrastuje z zaświadczoną na ścianach, wyobraźnią twórców stylu tej kawiarni.

Oglądanie zgromadzonych w tym pomieszczeniu dzieł, proponuję rozpocząć, kierując się od drzwi z dużego hallu na prawo i obchodząc salę dookoła. Dokonamy zatem swoistej lektury, czytania ścian, na których znalazło się sporo dzieł secesyjnych i młodopolskich. W Sali Czerwonej odnotowujemy ich 52. Pozwoli zatem Pani, że dla potrzeb tego wywiadu omówię tylko wybrane. Tuż przy drzwiach znajduje się Laurka dla Zenona Pruszyńskiego z okazji dwudziestopięciolecia jego związków z Jamą Michalika. Na niej dedykacja: „Wujaszкови Zeniowi, Protektorowi tej Jamy w dniu Imienin... 22 XII 1919”. Jest to autolitografia wykonana przez Iwona Galla, ręcznie kolorowana akwarelą. Po bokach autografy wybitnych ludzi z całej Polski. Na ścianie oddzielającej sien i barek, warto zwrócić uwagę na następujące obiekty sztuki: rysunek Karola Frycza Scena z Wesela Figara oraz trójbarwną autolitografię Stanisława Rzeckiego-Szreniawy Helena Sulima w roli Jessyki z Kupca Weneckiego Wiliama Szekspira. Obok autolitografii Witolda Wojtkiewicza Ze Ślubów panińskich znajduje się Helena Sulima w roli Rachel z Wesela Stanisława Wyspiańskiego. Tuż obok zdjęcie Zabawa sylwestrowa w Cukierni Michalika 1903. Powyżej znajduje się zegar skrzynkowy z wahadłem zaprojektowany przez Henryka Szczyglińskiego. Wykonany z blachy według rysunków Karola Frycza, a wagi i wahadło domalowano na ścianie. Po prawej stronie od zegara malowidło ściennie Walka dwóch kogutów, które stoją na dekoracyjnych formach ornamentalnych. Koguty namalował Tadeusz Rychter, ornamentalne wystrzyganki – Stanisław Czajkowski. Po lewej stronie zegara malowidło ściennie Stanisław z Bocianem okalające drzwi do barku. Wykonali je uczniowie profesora Jana Stanisławskiego 6 marca 1905 roku. Ogromna postać profesora, uczniowie maleńcy. Nad drzwiami do barku widzimy rzeźbę gipsową Głowa aktorki Stanisławy Wysockiej, a obok drzwi, w rogu grafika Stanisława Kuczborskiego Żyd-kupiec z wagą.

Przechodzimy do ściany naprzeciwko wejścia (od prawej do lewej strony). Mamy tu: autolitografię kolorową Karola Frycza Eros i Psyche: Rinascimento z dramatu Jerzego Żuławskiego, obok – również Frycza – Apolinary z Anastazji według Elizy Orzeszkowej oraz Taniec z Wesela Stanisława Wyspiańskiego. Dalej autolitografia Karola Frycza Poseł z Erosa i Psyche Jerzego Żuławskiego. W łuku wnęki widzimy krajobraz malowany olejno na ścianie przez Stanisława Czajkowskiego. Nad nim zawieszona karykatura Kazimierza Sichulskiego Mężczyzna na dwóch krzesłach. Rysunek węglem Karola Frycza przedstawia aktora Leszczyńskiego, a ponad nim obraz Alfonsa Karpińskiego Ludwik Zengteller.

Zatrzymajmy się tutaj przez chwilę. Obraz nawiązuje do wyprawy Cooka i Peary'ego do bieguna północnego. Bohaterem jest doktor Ludwik Zengteller, który, porzuciwszy rękawice, prowadzi polarnego niedźwiedzia na autentycznym sznurku. Była to na niego satyra. W Krakowie obiegał wszystkie kawiarnie i roznosił plotki. Z tym

malowidłem wiąże się też anegdota. Przybyły na biegun odkrywca zauważa resztki jedzenia i Zengtellera. Wśród namalowanych resztek była przyczepiona prawdziwa skorupka od jajka, którą Michalik kazał zdjąć w myśl zasady: „w moim lokalu nie mogą się walać skorupki od jajka”. Czynnikiem tak podobno kilka razy, bo artyści ponownie ją wstawiali.

Obok, na ścianie w kolejnej lunecie, zawieszona jest autolitografia Karola Frycza, obraz Kazimierza Sichulskiego Stanisławski z uczniami, pod nim również Sichulskiego Wyczół i Manggha lecą do Japonii, zaś obok wiersz Droga rannego czasu. Dalej znajduje się autolitografia Witolda Wojtkiewicza, a nad nią malowidło ściennie Postać kobieca w krynolinie. Na łuku sklepiennym, wykonana z ciemnego drewna, polichromowana Maska fauna autorstwa Jana Szczepkowskiego przypominająca maski indiańskie. Na niej przywieszony jest kij z balonikiem. W samym rogu, koło gabloty z lalkami, po prawej stronie od wejścia do Sali Fryczowskiej, na ścianie namalowana jest karykatura Ferdynanda Hoesicka wykonana przez Karola Frycza. Na ścianie oddzielającej małą Salę Czerwoną od Sali Fryczowskiej mamy dwie gabloty z lalkami z szopek w Jamie Michalika. Pod gablotą po prawej stronie znajduje się pięć karykatur portretowych wykonanych przez Kazimierza Sichulskiego. Przejście do Sali Fryczowskiej obramia portal drewniany, wykonany z półmatowego drewna.

Teraz proponuję przyjrzeć się ścianie, w której znajdują się drzwi wejściowe do Sali Czerwonej. Nad nimi zawieszony jest obraz olejny na dykie, przedstawiający rynek małego miasteczka. Na prawo od drzwi znajduje się rysunek Karola Frycza Stańczyk z Wesela Stanisława Wyspiańskiego, a obok Klaudyna, czyli Stanisława Wysocka skarykaturowana przez Karola Frycza oraz karykatura Stanisława Rzeckiego-Szreniawy pod tytułem Frączkowski w młeczarni. Nad nią widzimy karykaturalne malowidło ściennie Całujące się pary wykonane przez Witolda Wojtkiewicza, a nad nim obraz Czas wykonany olejną farbą na papierze. Na ścianie w lunecie są dwa duże obrazy Kazimierza Sichulskiego: Karykatura trzech postaci – Witolda Noskowskiego, Lucjana Rydla i Augusta Kisielewskiego oraz Mężczyzna z pergaminem, a obok maleńkie malowidło ściennie Postać z balonikiem. Na łuku sklepiennym proszę zwrócić uwagę na Pijaną Bramę Floriańską, autorstwa Henryka Szczyglińskiego, baloniki domalował Kazimierz Sichulski. Trzeba jeszcze rzucić okiem na znajdujące się na tej ścianie: rysunek Karola Frycza Filomena i Nicefon oraz autolitografię Waśniowska, a także zawieszona na sąsiedniej ścianie, poniżej gabloty z lalkami, rysunkowe karykatury Kazimierza Sichulskiego Teodor Axentowicz, Żyd wieczny tułacz i przedstawiający karykaturę doktora Kleena rysunek patykiem i tuszem Fryderyka Pautscha. Godny uwagi jest także dziewięcioramienny świecznik wiszący, wykonany w stylu eklektycznym, dekorowany scenami związanymi z produkcją wina.

Przed przejściem do Sali Fryczowskiej „zielonej” trzeba zerknąć jeszcze na wykonaną z drzewa polituowanego ramę nad witrażem, której ozdoba, górna listwa przypomina haft angielski.

Najbardziej podoba mi się Sala Fryczowska, która powstała z potrzeby poszerzenia lokalu. Przejdźmy więc do niej. Komu zawdzięcza swój secesyjny wygląd, piękny wystrój ścian, sufitu, mebli, witraży, luster, et cetera?

Sala Fryczowska „zielona”, nazywana jest też „nową”, powstała

z potrzeby rozszerzenia lokalu. Przebudowano w 1910 roku część dawnej pracowni i podwórko według projektu Franciszka Mączyńskiego. Meble, okna, drzwi, kominek, kandelabry, lampy wymyślił Karol Frycz. Malowanie ścian, fryzy – Kazimierz Sichulski. A zatem swoisty nastrój tej sali stworzyli trzej artyści: architekt, scenograf i malarz. Najpierw proponuję zwrócić uwagę na witraż nad portalem, który znajduje się od strony Sali Fryczowskiej nad przejściem do Sali Czerwonej. Jego autorem jest Henryk Uziembło, a wykonawcą Pracownia Witraży inż. Stanisława Gabriela Żeleńskiego. Iluminator przedstawia Sztukę (tu Solska) jako centaurkę, z której piersi tryskają perły, na biegnącego przed nią Fauna.

Na lewo od przejścia, na bocznej ścianie umieszczono dwa kolejne: Witraż z ptakami oraz Witraż ptak i żbik obok. Oba zaprojektował Karol Frycz, a wykonała ta sama pracownia. Przy ozdobnych drzwiach, wiodących na zaplecze kawiarni, znajdują się symetrycznie umieszczone dwa witraże: z lewej – Witraż z pająkiem – krzyżakiem w sieci i wpadającą w nią ważką, a po prawej – Witraż z nietoperzem.

Na tej samej ścianie zwraca uwagę iluminator w formie tryptyku przedstawiający Pegaza, który stanął przed Jamą Michalika. Z Jamy wychodzi – ubrany w strój cukiernika – właściciel z tacą, na której znajdują się różne trunki i smakołyki. Za Michalikiem widać łuki sklepień i lampki starej sali. Po obu stronach, w bocznych skrzydłach umieszczono dwa wazy z winogronami.

Sufit Sali Fryczowskiej w centralnej części rozwiera się na świetlik w kształcie dachu namiotowego, dekorowany mozaiką witrażową.

W środku świetlika wisi lampa sufitowa wykonana na początku XX wieku.

Po spojrzeniu na witraże proponuję teraz systematyczne zapoznanie się z dziełami sztuki znajdującymi się w tej sali. W przejściu z Sali Czerwonej do „zielonej” zwracają uwagę dwa lustra ścienne zaprojektowane przez Karola Frycza.

Po prawej stronie od przejścia z Sali Czerwonej, tuż nad kanapą zaprojektowaną w 1911 roku przez Karola Frycza, widzimy Portret Leona Wyczółkowskiego oraz obraz Kazimierza Sichulskiego Kabaret Zielonego Balonika. Do obszernego opisu tego dzieła odsyłam do przewodnika, w którym cytuję Zenona Pruszyńskiego. Zawiera on szczegółową charakterystykę poszczególnych postaci.

Obok kanapy proszę zwrócić uwagę na atrapę kominka, z okapem z blachy miedzianej projektu Karola Frycza. Po lewej stronie kominka kolejna kanapa dwuosobowa także przez niego zaprojektowana. Nad kanapą rysunek Frycza, przedstawiający karykaturę dwóch mężczyzn. Z kolei nad podwójną kanapą wisi zaproszenie na byczy bal literacki, litografia Frycza, powyżej Szopka Krakowska w stylu ludowym według projektu Stanisława Kamockiego, a wykonana przez wielu artystów.

Tuż za kolumną proszę zwrócić uwagę na zaproszenie Muf mi wój, o którym już wspominałem. Dalej nad trzyczęściową kanapą zwraca uwagę karykatura Mężczyzna karmiący piersią Kazimierza Sichulskiego, a obok gabloty z lalkami Szopki Zielonego Balonika, których autorem jest Karol Frycz. Pod gablotą Bilet wstępu „Gra fujara”. Z lewej strony gabloty wisi

obraz Kazimierza Sichulskiego Mężczyzna w stroju aktorskim. Poniżej gabloty znajduje się autolitografia Przybyłowicz jako król Ćwiocek z Kopciuszka według braci Grimm i Karla Augusta Görnera, a w samym środku ściany umieszczono cytowane przez Panią Zaproszenie na Szopkę Krakowską Zielonego Balonika. Z lewej strony od wejścia na Górkę, w ramce pod szkłem umieszczono fragment z książki Zenona Pruszyńskiego o Jamie Michalika, obok duże lustro ścienne, a w rogu zegar szafkowy. Oba obiekty projektowane przez Karola Frycza. U sufitu w tej części sali znajduje się lampa wisząca z początku XX wieku.

Na ścianie oddzielającej zaplecze kawiarni nad witrażem umieszczony jest obraz Bal kostiumowy Zielonego Balonika malowany również przez Frycza. Poniżej, z lewej strony tryptyku witrażowego, autolitografia Stanisława Rzeckiego-Szreniawy Bronisława Jeremi jako pazik królowej Porcyi w Kupcu Weneckim.

Nad drzwiami, które wiodą na zaplecze kawiarni, z lustrem pośrodku obraz olejny Sąd ostateczny Kazimierza Sichulskiego. Jest to trawestacja Sądu Michała Anioła z Kaplicy Sykstyńskiej. Proponuję zatrzymać się przed nim dłuższą chwilę, bowiem zawiera on bogatą anegdotę. W środku kompozycji jako Bóg Ojciec występuje Boy, z lewej jako Syn – Teofil Trzeciński, po prawej jako Duch Święty – Witold Noskowski i inne postaci Zielonego Balonika. Boy przytacza taką anegdotę: nagie, dość obcesowo namalowane postaci, miały zgorszyć stałego gościa kawiarni, emerytowanego austriackiego generała do tego stopnia, że nie dopił porannej kawy i wyszedł. Przerażony Michalik, który o fakcie dowiedział się od kelnera, polecił artystom zasłonięcie obraźliwych szczegółów. Sichulski po oporach domalował muślinowe majtki wszystkim postaciom.

Po lewej stronie drzwi wiszą trzy karykatury portretowe Kazimierza Sichulskiego, przedstawiające rektora Kazimierza Weissa, Xawerego Dunikowskiego i Teodora Axentowicza. U sufitu nad witrażem obraz Pochód triumfalny Jana Michalika Karola Frycza. W rogu na ścianie oddzielającej Salę Fryczowską od Sali Czerwonej trzy karykatury portretowe Kazimierza Sichulskiego przedstawiające: Xawerego Dunikowskiego, Konstantego Laszczkę i Józefa Pieńkowskiego. Pod sufitem nad karykaturami znajduje się obraz Bal 1900 2 marca u Michalika, wykonany przez Alfonsa Karpińskiego.

Została nam jeszcze Górka, czyli niewielka scena z pianinem, znajdująca się w głębi Sali Fryczowskiej. Kto występował na jej deskach?

To specjalna scena zbudowana podczas remontu kawiarni i dobudowywania Sali Fryczowskiej w latach 1910-1911. Występował na niej w schyłkowej fazie kabaret Zielonego Balonika, między wojnami produkowali się tutaj różni artyści, a po II wojnie światowej kabaret Stwory. Obecnie mają tu miejsce organizowane w Jamie różne imprezy.

Na Górce – jak Pani widzi – mamy też obiekty sztuki secesyjnej. W portalu wisi lampion, na lewo od wejścia zwraca uwagę przeszklona ściana, wykonana według projektu Karola Frycza. Na jej tle czarny fortepian marki Hoffman.

We wnęcie na prawo od fortepianu umieszczono: litografię Stanisława Rzeckiego-Szreniawy przedstawiającą Helenę Łazarewicz – aktorkę związaną z Szopką Balonika, litografię

Karola Frycza Król z Eros i Psyche, karykaturę Prezydenta Krakowa Jana Kaniego Federowicza wykonaną w 1914 roku przez Kazimierza Sichulskiego oraz tegoż karykaturę Jan i Tadée. Na całej ścianie naprzeciwko wejścia na Górkę znajduje się olejna karykatura także Kazimierza Sichulskiego pod tytułem Kto więcej zasłużył się dla Sztuki?

Proponuję teraz zwrócić uwagę na ścianę na prawo od wejścia na Górkę i obejść dookoła to małe pomieszczenie. Identyfikacja dzieł sztuki nie będzie przedstawiała trudności, gdyż w większości są one podpisane. Autolitografia Karola Frycza, scena z Erosa i Psyche Jerzego Żuławskiego (Blacs – Sosnowski, Psyche – Mrozowska). Powyżej niej autokarykatura Kazimierza Sichulskiego Kabotyn. Proszę też zwrócić uwagę na dwa portrety męskie we wspólnej ramie wykonane także przez Sichulskiego oraz karykaturę z podpisem „Przyjaciel Zielonego Balonika” autorstwa Kazimierza Sichulskiego.

Oto pozostałe rysunki i karykatury: Trzy główki rysunek Stanisława Rzeckiego-Szreniawy, a powyżej również jego autolitografia Bronicz i Kotarbiński w Kupcu weneckim, dalej Stępowski w roli Hamleta autorstwa „Sobiesława” Bystrzyńskiego, a obok Patron mężczyzn także „Sobiesława”. W następnym przeszłe widzimy szafkę w ścianie, a powyżej Siostry bliźnię Karola Frycza. Anastazja – autolitografia Witolda Wojtkiewicza, która w 1930 roku wisiała w Sali Fryczowskiej. Dalej afisz informujący o III szopce, która miała miejsce w Hotelu Pod Różą w lutym 1908 roku, a poniżej laurka dedykowana Stanisławowi Stworze na 25-lecie Jamy Michalika, wykonana przez Antoniego Wasilewskiego w 1933 roku.

Czy wszystkie dzieła sztuki znajdujące się w Jamie Michalika są arcydziełami?

Na pewno nie! Nie o to przecież szło jej restauratorom. Wszystkie jednak są charakterystyczne dla epoki. Większość z nich wyszła spod pędzli i ołówków profesorów Akademii Sztuk Pięknych. Przywołują one postaci znane w świecie artystycznym Krakowa, a czasem też w życiu politycznym kraju. Stanowią swoistą ilustrację do tekstów Zielonego Balonika. Myślę więc, że kontakt z nimi, przyjrzenie się – jak to czynimy dzisiaj – namalowanym na obrazkach scenom i figurom pozwoli lepiej zrozumieć satyrę tamtego kabaretu, atmosferę modernistycznego Krakowa.

Finalizując nasz spacer po legendarnym wnętrzu, zapytam: gdyby Jan Michalik zgodził się na pomalowanie ścian kawiarni przez Wyspiańskiego, byłaby ona dziś bardziej czy mniej atrakcyjna?

Myślę, że nazwisko autora Wesela przyciągnęłoby dodatkowych turystów, zwłaszcza uczniów szkół średnich i studentów polonistyki. Trudno mi jednak wyobrazić sobie, jakby wyglądała wówczas Sala Czerwona... Może jakieś wzorki ludowe, kwiaty na ścianach...

Osobieścieprzeszkadzamiprzyoglądaniupracnaścianachbrak informacji pod prezentowanymi obrazami. Nie każde dzieło posiada sygnaturę artysty. Byłam świadkiem bezradności pewnego turysty, który szukał obrazów Sichulskiego w Sali Fryczowskiej. Przyszłam mu z pomocą, ale rzeczywiście nawet na dużym malowidle Kabaret Zielonego Balonika podpis autora jest mało czytelny. Jak sobie w związku z tym Pan Profesor poradził, opisując centymetr po centymetrze

ściany kawiarni?

By ułatwić zwiedzającym identyfikację dzieł sztuki wprowadziłem od II wydania przewodnika Jama Michalika schematy ścian z ponumerowanymi obiektami. Ja w Jamie Michalika pracowałem parę miesięcy, identyfikując poszczególne dzieła. Nieocenioną dla mnie pomocą była wspomniana już broszura Zenona Pruszyńskiego pod tytułem Jama Michalika. Lokal Zielonego Balonika. Część jego opisów poszczególnych obrazów wprowadziłem do mojego przewodnika. Mimo tych starań nie udało się jednak ustalić wszystkich autorów dzieł.

Ma Pan swoje ulubione miejsce w Jamie? Sofę, krzesło, na którym pisał Pan w roku 1995 swój przewodnik?

Nie mam ulubionego miejsca w kawiarni. Podczas prac nad przewodnikiem przebywałem w kolejnych pomieszczeniach. Preferuję jednak Salę Fryczowską, a w niej kanapę koło kominka.

Jak długo powstawała książka?

Książka powstawała parę lat. Na jej genezę złożyło się kilka przyczyn, między innymi: moje (jako nauczyciela akademickiego) zainteresowanie epoką Młodej Polski; to, że miałem okazję zapoznać się z obiektami secesyjnymi, z kawiarniami z tej epoki w Europie, z muzeum secesji w Nancy i Płocku; a także chęć ułatwienia zwiedzającym kontaktu ze zgromadzonymi tu dziełami.

Panie Profesorze, o Jamie Michalika moglibyśmy rozmawiać godzinami. Zanim jednak zakończymy konwersację, przywołam pewne moje wspomnienie z roku 1996. Otóż, w rok po ukazaniu się przewodnika Pana autorstwa, miałam przyjemność podczas V ogólnopolskiego Forum Bibliotekarzy wysłuchać z ust Pana całej historii Jamy. Oprowadzał Pan naszą grupę po wnętrzu kawiarni. Barwna opowieść wywarła na mnie tak wielkie wrażenie, że opisałam je w wierszu stylizowanym na Słówkach Boya. Odnalazłam go w moim przepastnym poetyckim archiwum, przygotowując się do naszej rozmowy. Może zacytuję tylko dwie końcowe strofki:

!Spotkanie z Faronem! było przeciekawel/ Profesor zaprosił !każdą z pań na kawel/

!Gdyby słów dotrzymał! cudownie by było/ Bo raz by się jeszcze! Jamę odwiedziło

Obietnica po dwudziestu sześciu latach, spełniona. Michalikowa kawa ma podobny smak jak wtedy, ale proszę jeszcze powiedzieć, czy coś się zmieniło od 1995 roku w wystroju tego magicznego miejsca?

Nie ma tu na szczęście jakichś zmian, prób modernizacji. To zasługa Stanisława Kulisia, który dba o nienaruszanie historycznego wystroju Jamy Michalika. Zawsze tu z sentymentem wracam.

Dziękuję za wyjątkową rozmowę, poświęcony czas i piękną opowieść o unikatowej secesyjnej kawiarni w Krakowie, a nawet – jak Pan twierdzi – w całej Europie.

Jama Michalika, Sala Fryczowska (Zielona), 06.02.2023

MAREK SOŁTYSIK



SZKLANKA KOPERNIKA

SŁUCHOWISKO

OSOBY:

Mikołaj Kopernik

Anna Schilling

Retyk (Jerzy Joachim von
Lauchen Retyk, jedyny uczeń
Kopernika)

Widmo Andrzeja Kopernika

Autor

Reżyser

Uczony

Rzecz dzieje się w teatrze

REŻYSER

Postacie z brązu, prosimy na scenę!

kroki wielu aktorów wchodzących na raz na deski sceniczne

REŻYSER

Pan wybiera, autorze.

kroki aktorów milkną, skrzypienie fotela i kroki autora wchodzącego na scenę

AUTOR

Kogo tu mamy? Ten to będzie na pewno wieszcz, tak, oczywiście, z tą lwią siwą grzywą i z piórem, taak... a ten, dosyć śmiesznie podrobiony, żeby nie było wątpliwości, w koszuli z rozchełstanym kołnierzem – i kaszle. Powinno mu się jeszcze, ha, ha, ha!... przyprawić wąsik. Nie ma się o co obrażać. O, a tu już brąz lity! (stukanie w metal) Z księdzem Jakubem Wujkiem na pewno by się nie udało... Ale wiecie co – może Kopernik!

UCZONY

Dlaczego Kopernik? Czy może się stać bohaterem spektaklu genialny astronom, oddalony od nas nie tylko dystansem pięciuset lat, lecz przede wszystkim dystansem odkrycia, które zrewolucjonizowało naukę?

REŻYSER

Ludzie pragną igrzysk. Całkiem niedawno pokolenie dzieci-kwiatów miało swojego Jezusa Chrystusa supergwiazdę. Możliwe, że z tego powodu nic się takiego nie stało.

UCZONY

To taka próba skrócenia dystansu?

REŻYSER

Dobrze to pan profesor ujął.

UCZONY

He!... Uczony o ascetycznej posturze i poważnej twarzy kanonika fromborskiego, w takiej postaci powielany na niezliczonych reprodukcjach, wzbudzi szacunek i respekt, ale przecież nie zachęci do działań artystycznych z Mikołajem Kopernikiem jako bohaterem!

AUTOR

(wrócił na miejsce w fotelu, zdyszany) Ale nie zapominajmy, że Kopernik, który był również dobrym malarzem, przedstawił się na autoportrecie – z konwalią w dłoni. Kolejni artyści, którzy go malowali, pamiętali o tej konwalii.

REŻYSER

Ciekawe! Właśnie! Kwiat konwalii...?

UCZONY

Kwiat symbolizował trzeci czy czwarty fach Kopernika. Fach lekarza – lekarza, który stosował również i leki z konwalii, a nawet sam te specyfiki sporządzał. Zachowały się rękopisy jego recept. Dzięki praktyce lekarskiej Kopernik jeszcze za życia otrzymywał dowody wdzięczności od możnych i panujących pacjentów.

REŻYSER

(do aktora) Będziesz grał Kopernika. Kostium już masz. Scenografia jeszcze niegotowa, ale wyobraź sobie, gdzie jesteś. (słysząc, jak wielu innych aktorów schodzi ze sceny) Gwiazdzista noc nad Fromborkiem. Otoczony notatkami Kopernik waha się, czy odłożyć astrolabium. Wpatruje się w letnie niebo. Jest już zmęczony. I teraz – co mu się zresztą rzadko zdarza – opowiada, zwracając się do swojego jedyne go ucznia, Retyka.

KOPERNIK

Widzisz, są daty, których się nie zapomina. Najlepsze, najgorsze. Tak jak się nie zapomina, nie śmieje się ze starego, zapachu włosów pierwszej umiłowanej, a teraz się śmieje, niepowtarzalnego smaku bolońskich pierożków... nikt mi już takich nie robi. Ale do rzeczy. To był wieczór 9 marca 1497 roku, miałem wtedy 24 lata i z moim starszym przyjacielem, słynnym już wówczas astrologiem Domenico de Novarą, w jego bolońskim obserwatorium czekałem z natężeniem na moment, kiedy Księżyc zakryje błyszczącą jak diament gwiazdę zwaną Okiem Byka. Zrobiliśmy z Novarą pomiary, obliczyliśmy skrupulatnie – i wyszło na to, że teoria Ptolemeusza jest błędna. A co teoria Ptolemeusza głosiła?

RETYK

To już przeszłość. Dzięki wam, mistrzu... Teoria Ptolemeusza zakładała nieruchomość Ziemi oraz biegunów niebieskich.

KOPERNIK

Nie mieliśmy z Novarą innego wyjścia. Trzeba było pchnąć w ruch albo Ziemię, albo niebiosa.

RETYK

De Novara postanowił pchnąć niebiosa.

KOPERNIK

I tu już nie byłoby zgody, gdyby między mną a Novarą nie istniała prawdziwa przyjaźń. Ja bowiem wybrałem ruch Ziemi. Jak wiesz, niczego bym nie dokonał bez nieustających lektur – od Ptolemeusza, któremu cześć trzeba oddać, poprzez Regiomontana, aż w głąb, do starożytnych Egipcjan. Mogłem wspólnie z Novarą i, co niemniej ważne, u Novary, pracować nad obserwacją ósmej sfery...

RETYK

Ósmej sfery... Mistrzu!

KOPERNIK

Cóż mi się tak przyglądasz?

RETYK

Przyznam się... Albo... Mistrz mnie zgani. *(długie milczenie)*

No więc tak, nie dostaje mi widać talentu, trzeba się skupić na tym, co pewne, a ja... Ja próbowałem na podstawie ukradkowo robionych szkiców namalować portret mistrza. I co się okazało: mimo moich najbardziej drobiazgowych obserwacji i zabiegów malarskich mistrz wychodził na tym portrecie młodszy o co najmniej trzydzieści lat! (cisza) I teraz, kiedy mistrz mówi o tym, co najważniejsze, jest taki, taki młody, jak na moim portrecie! A! portret więc nie jest nieudany! Nieudana jest codzienność.

KOPERNIK

Aleś to pięknie ujął! Zapisać! I portret mi, mam nadzieję przyniesiesz, pokażesz. Ciekawym go, ciekawym! Młodość na twarzy. To ci dopiero. Może to znak wolności? Wolności koniecznej. Widzisz – wiem, że na pewno uczony powinien chronić swojej wolności jak skarbu najcenniejszego. Całkowitej, wierz mi, wolności. Pewnie artysta także. I widzisz... Najprędzej starzeją się niewolnicy.

RETYK

I to zapiszę.

REŻYSER

(kłascze) Dobrze! To trzeba będzie wyeksponować. (pomrukuje) Tylko jak? (do aktorów) Panowie, dziękuję bardzo, przerwa do pięć po dwunastej.

Odgłos odsuwanych sprzętów na scenie, kroki aktorów schodzących ze sceny

AUTOR

Kontakt z naturą to także kwiaty i rośliny lecznicze, nie tylko gwiazdy obserwowane w pogodną noc z wieży najwyższego i z widokiem na Zalew Wiślany domu we fromborskich murach obronnych, za który to dom Kopernik płacił w ratach, nie tak jak by chcieli włodarze miasta, przez dwa lata – lecz przez trzy, bo tak jemu było wygodniej.

REŻYSER

Żaden pięknoduch. I bardzo dobrze. Człowiek bardziej obeznany ze sprawami codzienności niż niejeden obrotny kupiec.

UCZONY

Wywodził się zresztą z rodziny kupieckiej. Urodzony 530 lat temu w kamienicy mieszczańskiej w Toruniu, był synem i wnukiem bogatych kupców osiadłych w Krakowie. Dopiero jego ojciec przeniósł się do Torunia.

REŻYSER

Czyli za granicę wówczas. Do Prus.

UCZONY

Od wczesnego dzieciństwa znał wartość pieniądza i szanował pieniądze – i dlatego po latach mógł stać się ekspertem do spraw reformy pieniądza. To jednak on był tym, który po raz pierwszy sformułował prawo wypierania lepszego pieniądza przez gorszy, które – jak zauważył profesor Eugeniusz Rybka – powinno się nazywać prawem Kopernika, a nie prawem Greshama.

REŻYSER

Człowiek par excellence renesansowy, obracający się przecież głównie w scenerii gotyckich murów Warmii, to już gotowy temat

dla pisarza, dla twórcy malowniczego, niegłupiego widowiska.

UCZONY

Wyznawca idei pitagorejskich, nakazujących ukrywanie przed tłumem tego, co przeznaczone tylko dla mędrców, w wieku dojrzałym pracował i pisał w samotności, a jednak – zanim dopadła go na starość śmiertelna choroba – był szanowany przez rówieśnych, wielbionych przez ucznia, Retyka, ceniony przez wyższych duchownych kościoła katolickiego.

AUTOR

Że tak zapalczywie zwalczał jego idee Marcin Luter, to także świadczy o sile oddziaływania w Europie rewolucyjnych odkryć Kopernika, który już za życia był zaliczany do najwybitniejszych postaci polskiego Odrodzenia.

REŻYSER

Więc jednak gwiazda!

UCZONY

Gwiazda z plejady Andrzeja Frycza Modrzewskiego, Jana Ostroroga, Mikołaja Reja, Jana Kochanowskiego.

Kroki na scenie

REŻYSER

Wchodzi Anna Schilling

ANNA SCHILLING

Czy gdybym zawsze nie zapraszała, to byście nie wiedzieli, kiedy schodzi się na kolację? Sandaczek wyschnie w duchówce, kartofelki smak stracą. Samą rozmową nikt się najadł. A panowie – uczeni moi – zupełnie jakbyście nie odczuwali... pragnienia i łaknienia.

REŻYSER

Jest oczywiście zbyt młoda i zbyt piękna, żeby być gospodynią Kopernika. Przed złymi językami ratuje ją na razie fakt jakiegoś powinowactwa z astronomem.

KOPERNIK

(do Anny i Retyka, z uporem) Idźcie, idźcie, spożyjcie wspólnie

REŻYSER

Teraz słuchajcie. Ty zwłaszcza! (do aktora grającego Retyka) W tym momencie Retyk wpatrując się w mistrza musi nas przekonać, że chwytą wreszcie istotny rys starości w twarzy Kopernika...

AUTOR

...Kopernika, który zdaje się przed czymś – może przed przenikliwym spojrzeniem ucznia – chronić drewnianym astrolabium – jak tarczą.

REŻYSER

Dobra, dobra. (Szepcze jeszcze do Anny). No...!

KOPERNIK

A mnie przynieś szklankę wody. Tak, może być z miodem, ta, coś mi wczoraj nastawiła.

Kroki odchodzących, westchnienie Kopernika, kaszel.

AUTOR

(do Reżysera) No widzisz – żywa postać. Z jednej strony typ indywidualisty, który do swoich odkryć dochodzi w ciszy pracowni, z drugiej – otwarty społecznik, świetny organizator, badacz stosunków sąsiedzkich i przenikliwy polityk.

REŻYSER

Skąd przyszedł?

UCZONY

Tego na sto procent się nie dowiemy, ród astronoma mógł się wywodzić albo ze śląskiej wsi Koperniki koło Nysy, albo z wsi w Czechach o tej samej nazwie (początkowo tu i tam – nazwa Koprniki; nazwisko Kopernik raczej od cuprum – miedzi, niżli od kopru). „W starych księgach miejskich ... w archiwach kościelnych Wrocławia i Krakowa, Zgorzelca i Olkusza, Nysy i Lwowa ... zapisano wielokrotnie nazwisko Koperników” – rozświetla mroki kopernikolog Stanisław Grzybowski i w innym miejscu swego kompendium podaje: „nie Śląsk, lecz Kraków, Toruń, węgierska miedź i rywalizacja polsko-krzyżacka wyznaczyły przyszłe jego losy. Przetrawanie zaś przez wieki tego nazwiska we wsiach podkrakowskich Olszy i Rakowicach – dziś dzielnicach Krakowa – potwierdzają naszą tezę, że kolebki rodu szukać należy bliżej Wawelu niż Sudetów... Rodowód Koperników krakowskich zaczyna się niechlubnie: od kar za chuliństwo”.

REŻYSER

Zdarza się nawet w najlepszej rodzinie. Cóż.

AUTOR

W każdym razie przodkowie uczonego od kilku pokoleń zamieszkiwali Kraków.

REŻYSER

Mówiłeś. No tak. Dopiero jego ojciec, także Mikołaj, przeniósł się na Warmię.

UCZONY

Mikołaj, syn Mikołaja, a przy tym wierny syn Polski, bronił Warmii i Prus przed Krzyżakami. Warmię i całe Prusy – w których był rzecznikiem polskich interesów – traktował jako część narodu polskiego.

AUTOR

Aż dziw, że nie znalazł się na kolosalnym płótnie Matejki Hołd pruski. Był przecież równie mile widziany w Królewcu na szwabskim dworze księcia Albrechta Hohenzollerna (tego samego, który klęczy w pysznej zbroi i składa hołd), jak i w Krakowie, na Wawelu, u króla polskiego Zygmunta Starego (który hołd z dumą i godnością przyjmuje). Najpierw jako lekarz do Krakowa przyjeżdżał, potem jako ceniony uczonego, doradca... lecz nie dyplomata.

REŻYSER

Był na to zbyt niezależny.

AUTOR

I bywał poetą. Przetłumaczył dowcipne, mądre, toteż

w niektórych miejscach niecenzuralne, Listy Teofilakta Symokatty. Te mniej, powiedzmy, kosmate, wydał drukiem, a nawet zadedykował wujowi, kanonikowi Waczenrode, kto wie, może nawet sponsorowi wydania... Weź no ten kawałek, reżyserze miły, i przeczytaj.

szelest kartki

REŻYSER

„Nawet igraszki poezji są pełne wszelkiej mądrości. Syn Melesa powiada, że Odys woskiem zatkał uszy towarzyszom, gdy statki zaniosło do przewrotnych Syren, a syn Laertesu był trzymany w pętach jak w zamknięciu, z którego nie ma ucieczki. Ta baśń odsłania tajemnice filozofii”... No, no!

AUTOR

Mówiłeś o niezależności Kopernika. Niezależność łączy się z odwagą. Gdy wczasy wojny z Krzyżakami, czterdziestoosmioletni, przez pół roku pełnił funkcję dowódcy Olsztyna, najpotężniejszego zamku warmińskiego, prócz niego wszyscy kanonicy uciekli z Warmii. On nie opuścił odpowiedzialnego stanowiska.

REŻYSER

Ale do rzeczy. Jak to się stało, że potem, po latach, mógł rozpocząć swoją księgę stwierdzeniem: „Świat jest kulisty – Ziemia jest również kulista”?

UCZONY

Po studiach w Akademii Krakowskiej – gdzie w tym czasie dotarły echa odkrycia Ameryki przez Kolumba – bez stopnia naukowego powrócił do domu na wieść, że wuj, wielmożny Łukasz Waczenrode, opiekujący się rodziną Koperników po śmierci ojca rodziny, załatwił mu stanowisko kanonika warmińskiego. I tu proszę uważać! Szczęście uśmiechnęło się do Mikołaja w momencie gdy odpowiednia rada stwierdziła, że nie mając tytułu doktora, absolutnie nie ma on możliwości objęcia kanonii. Kanonia jednak sobie spokojnie na niego czekała, a Kopernik, człowiek wolny, ruszył na dalsze studia – do Bolonii. I tam – utwierdzony o sensowności swoich astronomicznych poszukiwań przez starszego kolegę, Novarę, dwudziestoczteroletni, zaniedbywał studia prawnicze, za to nocami w obserwatorium ze specjalną uwagą śledził zwłaszcza gwiazdę zwaną Kłosem Panny.

REŻYSER

Kłosem Panny?

UCZONY

Tak, Kłosem Panny.

AUTOR

Dobry tytuł: Kłos Panny.

REŻYSER

Przełom!

UCZONY

Kłos Panny odsłonił Kopernikowi tajemnice Wszechświata. Astronom mógł odtąd udowodniać nieruchomość gwiazd stałych, a ściśle – niezmiennosc dorocznego obiegu Ziemi w odniesieniu do gwiazd stałych. Obserwacja Kłosa Panny pomogła Kopernikowi ustalić długość roku słonecznego, co

przysłużyło się reformie kalendarza.

AUTOR

W Bolonii spędził ponad pięć lat, potem, w 1500, zjawił się w Rzymie, żeby wziąć udział w obchodach Roku Świętego, wraz ze swoim starszym bratem, Andrzejem – który, jak on, studiował i podróżował na koszt wuja Waczenrode. Pozostał blisko rok w Wiecznym Mieście i wcale mu się nie spieszyło do kanonii. (ze śmiechem) Już wtedy, nie stroniący od lepszych stron życia, obmyślał kształt odkrycia...

UCZONY

Odkrycia, którego zręby już w Rzymie, dwudziestosiedmioletni, nakreślił, już jako profesor matematyki, przed licznie zgromadzonymi znakomitymi mężami i mistrzami tej nauki...

REŻYSER

...co tak pięknie po latach namalował Wojciech Gerson, warszawski rywal Matejki.

UCZONY

Rozeszła się po Europie wieść o Koperniku, człowieku, który prezentując zupełnie nowe metody myślenia, oferuje bogactwo treści. To, co dopiero w czterdzieści lat potem dotarło do wydawcy jako De revolutionibus..., stało się już u progu XVI wieku początkiem nowoczesnej astrologii.

Kroki na scenie

REŻYSER

To teraz porządnie mi zagrajcie scenę rozstania się Kopernika z jego uczniem, Retykiem, który po całym roku pobytu w domu astronoma i pod czułą opieką Anny Schilling musi powrócić do rodzinnej Getyngi. (ucisza Autora i Uczonego, którzy szeptem wymieniają jakieś uwagi nie dotyczące tematu)

RETYK

Jak to jest, że u was pije się ten miód jak boski napój, a to przecie, było nie było, trunek, umysł się rozjaśnia, a nazajutrz głowa wcale za karę nie boli?

ANNA SCHILLING

To trzeba pozostać u nas. Dla tego miodu.

RETYK

Nie można za długo. Zaraz po powrocie powiadomię Marcina Lutra o doniosłości twojego odkrycia, mistrzu Mikołaju.

KOPERNIK

Marcin Luter nie jest astronomem.

ANNA SCHILLING

Marcin Luter jest reformatorem. Mikołaj, w innej dziedzinie, jest również reformatorem. Zalecałabym raczej milczenie

KOPERNIK

Myślisz, Anno, że mogą polecieć iskry?

ANNA SCHILLING

Myślę, że tak. I że ciebie poparzą, nie Lutra. On w mocnej zbroi, a tyś nagi.

KOPERNIK

Może trzeba mi wreszcie bólu, opamiętania. Siedzę w otoczeniu gwiazd, tutaj jako gospodarz tego kawałka ziemi zapobiegam klęskom, które mogłyby się dokonać za sprawą głupoty ludzkiej – a nawet nie wiem, gdzie pochowano mojego brata, nieszczęsnego Andrzeja, którego opuścił w biedzie. (pauza) Nie oponowałem, kiedy go wyrzucili poza mury. (pauza) Może nawet, przyznam, odetchnąłem, bo, choć przeraźliwie nieszczęśliwy, był nieznośny! Nieznośny z tymi swoimi roszczeniami! A!!! Mógł tutaj umierać godnie. Przy mnie, przy bracie lekarzu. A ja nie dałem mu szansy!

RETYK

Niech się mistrz uspokoi.

Kroki

UCZONY

Każda teoria naukowa spełnia wtedy swoje zadanie, kiedy wyjaśnia znane fakty i daje możliwości przewidywania faktów nowych, nieznanych, podaje nowe prawdy o naszym współczesnym świecie, stając się odskocznią do nowych badań. A nową prawdą Kopernika było twierdzenie, że Ziemia jest jedną z planet i że wraz z innymi planetami biegnie dokoła Słońca. Ta teoria przygotowała badaczy do stawiania zagadnień, które należałoby rozwiązać w dalszym rozwoju myśli Kopernikańskiej: znalezienie prawdziwych dróg planet; prawa rządzące tymi ruchami, a przede wszystkim poznanie dokładniejszych rozmiarów dróg planetarnych i całego układu planetarnego.

AUTOR

Nowa była także i metoda przyrodnicza Kopernika, wolna od przypisywania siłom nadprzyrodzonym wpływu na przebieg zdarzeń we wszechświecie. I to w czasach, kiedy zawód astrologa był jednym z najbardziej popłatnych: z usług i porad astrologów korzystali nie tylko władcy, lecz także, dyskretniej, dostojnicy kościelni.

REŻYSER

Człowiekowi niezależnemu, he, he, nie odpowiada rola lobbysty... Ale, ale, mam problem. Wałkowaliśmy: tu Śląsk, tam Kraków, tu Toruń, Prusy, Warmia et cetera, et cetera. Ale powiedzcież mi wreszcie: czy istnieją jakieś niezbite materiały świadczące konkretnie o narodowości Kopernika?

AUTOR

Był Europejczykiem w pełnym tego słowa znaczeniu. Dużo zawdzięczał niemieckiej kulturze mieszczańskiej, także kulturze włoskiej. Kochał Prusy – miejsce urodzenia. Doceniał Kraków, miasto swoich rodziców, dziadków, pradziadków...

UCZONY

I miasto wielkiego Uniwersytetu! Działał w czasach, kiedy w Europie wzmogło się zainteresowanie astronomią, bo w latach 1531, 1532 i 1533 na niebie pojawiły się tajemnicze komety. W tym czasie – namawiany i przekonywany – był coraz bliższy podjęcia decyzji ogłoszenia drukiem wyników swoich badań.

AUTOR

No, ale wtedy dobiegał sześćdziesiątki. Wcześniej tego **nie** ryzykował... Zaczynał się dla niego zły czas. Dopóki, jako mędrzec, za Sokratesem i Platonem, Arystotelesem i Pitagorasem, uczył mądrości i praw nia rządzących – jak powiadał jego późny uczeń, Kepler, był „sam nieświadom bogactwa swego umysłu” – dopóty współcześni darzyli go estymą i rozgłaszali jego sławę. Znamienne, że w momencie ukazania się drukiem fragmentu jego pracy – dotyczącego trygonometrii – natychmiast rozległy się ostre głosy krytyki.

UCZONY

Jedni w tym bezpretensjonalnym tekście dopatrywali się plagiatu, inni wytykali drobne błędy...

REŻYSER

...w każdym razie została puszczone w ruch machina mogąca zmiażdżyć dzieło, a pośrednio i życie autora.

Kroki na scenie

KOPERNIK

To ty, Anno?

ANNA

Przecież wiesz.

KOPERNIK

Przyszłaś ze szklanką wody.

ANNA

Ze szklanką wody.

KOPERNIK

Nawet się nie domyślasz, jakie ma znaczenie, z czyjej ręki przyjmuję szklankę wody. Przecież jeszcze nie jestem niedołążny, więc nie jest to kwestia miłosierdzia.

ANNA

Nie musisz kończyć.

KOPERNIK

Usiądziesz przy mnie?

ANNA

Usiądę przy tobie.

KOPERNIK

I będziesz ze mną... do końca?

ANNA

Po co mówić o końcu. (po chwili) Nie zasłaniaj oczu.

AUTOR

Anna Schilling. Mężatka, właścicielka kamienicy w Fromborku, daleka kuzynka Kopernika.

REŻYSER

Dla ludzi z najbliższego otoczenia była zbyt atrakcyjna i mądra, aby mogła nadal sprawować obowiązki gospodyni kanonika Kopernika i mieszkać z nim w jego domu.

AUTOR

Ciekawe – jej zalety, które uznali za niebezpieczne, dostrzegli dopiero w momencie, kiedy dziełem Kopernika, na razie znanym ze streszczeń, dokonanych przez jego ucznia, zafascynowanego nim Retyka, zainteresowali się moiżni tego świata – kardynał Mikołaj Schonberg i książę Albrecht Hohenzollern.

REŻYSER

Są ludzie i ludziska. Daj papierosa.

AUTOR

Ja już nie palę. Weź te tutaj, Kuba zostawił... Ci wszyscy mili ludzie z najbliższego otoczenia od momentu wzrostu jego popularności tak długo oficjalnymi listami, poleceniami i rozpowszechnianiem plotek dręczyli Kopernika, aż wreszcie dopięli swego – kobieta musiała odejść. Książd astronom znowu pozostał sam.

REŻYSER

(po chwili) Ohydne te Kuby papierosy. Chyba będę musiał rzucić palenie.

AUTOR

Masz okazję... Dramatyzm tego rozstania – do którego przyczynił się biskup Jan Dantyszek, w ogóle wielbiciel dzieła Kopernika, kiedyś pierwszy pijak i kobieciarz na dworze polskiego króla, teraz zgorzkniały urzędnik – o ileż wydaje się bardziej dojmujący od przeżycia konieczności rozstania się ze starszym o dwa lata bratem Andrzejem.

UCZONY

Mikołaj i Andrzej wspólnie studiowali w Krakowie, potem się rozdzielili: Mikołaj, jak się rzekło, w Bolonii, a Andrzej w Rzymie – gdzie się zaraził chorobą weneryczną.

AUTOR

Najgorsze, co mogło być – lues. Kiedy powrócił na Warmię, cały w cuchnących ranach i z twarzą wyżartą chorobą, a ponadto domagający się pensji z racji teoretycznie pełnionych obowiązków kanonika, władze kościelne w końcu doprowadziły do wygnania go poza mury Fromborka.

REŻYSER

Teraz. (szum) Zza ściany obserwatorium ma szczyście wieży najpiękniejszego domu w murach obronnych wyłania się straszna postać.

AUTOR

To Andrzej. Brat Mikołaja Kopernika. Wraca – oczywiście jako widmo – żeby w Mikołaju obudzić sumienie.

WIDMO ANDRZEJA KOPERNIKA

Akurat na mnie padło... Ty miałaś więcej szczęścia. A przecież zabawialiśmy się wspólnie... Najczęściej... Szkoda teraz słów. Nie będę ci liczył. Powiesz, że mogę mieć pretensje tylko do losu. Ty przecież wiesz, jak to się załatwia gładko... Ze mną – he, he! No, niech ci także tak gładko pójdzie! No! Masz!

Pogładź mnie, no. pogłaskaj w moje przegnięte policzki! Scałuj fetor ust moich, bracie!

KOPERNIK

Nie mogłem nic zrobić, żeby cię zatrzymać.

WIDMO ANDRZEJA KOPERNIKA

Wiem, że nie mogłeś! (przedrzeźnia brata) „Nie mogłem nic zrobić, żeby cię zatrzymać. Nie mogłem nic zrobić, żeby cię zatrzymać!” Powiedz raczej: Nie ruszyłem ręką, żeby przeciwstawić się tym, którzy wyrzucili brata mego poza mury miasta, wyrzucili go tak, jak się wyrzuca padło, ściervo, jak kał!!! Wiem, patrzyłeś tylko w swoje gwiazdeczki... i na czubek własnego nosa! (po chwili) Znam i twoje zasługi – tam, w Olsztynie, przy obronie zamku. Wiem więc, że tchórzem nie jesteś. Ale gdyby cię tak ktoś taki jak ja, marny, nazwał nikczemnikiem... wobec zgromadzonych moiżnych...? Co ty byś mu zrobił?

REŻYSER

Wystarczy. No, reflektory! Gwiazdy gasną. Ma być już świt. Zjawia się Anna. (kroki) Kopernik wzdycha, a przecież powinien chociaż trochę się cieszyć. Z ręką w zanadrzu słucha, co ma ona do powiedzenia na temat jego ostatniej rozmowy z Retykiem:

ANNA SCHILLING

Przed nikim tak się nie odkryłeś, jak przed nim.

KOPERNIK

Jemu, Anno, opowiedziałem o rzeczach strasznych. Przed tobą natomiast nie ukrywałem tego, co najpiękniejsze.

ANNA SCHILLING

Ani ja przed tobą.

KOPERNIK

(mruczy) Ale nie ukryło się i to przed ludźmi.

REŻYSER

Kopernik każe jej przeczytać wyciągnięty z zanadru list. To oficjalne pismo. Władze kościelne oraz świeckie nakazują opuścić Annie Schilling dom Kopernika.

Kroki na scenie

AUTOR

Po raz drugi w życiu Mikołaj Kopernik nie ma wpływu na decyzje innych dotyczące losu jego najbliższych.

REŻYSER

A może nie chce mieć wpływu?

AUTOR

Umywa ręce? Ale to także jego sprawy, jego los.

REŻYSER

Do trzech razy sztuka.

UCZONY

Właśnie. Gdyby za radą Anny Schilling Kopernik zdecydowanie się sprzeciwił, nazwijmy to, promocyjnym zakusom Retyka, być może wszystko nie skończyłoby się tak dramatycznie... a raczej tak marnie – w życiu, rzecz jasna, w życiu. Bo kiedy Retyk po żyznym i szczęsnym dlań czasie pobytu w bliskości Kopernika zajechał do Wittenbergi i tam wobec swojego potężnego protektora Marcina Lutra głosił chwałę astronoma, najukochańszego pana i nauczyciela, Luter, który akurat na astronomii się nie znał, ale jego głos był doskonale słyszalny dla zwolenników reformacji, napisał ostro: „Ten głupiec chce wyrzucić całą sztukę astronomii! Ale jak wskazuje Pismo święte, Jozue kazał Słońcu zatrzymać się, a nie Ziemi!”.

AUTOR

A znakomity uczonek, ale – jak pisze Grzybowski – „marna kreatura, prawa ręka Lutra, faryzeusz reformacji”, Melanchton, dał się zatrudnić jako tuba Lutra.

REŻYSER

Te słowa Lutra mogły zatrzasnąć przed Kopernikiem bramy jego, hm, jak to nazwać, kariery: (zmienionym głosem, uroczyście, z patosem, „robiąc” Lutra) – „Niektórzy sądzą, że to znakomite i trafne wypracować rzecz tak absurdalną jak ów sarmacki astronom, który porusza Słońce i zatrzymuje Ziemię. Zaiste, mądrzy władcy powinni powściągnąć utalentowaną lekkomyślność!”.

AUTOR

I pomyśleć, że prostolinijny, dobry Retyk, protestant, którego Kopernik gościł u siebie przez rok, doznaną z tego powodu przykrości od katolików, potem chwając przed Lutrem Kopernika wywołał gniew i sprzeciw reformatora, rozpętał burzę – i to w najbardziej niesprzyjającym momencie: właśnie wtedy, gdy starał się o wydanie drukiem *De revolutionis...*, uzyskawszy wreszcie zgodę Kopernika!

UCZONY

Wydanie dzieła w Wittenberdze okazało się niemożliwe. Drukarz nie śmiał narazić się Lutrowi. Kiedy wreszcie wiekopomna księga wyszła spod prasy drukarni w Norymberdze, nakładca, Osiander, opatrzył ją przedmową własnego autorstwa, jakże osłabiającą znaczenie dzieła Kopernika!

AUTOR

Szczęście w nieszczęściu, że Mikołaj Kopernik już tego nie zobaczył.

REŻYSER

(z żalem, zawiedziony) Jak to? Ma mi wylecieć ze spektaklu taka wspaniała scena?

UCZONY

Wbrew legendzie, która stała się natchnieniem malarzy, nie dotykał stygnącą ręką ksiąg nadesłanych w Norymbergi. Rok wcześniej, jesienią, powalony chorobą, przyspieszoną

zapewne wskutek zgrzyzot, już nie powrócił do zdrowia, a w ogóle w roku śmierci – która przyszła doń 2 maja 1543 – był nieprzytomny.

AUTOR

Doczesne szczątki Mikołaja Kopernika pochowano w katedrze fromborskiej, koło ołtarza należącego do jego kanonii.

REŻYSER

Pamięć o Mikołaju Koperniku zaczęła się od tamtego momentu utrwałać.

UCZONY

Do dziś rozjaśnia się postać rewolucyjnego odkrywcy, prywatnie najskromniejszego człowieka, którego siła odzwierciedla się w radzie udzielonej uczniowi: „Musi umysł mieć wolny, kto chce uprawiać nauki”.

AUTOR

Przestrzegął przed małostkowością, wyszydzał drobiazgowość.

REŻYSER

Potępił mrówczą pracę dla pracy. Pracę bez celu.

UCZONY

Bez perspektywy systematyzującej.

Kroki

ANNA SCHILLING

Ludzie odchodzą, gwiazdy zostają.

KOPERNIK

Ludzie przychodzą.

Kroki

AUTOR

Prawie pięćdziesiąt siedem lat po śmierci Kopernika, 17 lutego 1600 roku, na Campo di Fiore w Rzymie na wniosek Inkwizycji obnażono i spalono na stosie filozofa Giordana Bruna – za to, że głosił idee Kopernikańskie i nie wyrzekł się ich na torturach.

Kroki

[Copyright © by Marek Sotysik]



ANDRZEJ BOGUNIA-PACZYŃSKI

WYSPIANDER I PIROMĄDRZYK

Niemal dokładnie trzy miesiące po premierze „Wesela” – 18 czerwca 1901 roku – dzienniki krakowskie przyniosły sensacyjną wiadomość: – „Tegoroczna uroczystość tradycyjnych <<Wianków>> zapowiada się niezwykle wspaniale.... – donosił „Czas”. – Dość powiedzieć, że artystyczne kierownictwo objął p. W y s p i a ń s k i, którego znany polot artystyczny może dać rękomię, iż obchód ten w każdej swej części wypadnie świetnie...”. Podobnie pisała „Nowa Reforma”: – „Artystyczne kierownictwo tegorocznych <<Wianków>> raczył łaskawie przyjąć p. St. W y s p i a ń s k i (...). Uroczystość poprzedzą regaty wioślarskie Sokoła, będą koncerty Harmonii i Chóru Akademickiego, iluminowane galary, wianki świetlne, żywe obrazy i nieodzowne ognie sztuczne p. Mądrzykowskiego. Obchód ten, jednym słowem, wypadnie wspaniale...”; natomiast „Głos Narodu” informował dodatkowo, że w sobotę 15 czerwca zbierze się „specjalna Komisja wiankowa pod artystycznym kierownictwem p. W y s p i a ń s k i e g o, która obmyśli przebieg uroczystości w szczegółach”.

Komunikat Komitetu organizacyjnego „Wianków” przekazał prasie jego sekretarz, Marian Dąbrowski (redakcje sygnowały notatki o tych przygotowaniach w swoich kronikach miejskich: „Imieniem Komitetu – Marian J. Dąbrowski”). I to właśnie on – przyszły twórca medialnego imperium IKC, a wówczas aktywny członek Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”, początkujący, 23-letni dziennikarz (redaktor „Przeglądu Gimnastycznego” i „Ilustracji Polskiej”) – był, jak się wydaje, pomysłodawcą zaproszenia Wyspiańskiego i powierzenia mu kierownictwa artystycznego „Wianków”. Te pierwsze w XX wieku „Wianki” miały się odbyć w wigilię św. Jana, w niedzielę 23 czerwca 1901 r.

Męczennik pogody

Dzieje rodziny Mądrzykowskich, słynnych pirotechników krakowskich, były równie niezwykle, jak fach, który wybrali. Najślawniejszy z tej rodziny Michał Filip Mądrzykowski (1854-1919), zwany w Krakowie „Piromądrzykiem Technikówskim”, syn Jana Nepomucena – pirotechnika, organizatora festynów i fajerwerków oraz producenta ogni sztucznych – już w wieku 14 lat urządził na Błoniach swój

pierwszy publiczny pokaz. Namiestnictwo we Lwowie, do którego jego matka musiała zwrócić się o formalną zgodę na występ małoletniego syna, udzieliło łaskawie pozwolenia – jakby w przeczuciu, tego, co może się zdarzyć – na „dwukrotne spalanie ogni na Błoniach”.

Podczas pierwszej próby padał deszcz i przedstawienie nie bardzo się udało. Dopiero w drugim terminie – 22 sierpnia 1868 r. – pogoda dopisała, na Błoniach zebrał się spory tłum gapiów („Wielkie Ognie Sztuczne” reklamowano na mieście kolorowymi afiszami) i młodociany ogniomistrz mógł pokazać, co potrafi. To był pirotechniczny debiut Michała Filipa Mądrzykowskiego.

Równy dziesięć lat później, w 1878 r., „Piromądrzyk” po raz pierwszy uświetnił „Wianki” pokazem ogni sztucznych własnego wyrobu. Od tej pory – aż po rok 1919 (z niewielkimi przerwami) – żadna już noc świętojańska na Wiśle pod Wawelem nie mogła obyć się bez jego fajerwerków. Dodajmy, że pirotechniką parało się także czterech młodszych braci Michała Filipa, ale z mniejszym już powodzeniem, nie bez tragicznych nawet wypadków.

Ilekczeń Mądrzykowski urządził swoje pokazy pirotechniczne – na Błoniach, na „Wiankach”, w Parku Jordana, w Ogrodzie Strzeleckim, gdziekolwiek – zawsze ognistym owym seansom towarzyszyła niepewność: i on, i widzowie zadawali sobie pytanie – czy będzie pogoda, czy nie będzie padać? Niestety, najczęściej padało, tak jak w dniu debiutanckiego występu na Błoniach. „Na sto takich pokazów – wspominał jeden z ich stałych uczestników – z dziewięćdziesiąt nie udawało się, bo właśnie wtedy, gdy już wspaniały mąż stanu, popularny pan Mądrzykowski pierwszymi wystrzałami z moździerzy dawał Krakowowi znać, że przystępuje do dzieła, zaczynał padać deszcz...” (B. Drobner, „To już tak dawno”, 1959). O deszczowym pechu „Piromądrzyka” podobnie pisał Adolf Nowaczyński: – „Ile razy jego nazwisko figurowało na plakatach <<Wianków>>, ile razy urządził wielkie Monstre-widowisko pirotechniczne, tyle razy na pogodne niebo zaczęły wypływać chmurki bardzo czarne, a publiczność dzieliła się na dwie połowy: tchórzliwi pędzili do doróżek i tramwajów, żądni wrażeń natomiast rozpinali parasole i stali, czekając sensacji w potokach deszczu...” („Małpie zwierciadło”, 1902).

W jednym z obrazków satyrycznych Nowaczyński żartował sobie z pechowego pirotechnika: – „Panie Mądrykowski, pan powinien mieć namiot przenośny dla wyprawiania tych swoich awantur!...”

Wytrwałość żądnych wrażeń widzów bywała nagradzana – ogień Mądrykowskiego „po deszczu” paliły się podobno najpiękniej. Pamięć o fatalnym związku pomiędzy opadami deszczu a produkcjami „Piromądryka” przetrwała wiele lat. Zaświadcza o tym choćby wspomnienie Tadeusza Boya-Żeleńskiego; kiedy w 1937 roku Boy przyjechał na Dni Krakowa i w oczekiwaniu na spektakl „Kopernika” na wawelskim dziedzińcu spacerował po mieście, rozpamiętując czasy dzieciństwa, raz po raz odruchowo spoglądał na niebo: – „Wciąż łapałem się na tym, że zadzieram głowę do góry, aby sprawdzić szanse pogody, jak wówczas gdy tzw. Piromądryk miał puszczać ogień. Wytrzyma czy nie wytrzyma?...” („Dni Krakowa”, 1937).

Przysłowiowa niemal niepogoda dla ogni Mądrykowskiego – tego prawdziwego, jak mówiono, „męczennika pogody” i „patrona deszczów” – nigdy jednak nie zniechęciła mistrza. I tylko w jego pirotechnicznym katalogu pojawiały się coraz to nowe pozycje: „Deszcz ognisty”, „Diabelska ulewa”, „Deszcz krakowski czerwony”, „Szczerozłoty deszcz polski”, „Deszcze elektryczne”, „Urwanie chmury”...

Legenda, Wawel i Wianki

Tak się akurat złożyło, że w tym samym dokładnie czasie – we wrześniu 1894 r. – obaj powrócili na stałe do Krakowa: Stanisław Wyspiański z Paryża, Michał Filip Mądrykowski z Astrachania. Kilka lat później zostali nawet sąsiadami – Wyspiański mieszkał najpierw przy Szlaku, później na Krowoderskiej, Mądrykowski na rogu Szlaku i Łobzowskiej, tutaj też prowadził swoje laboratorium i wytwórnię ogni sztucznych. Świetliste eksperymenty w ogrodach szalonego pirotechnika widoczne zapewne były z okien oficyny przy ul. Szlak 23, a tym bardziej później ze słynnego okna na II piętrze przy ul. Krowoderskiej 79, które dla Wyspiańskiego stanowiło



Stanisław Tondos, „Wianki w Krakowie”, „Tygodnik Ilustrowany 29 VI 1878

wspaniałą punkt obserwacyjny (pejzaże z kopcem!). Czy się znali? Nic na to nie wskazuje, choć poznać się mogli – w 1901 r. pod Wawelem na „Wiankach”.

Temat „Wianków” obecny był już w pierwszych próbach dramatycznych Stanisława Wyspiańskiego. W niezachowanej młodzieńczej trylogii „Podzamcze-Wawel”, „Fantaści”, „Idea” (Paryż, 1891) autor planował – jak wiadomo z listu H. Opieńskiego i z opowiadania K. Maszkowskiego – sceny z „Wianków” na Wiśle pod Wawelem. Relację Maszkowskiego zanotował A. Grzymała-Siedlecki: – „Mowa tam o artyście mieszkającym w pracowni u stóp Wawelu, o scenach <<Wianków>> nad Wisłą (wszystko to niewątpliwie reminiscencje rzeczywistości branej może in extenso)”.

Z kolei „Legenda I” (Paryż, 1892) to utwór w całości osnuty na legendzie o Kraku i Wandzie. Tadeusz Sinko, współwydawca „Dzieł” Wyspiańskiego, pisał we wstępie do tego obrazu dramatycznego: – „Pierwszą podniętą do koncepcji fabuły musiały być <<Wianki>>. Pamiętam z lat młodych, że clou tego tradycyjnego obchodu świętojańskiego było ukazanie się galaru, z którego Wanda miała rzucić się do wody. Taka interpretacja jednego szczegółu <<Wianków>> dostarczyła Wyspiańskiemu głównej osnowy dramatu”.

I teraz oto, w 1901 roku, pojawiła się szansa powrotu do wiankowej rzeczywistości – szansa niezwykła, bo stwarzająca możliwość kreacji tej rzeczywistości i to w warunkach gigantycznej sceny plenerowej.

Nieporozumienie organizacyjne?

W drugiej połowie lat 90. XIX w. corocznie na urządzenie „Wianków” krakowska Rada miejska przeznaczała taką samą, niemałą sumę 250 koron (według nomenklatury magistrackiej: „Wianki – uroczystość ludowa, pozycja w dz. XVI budżetu, wydatki różne”). W roku 1900, na ostatnie w XIX wieku „Wianki”, uchwalono subwencję dwukrotnie wyższą. Miał to bowiem być tym razem obchód wyjątkowo uroczysty, to miały być „Wianki” 500-lecia: pożegnanie kończącego się wieku i powitanie lat dziewięćsetnych. I rzeczywiście – było ciekawie i uroczyste, zachwycona publiczność bawiła się znakomicie. Przede wszystkim dopisała pogoda i Mądrykowski po raz pierwszy od wielu lat mógł dać półgodzinny, jeden z najwspanialszych swoich pokazów ogni sztucznych. Krakowianie żartowali, że „Piromądrykowi” trafiła się wreszcie sprzyjająca pogoda bez deszczu – raz na 500 lat...

Rok później na pierwsze „Wianki” wieku XX przekazano organizatorom – czyli oddziałowi wioślarskiemu „Sokoła”, jak co roku urządzającemu „Wianki” pod Wawelem – również podwójnej wysokości subwencję, tzn. 500 koron. Aby zaś widowisko było jeszcze ciekawsze i jeszcze bardziej okazałe, Komitet organizacyjny zaproponował objęcie kierownictwa artystycznego obrzędu wiankowego – mistrzowi Wyspiańskiemu.

Prasa krakowska powiadomiła o tym, jak wspomniano, 18 czerwca 1901 r. Minęły ledwie dwa dni i oto 20 czerwca „Czas”, jako jedyny dziennik, nieoczekiwanie przynosi taką oto zaskakującą informację: – „Proszą nas o zaznaczenie, że p. Wyspiański nie brał udziału w posiedzeniu odbytem w dniu 15 bm. w sprawie Wianków, gdyż nie zawiadomiono go o dniu narady...”.

Wyspiańskiego nie zawiadomiono o terminie narady?! Jak to możliwe, co się stało? Możemy snuć tylko domysły: najprawdopodobniej doszło tu do jakiegoś fatalnego nieporozumienia – może zaproszenie przekazano zbyt późno (zwróćmy uwagę: Dąbrowski komunikat wiankowy dostarczył do redakcji w ostatniej chwili, 17 czerwca – dwa dni po terminie narady), a może zaproszenie to sformułowano w mało eleganckiej formie, co drażliwego artystę mogło urazić i zirytować?... W każdym razie, nie dane było twórcy „Wesela” zmierzyć się z „Wiankami” i pokierować „obmyśleniem przebiegu” tej uroczystości. Niewykluczone zresztą, że sam pomysł go zainteresował, zbyt krótki jednak czas na przygotowania (15-23 czerwca) zniechęcił artystę do podjęcia się realizacji.

No, a poza tym... w wigilię św. Jana Chrzciciela wprawdzie nie lało, ale stan wody na Wiśle po kilkunastodniowych opadach w górach był tak wysoki, że „Wianki” A. D. 1901 zostały odwołane. Odbyły się dopiero 26 czerwca przy mniejszym już zainteresowaniu publiczności i z okrojonym programem. Oczywiście, najlepsze były, jak zawsze, ognie p. Mądrzykowskiego.

Obrazy, przeźrocza, motywy...

Szkoda, że nie doszło do spotkania Wyspiańskiego z Mądrzykowskim. Połączenie poetyckiej wyobraźni z ognistą techniką mogło dać rezultaty niezwykle i przekształcić tradycyjny świętojański obchód wiankowy w wielki spektakl plenerowy, jedyne w swoim rodzaju widowisko obrzędowo-historyczne. Pamiętajmy, że dla Wyspiańskiego był to przecież czas pomiędzy prapremierą „Wesela” (marzec 1901) a premierą (całości) „Dziadów” A. Mickiewicza w jego układzie i inscenizacji (październik 1901). Mogły więc być „Wianki” jeszcze jedną znaczącą próbą teatralną: na ruchomej scenie Wisły, z najwspanialszą scenografią wzgórza wawelskiego i z całym arsenałem efektów specjalnych „Piromądryka”. Skądinąd gotowość Mądrzykowskiego do inscenizacyjnej współpracy i szukania nowych efektów parateatralnych potwierdza fragment jego (wcześniejszego) listu do organizatorów „Wianków”: – „Projektowane przeze mnie efekta są to

wielkich rozmiarów pojawiające się w powietrzu obrazy – podobizny naszych bohaterów narodowych, całych grup, miejscowości, pomników, scen historycznych etc.”.

Można sobie tylko wyobrazić, jaki to „teatr ogromny” zrobiłby z tego Wyspiański... Jak mogły wyglądać „Wianki” twórcy „Akropolis” zainscenizowane w „swobodniejszej przestrzeni” i z „perspektywą powietrza” (by użyć słów samego poety w odniesieniu do scen tego właśnie dramatu)?...

Konwencja obrzędu wiankowego i ludowej zabawy była mniej więcej ustalona od czasu pierwszych pokazów Mądrzykowskiego: sekwencja pirotechniczna zawsze stanowiła efektowny finał wiankowego wieczoru. Poprzedzały ją natomiast nieodmiennie sobótkowe ogniska, palenie ziół, rytualne puszczanie wianków, wróżby, śpiewy i tańce, wreszcie koncerty chórów, kapel i orkiestr. Najważniejszą zaś część programu stanowiła defilada udekorowanych i oświetlonych lampionami galarów, barek i kryp, na których inscenizowano, co roku inne, „żywe obrazy”, „przeźrocza” i „motywa historyczne”. Ilość łodzi z obrazami uzależniano oczywiście od możliwości finansowych w danym roku, zazwyczaj były to dwie lub trzy większe barki. Na „Wianki” 500-lecia przygotowano aż pięć olbrzymich galarów z następującymi scenami, wymienimy je w kolejności: „Apoteoza Wisły – wodny rydwan królowej rzek”, „Wesele krakowskie z kapelą chłopską”, „Gloria Tibi Alma Mater 1400-1900 – obraz transparentowy przedstawiający trójcę monarchów: Kazimierza Wielkiego, Jadwigę i Jagiełłę”, „Hufiec sokoli w produkcji gimnastycznej” i „Sokół – alegoria sportów oraz junackiej tężyzny, siły i energii”.

„Wianki” roku 1901 – te bez udziału Wyspiańskiego – to ledwie dwa pośpiesznie przygotowane iluminowane galary z żywymi obrazami (ułożonymi przez Kajetana Wolskiego) „Polska, Litwa i Ruś” i „Św. Michał Archanioł na koniu” oraz pięć figur alegorycznych (pomysłu Zygmunta Wierciaka) w oświetleniu bengalskim: „Wisła”, „Polska”, „Rok 1963”, „Kościuszko”, „Mickiewicz”. Jeżeli zaś chodzi o „Wianki” następne w 1902 r. (przekładane zresztą kilkakrotnie, bo znowu lało jak z cebra, odbyły się dopiero 3 lipca), to pokazano wtedy trzy żywe obrazy: „Walka ze Smokiem” (oddział królików w krakuskach walczący zwycięsko ze stadem zający w pikielhaubach), „Jagiełło pod Grunwaldem” i, klasyczny w tym widowisku motyw, „Śmierć Wandy”.

Ciekawe, co też wymyśliłby pod Wawelem Wyspiański? Jakie przygotowałby niespodzianki? I na ile Mądrzykowski swoim mistrzostwem ogniowej iluzji pomógłby zrealizować jego wizję?

Szkoda, wielka szkoda, że nie spotkali się na „Wiankach”.

WACŁAW KRUPIŃSKI

JACKA ZIELIŃSKIEGO

HARMONIA ŚWIATA



Poznaliśmy się w 1988 roku; Jacek Zieliński miał próbę przed koncertem Skaldów na Rynku Głównym w Krakowie. Ucieszony faktem, że Skaldowie, których słuchałem od zawsze, po kilku latach przerwy wracają na estrady, poprosiłem go o rozmowę. Potem było wiele kolejnych koncertów, wywiadów, spotkań – z czasem także prywatnych, gdy relacja dziennikarza z artystą zamieniła się w osobistą zażyłość. I zawsze było uroczo, bo Jacek inny być nie potrafił. Podobnie jego żona – Halinka, jak się do niej zwracał. Dwa spotkania w Zakopanem, wszak to miejscowość obu braci Zielińskich – choć starszy urodził się w Gdowie, a młodszy w Krakowie – zapamiętam szczególnie. Ale oczywiście najczęstsze były Skaldów koncerty. Jeszcze kilka miesięcy temu przytulałem Jacka po występie w Nowohuckim Centrum Kultury, które dzięki dyr. Zbigniewowi Grzybowi stało się Skaldów przystanią. Już widać było, że osłabia go choroba, ale Jacek dzielnie z nią walczył; tylko czapeczki na głowie sygnalizowały, że jest po chemii...

Jacek Zieliński – wspaniały, uroczy, zawsze uśmiechnięty pogodny i serdeczny człowiek, Artysta, który dał Skaldom drugie życie reaktywując zespół bez brata; ten w czasie stanu wojennego nie wrócił z USA, dokąd Skaldowie polecili w 1981 r.

Dla pozostałych muzyków nie były to łatwe lata. Jakiś czas po powrocie z Ameryki Jacek wraz z dwoma gitarzystami zespołu grał zarobkowo w hotelu Sheraton w Bagdadzie, ale potem było coraz trudniej. – Niestety, kilkanaście nagranych płyt, tysiące koncertów nie dały nam takiego komfortu finansowego, by spokojnie siedzieć i czekać – mówił mi wiele lat temu. Myślał już o intensywnym ćwiczeniu gry na skrzypcach, by podjąć pracę w jakiejś orkiestrze...

Szczęśliwie „ojciec polskiego bigbitu” Franciszek Walicki postanowił dać szansę dinozaurom; koncerty artystów z lat 60. XX wieku przypomniały o Kasi Sobczyk, Niebiesko-Czarnych, Niemenie... I na tej fali nastąpił come back Skaldów.

– Fakt, że Jacek w trudnej rzeczywistości lat 80. namówił kolegów, by dalej grać, to jego wielki sukces – oceni Andrzej po latach.

Wdwa lata po reaktywowaniu zespołu nagrał płytę z piosenkami nowego lidera (z tytułową i przebojową „Nie domykajmy drzwi”) i Konrada Ratyńskiego, śpiewającego basisty. Rok później na XXVII festiwalu w Opolu za autorską piosenkę „Harmonia świata” Jacek Zieliński otrzymał II nagrodę (I nie przyznano). W roku 2006 to ona nada tytuł kolejnej płycie zespołu. Zawierającej i inne kompozycje młodszego z braci.

– Pamiętam, że zebrałem wtedy dużo komplementów i poczułem się naprawdę dobrze; było mi to bardzo potrzebne, zwłaszcza że przecież był to wciąż czas, gdy prowadziłem zespół bez Andrzeja.



od lewej: Jacek Zieliński, Konrad Ratyński, Andrzej Zieliński (Fot. Adam Wojnar)

Nieobecnego brata zastąpił wtedy grający na instrumentach klawiszowych Grzegorz Górkiewicz; pozostał w zespole do dziś. Gdy twórca Skaldów coraz częściej przylatywał na koncerty i gdy wreszcie osiadł znów w Krakowie, zespół miał dwóch klawiszowców. I dwóch liderów.

*

Fenomen Skaldów, bez wątpienia najwspanialszej polskiej grupy z tamtych lat, jak i w ogóle, stworzył kompozytorski geniusz Andrzeja Zielińskiego. Żaden z polskich zespołów młodzieżowych, jak to się mówiło w latach 60. minionego wieku nie osiągnął takiego pułapu artystycznego. Wystarczy wsłuchać się w kompozycje Andrzeja Zielińskiego, by zrozumieć wyjątkowość tych melodii, których się nijak czas nie ima. Tych pereł polskiej piosenki. Także dzięki tekstom – Leszka Aleksandra Moczulskiego, Agnieszki Osieckiej, Wojciecha Młynarskiego... Potwierdzeniem niezliczona ilość nagród na festiwalu w Opolu (i to w czasach, kiedy on naprawdę znaczył), znakomite płyty, w tym trzecia, pt. „Cała jesteś w skowronkach”; z II nagranych na niej piosenek aż sześć zajęło na listach przebojów I miejsce. Nie bez kozery Andrzej Ibis-Wróblewski pisał przed dekadami, że Skaldowie „są pierwszym polskim zespołem, który podniósł muzykę rockową do rangi sztuki”. Muzyk Tomasz Wolak wiele lat później zauważył, iż Andrzej Zieliński to „Jan Sebastian Bach polskiego rocka”.

Tak, wyobraźnia muzyczna Andrzeja Zielińskiego stworzyła fenomen tego krakowskiego zespołu, ale bez Jacka nie byłoby Skaldów, jakich znamy. To on zaproponował nazwę; przywoływała średniowiecznych norweskich i islandzkich poetów, no i kojarzyła się ze Skalnym Podhalem, co dla braci, synów góralki, miało duże znaczenie. To wokół Jacka – tak idealnie i naturalnie współbrzmiały z głosem Andrzeja, nadał zespołowi wyróżniający go sound. I to Jacek – powtórzmy – Skaldów reaktywował. Gdy brat po dziewięciu latach przyleciał z USA, mógł z radością wziąć udział w koncercie z okazji 25-lecia powstania grupy. I w wielu następnych. Kilka z nich miałem szczęście prowadzić. Pierwszy raz bodaj na krakowskim Rynku z okazji 45-lecia Skaldów.

– To pewnie już ostatni jubileusz, dłużej już nie wypada, dotrwaliliśmy do dziewiątego 5-lecia – mówił mi wtedy Jacek. Sześć lat później prowadziłem w Filharmonii Krakowskiej koncert z okazji jego 70. urodzin. Był, jak i długo jeszcze, w znakomitej formie, pozwoliłem sobie więc powiedzieć, że czuję się zaproszony na jego 80. urodziny. A wcześniej na 60-lecie Skaldów.

6 maja, cztery miesiące przed swymi 78. urodzinami Jacek odszedł.

Jeszcze 8 marca wystąpili Skaldowie w Nowohuckim Centrum Kultury. Jacek był już bardzo słaby; czy wytrzyma

cały koncert? Niesiony energią publiczności wytrzymał. śpiewał, grał na skrzypcach... Tyle że wyłącznie siedząc. A przez lata był wulkanem energii. Podczas jednego z koncertów brat porównał go do Micka Jaggera, frontmana Rolling Stonesów.

*

Było lato 1965 roku; Jacek wpadał na próby zespołu tworzonego przez brata. Gdy okazało się, że potrzebny jest wokalista, był oczywistym kandydatem.

– Wtedy jako skrzypek w tego typu zespole nie miałem co robić, obowiązywał model Beatlesów – trzy gitary i perkusja, już instrument klawiszowy Andrzeja był wyjątkiem, zatem pozostawał mi jedynie śpiew, dopiero z czasem zacząłem przemycać trąbkę, a następnie skrzypce – wspominał Jacek. Zatem pewnie nieprzypadkowo mniej więcej dwa lata później wykonywał piosenkę „Śpiewam, bo muszę”. Dysponując barytonem musiał nieraz w piosenkach brata śpiewać i wysoko, na co pozwalała mu niemal trzyoktawowa rozpiętość głosu.

– Wokalistę tworzonego zespołu miałem w domu, wiedziałem, że nasze głosy są tak idealnie i naturalnie zestrojone, że mogą brzmieć jak wspaniały amerykański zespół Beach Boys, stąd większość wokali nagrywaliśmy w dwójkę. To zadecydowało, że Skaldowie mieli swe oryginalne, wyróżniające nas brzmienie. Oczywiście występowałem często w Ameryce sam, Jacek również śpiewał, gdy mnie w Polsce nie było, ale pełnowartościowi czujemy się dopiero, gdy jesteśmy razem – wspominał Andrzej. I dodawał: – Jacek zawsze dźwigał na sobie ciężar głównego wokalu, co wymaga wielkiej kondycji fizycznej. A Jacek zawsze był bardzo mocny i został taki do dzisiaj, jego potężne płuca pozwalały mu śpiewać i równocześnie grać na trąbce.

Instrumentem Jacka, podobnie jak ojca braci, Franciszka Zielińskiego, były skrzypce. Otrzymał je od ojca, który grał na nich w Orkiestrze Polskiego Radia, gdy został uczniem Liceum Muzycznego; w podstawówce służył mu instrument należący wcześniej do dziadka. Skrzypce były jego instrumentem podczas studiów; choć zaczął od altówki u prof. Eugenii Umińskiej.

– Ćwiczenie nie było moim hobby, ale gdy poszedłem na dobry koncert do filharmonii, w której m.in. dwukrotnie posłuchałem Dawida Ojstracha, to po koncercie zamykałem się w kuchni i do późnej nocy ćwiczyłem... – wspominał. Ale i tak znajdował czas na piłkę nożną, jako nastolatek dwa lata grał w pierwszej drużynie juniorów Wisły.

*

I oto 20 maja, w dniu pogrzebu Jacka Zielińskiego, słuchałem, przed Nowohuckim Centrum Kultury i za jego sprawą, koncertu Skaldów z udziałem rodziny i przyjaciół. Tak, rodzina uczestniczyła w koncertach wiele razy. Córka Jacka, Gabriela – śpiewała, syn Jacka, Bogumił grał na gitarach, wnuk Wojciech – na perkusji

(grę na tym instrumencie doskonalili już na studiach), mąż córki Rafał Tarcholik na instrumentach perkusyjnych. Byli także obecni na płytach Jacka „Moje Betlejem”, na wspomnianym krążku „Harmonia świata” oraz „Oddychać i kochać”.

A teraz grano i śpiewano dla Jacka. I – za Jacka. Oto po raz pierwszy słuchałem Skaldów bez Jacka. Bez tego, który – jako jedyny muzyk Skaldów! – był w tym zespole zawsze. Od 1965 roku... Był jego głosem. I teraz ten głos zamilkł. Słuchałem tych piosenek i nagle przypomniało mi się zdanie, jakim Wojciech Majewski zamknął książkę o Marku Grechucie: „Marek Grechuta nie przyszedł na nicyje miejsce i nie będzie przez nikogo zastąpiony”.

Nieprzypadkowo moja coraz słabsza pamięć cytowała. Czyż nie jest to myśl także o Jacku? Jacka zastąpić? Niemożliwe. Te dwa głosy braci, dzięki wspólnym genom, były tak zharmonizowane, tak wspaniale współbrzmiały... I jeszcze Jacka skrzypce, trąbka... Współczuję Andrzejowi Zielińskiemu. Stracił nie tylko brata, stracił artystę, który współtworzył brzmienie Skaldów, który barwą głosu, wrażliwością, estradowym temperamentem kreował fenomen zespołu.

Na 28 grudnia w tymże NCK od dawna jest zaplanowany koncert inauguracyjny 60-lecie Skaldów; na anonsie w gablocie przed Centrum jest jeszcze zdjęcie obu braci... Cóż, Jacek nie doczekał jubileuszu. Odbędzie się bez niego. Jak będą teraz brzmieć Skaldowie, komu przypadnie rola wokalisty? Słuchałem kilku młodych wykonawców, zaproszonych do poniedziałkowego koncertu przez twórcę Skaldów i nie zazdroszczę Andrzejowi Zielińskiemu. Tak, Jacek „nie będzie przez nikogo zastąpiony”, ale ktoś go zastąpić musi, skoro Skaldowie mają grać nadal.... Wiem, twórca zespołu jest na tyle wybitnym i doświadczonym muzykiem, że sobie poradzi. Tylko jeszcze będziemy musieli poradzić sobie my, słuchacze, którzy od dekad mamy w uszach głos Jacka...

*

Odszedł Jacek Zieliński. Pozostały śpiewane przez niego piosenki, także te, które sam skomponował. Próby podejmował bardzo dawno, m.in. opracijając muzyką wiersz Adama Zagajewskiego, wiersz Ewy Lipskiej. Ale uaktywnił się dopiero w drugiej połowie lat 70. minionego wieku, gdy – za sprawą sąsiadki Ewy Wnukowej – trafił do Piwnicy pod Baranami. Do roku 1981 występował w programach kabaretu, komponował. Niektóre piosenki przetrwały lata, jak „Chciałabym wiedzieć, jak pan całuje” śpiewana z powodzeniem przez Ewę Wnukową, czy na „Na naszej wyspie” do tekstu Wiesława Dymnego, jeden z piwnicznych hymnów, kończący program do dziś. Wtedy powstał również wystawiony w Piwnicy program do tekstów Dymnego „Pieśń nad pieśniami, czyli ballada o miłości człowieka”, w którym śpiewały także Anna Szałapak, Ewa Wnukowa, Halina Wyrodek, a grali m.in. Skaldowie,



Andrzej i Jacek Zielińscy

w tym kompozytor Jacek Zieliński na fortepianie. Była to muzyka zanurzona w niegdysiejszej psychodeli, w klimatach z „Hair”, zresztą Jacek tak właśnie wyglądał, z wielką brodą, z długimi włosami...

Sukcesem okazał się także program z kolędami Jacka i płyta „Moje Betlejem”, do której nagrania zaprosił śpiewającą córkę Gabrielę i grającego na gitarze syna Bogumiła.

– U Jacka Zielińskiego podziwiam radość jego śpiewania, poprzedzoną radością komponowania. A wiadomo, że zawsze będzie zestawiany z geniuszem swego brata Andrzeja. Jacek, mimo swojej, że tak powiem zwyczajności, normalności itd., to kompozytor, który wprowadził do obiegu stworzoną przez siebie kolędę „Złota Jerozolima i biedne Betlejem”. Już od kilku lat jest ona śpiewana w kościołach jako pieśń anonimowa. To może trzecia lub czwarta kolęda, nie pastorałka, powstała w XX wieku, która weszła do takiego trwałego obiegu – oceniał Leszek Aleksander Moczulski, autor „Mojego Betlejem”.

*

Jacek Zieliński nie żyje. Myślę, że odchodził spełniony – artystycznie, rodzinie. Udany związek z Halinką, dwoje dzieci, z którymi tyle razy stawał na estradzie, piątka wnuków, która kształciła się muzycznie. Niemal do końca na estradzie, niemal do końca nie rezygnował z ulubionych podróży. Piękne, szczęśliwe życie. W harmonii ze światem.

*Minął dzień i trzeba stąd odejść już
Dzisiaj znów zamknięte są drzwi na klucz
Światła drżą już nocnych lamp
A drogę dziś do twoich drzwi
Może tylko wiatr dobrze zna*

*Jutro cię odnajdę wśród tylu miast
Będę szedł przez tyle niejasnych dróg
Przez daleki kraj, ciepły od twoich ust
Więc ucisz dziś ulic gwar i zamknij drogi już*

*Czekam na ciebie tu
Choć coraz większy gwar
Choć coraz większy tłum
Rozdziela nas tysiąc dróg*

*Minął dzień i trzeba stąd odejść już
Dzisiaj znów zamknięte są drzwi na klucz
Światła aut pogasły już
I czemu nikt nie dotknie rąk
Nie uchyli drzwi?*

*Jutro tu obejmie cię znajomy wiatr
Dzisiaj już tylko w oczy mi spojrz
Bym odnaleźć mógł zawsze twój ślad*

*Ciepły ślad... ciepły ślad...
Twój ślad...*

tekst: Leszek Aleksander Moczulski
muzyka: Andrzej Zieliński
Skaldowie 1966



EDWARD KURLETO

MYŚLI NIE PODLEGAJĄ OCZENIU

Ważne jest, aby trzymać się czasu. To przywilej, który wszyscy mamy jako ludzie. Wszystkie myśli możesz zachować dla siebie i nikt nigdy nie dowie się, o czym myślisz. Dla mnie te myśli są jak para w szybkarze.

Sam nie wiem czy na przykład wybuch gniewu może być faktycznym zaworem bezpieczeństwa gromadzącym agresywne myśli? Bez wątpienia o wiele przyjemniej jest przywoływać dobre myśli, niż walczyć z przewagą złych. Te ostatnie mogą łatwo stać się próbą usprawiedliwiania się i zwalania winy na los. Od jakiegoś czasu zauważyłem, że gdy chcę powiedzieć jakieś słowa to mówię bez zastanowienia, a co gorsze mówię to, co myślę. Kiedyś tak nie było.

Kiedy zacząłem pierwszą pracę w moim dwudziestym czwartym roku życia, po ukończeniu studiów prawniczych, jako asystent w Zakładzie Kryminalistyki, mój ulubiony profesor, wybrany przeze mnie wcześniej na promotora mojej pracy magisterskiej, wysoki, gruby i prawie łysy, był zarazem szefem partii na Uniwersytecie i czuł się bogiem. Wiadomo, więc było, że jeśli chciałeś u niego pracować, nie mogłeś mu się w niczym sprzeciwić; trzeba było mówić tylko to, co chciał usłyszeć, ale za to można było myśleć dosłownie wszystko, co tylko się chciało. „Myśli nie ulegają oczeniu” pamiętałem prawniczą sentencję i z dnia na dzień robiłem się coraz większym konformistą.

Pierwszego dnia po wejściu do mojego małego, choć miłego pokoju zrobionego z szerokiego korytarza, zobaczyłem, że będę go dzielić z koleżanką psycholog, piękną, choć niewysoką blondynką o ciemnych orzechowych oczach i wdzięcznym imieniu Weronika i zaraz zacząłem się do niej zalecać, jak do wszystkich ładnych kobiet, które przewijały się w moim życiu. Przedstawiliśmy się i podaliśmy sobie ręce i od raz wyczułem, jaką ma miękką aksamitną skórę. Chwilę milczeliśmy, a ja w myślach kombinowałem jak do niej zagadać.

– Kiedy jesteśmy emocjonalnie związani z drugą osobą, powstaje niewidzialne połączenie. Ten rodzaj emocjonalnej komunikacji istnieje poza czasem i przestrzenią. A jeśli już utknęliśmy tutaj razem, równie dobrze możemy zbadać te niewidzialne połączenia, prawda?

– W porządku, Marku, przeprowadźmy mały eksperyment – powiedziała z figlarnym uśmiechem – Ja uruchomię emocję, a ty spróbujesz odgadnąć, co czuję. Jeśli masz rację, postawię ci kawę. Zgoda?

Zgodziłem się, zaintrygowany nieoczekiwanym obrotem wydarzeń. Weronika zamknęła na chwilę oczy, wzięła głęboki oddech, po czym je otworzyła, wpatrując się we mnie.

– Powiedz, co teraz czuję?

Zmarszczyłem brwi, próbując wykorzystać moje nowo odkryte zdolności psychiczne.

– Um, pozwól mi zobaczyć... podekscytowanie?

Weronika wybuchła śmiechem.

– Niezła próba, ale tak naprawdę to był głód.

Oboje się zaśmialiśmy, przełamując lody w naszej nowej, wspólnej przestrzeni życiowej. W miarę jak lepiej się poznawaliśmy, rozmowy zeszyły na bardziej przyziemne tematy – nasze ulubione filmy, dziwaczne nawyki i problemy związane z naszymi zawodami. Kombinowałem dalej, jak poderwać Weronikę:

– Wierzę – wymyślałem banalnie – że to los sprawia, że zakochujemy się w jakiejś osobie. W rzeczywistości zakochujemy się, ponieważ podświadomie czujemy, że osoba, która myśli o nas, jest w stanie zaspokoić nasze głębokie potrzeby – położyłem jej rękę na ramieniu – Czy mogę zmniejszyć dystans między nami? – zapytałem.

Nika delikatnie usunęła moją rękę i naukowo próbowała mi wytłumaczyć, co to jest miłość:

– Miłość – oznajmiła, wpatrując się w otchłań, jaką były moje oczy – to mała psychoza. A zakochanie to rodzaj stanu psychotycznego, który zmienia sposób naszego myślenia. Wszystko przez biochemię mózgu i zmieniające się proporcje produkowanych neuroprzekazników. Kiedy płaty czołowe się wyłączają, stają się po prostu nieaktywne. A zakochani, tak samo jak pacjenci w psychozie, przestają "trzeźwo" myśleć. A poza tym miłość to hormonalna burza mózgu. I to nie serce, a właśnie mózg decyduje o miłości czy zakochaniu. Nie bez powodu natura wyposażyła nas w pięć podstawowych zmysłów, które mu w tym pomagają. To wzrok, słuch, węch, dotyk i smak. Kiedy się zakochujemy, wszystkie te zmysły szaleją, a my czujemy się jak nakręceny, niczym na hormonalnym dopingu. Z serotoniną, oksytocyną oraz beta-endorfinami, nazywanymi hormonami szczęścia i radości na czele. Działają na nas feromony – czyli bezwonne i indywidualne dla każdego człowieka substancje zapachowe ciała; można by rzec, że to takie miłosne wabiki.

Stałem, chłonąc jej słowa, a przy tym czując się jak jeleń złapany w światła romantycznego pociągu towarowego. Miłość, stan psychotyczny? Kto by pomyślał, że wypadnięcie z wozu rozsądku może być tak zabawne?

– Zwróć uwagę na to, co robisz Marku. Kontroluj się. Znamy się bardzo mało. O mnie wiesz niewiele i od razu startujesz tak ostro? Najpierw uśmiechnij się, a uśmiech niech pozostaje na twojej twarzy dłużej niż 10 sekund” (uśmiechnąłem się, ale zadawałem sobie pytanie, co to za przebiegała dziewczucha, i dlaczego nie jest uległa tak, jak mi się marzyło).

– Podświadomość mówi mi, że mnie lubisz – kontynuowała – tak zakładam. Ja cię też od razu polubiłam, ale na tym poprzestańmy, proszę, bo inaczej poskarżę się naszemu szefowi, który właśnie nadchodzi.

Nasz profesor, zwany Mistrzem, właśnie zdecydowanym krokiem wtargnął do naszego pokoju i zwrócił się do nas ze stereotypowym pytaniem:

– No i jak się wam tu podoba?

– Jest super – odpowiedzieliśmy prawie równocześnie.

– Dobra, pewnie tak mówicie, a myślicie coś innego. Rozumiem, bo sam też nieraz tak działałem. Pojawić się ma u mnie komendant tutejszej milicji a później, was również zapraszam na powitalną wódkę.

Po jego wyjściu od razu odnotowałem:

– Zapowiada się ciekawie. Wszyscy tu, jak widzę, co innego mówią, a co innego myślą.

– No właśnie, czyli *Gedanken sind zollfrei* – dopowiedziała Nika, czym mnie zaskoczyła.

– A poza tym, Marku, uważaj. Pomyśl, co stanie się z tobą, jeśli naprawdę się we mnie zakochasz?

Ośmieliła mnie tym stwierdzeniem do tego stopnia, że znowu do niej podszedłem i tym razem stając za nią, położyłem obie dłonie na jej ramionach. Nika tym razem nie odtrąciła mnie, więc upajałem się zapachem jej perfum Jadore. Tak naprawdę za cholerę nie wiedziałem czy już ją trochę poderwałem i czym mam u niej jakiegokolwiek szansę.

– Być może mam wobec ciebie bardziej poważne zamiary – dodałem cichutko przymilnym tonem, licząc na to, że na pewno nie wydedukuje na ile mówię prawdę a na ile ją bujam.

Nika odsunęła się ode mnie gwałtownie.

– Marku zostajemy na zawsze tylko kolegami, proszę. Oczywiście, kiedy ktoś mnie podrywa to miłe, ale poważnie tego nie traktuję.

Teraz to już zgłupiałem na dobre, bo przy ostatnim zdaniu przytuliła się do mnie na chwilkę i znalazła się na tyle blisko, że właściwie nie miałem ochoty się od niej oderwać.

W myślach w mojej głowie pytałem sam siebie „Cholera, co się dzieje!”

Nagle otworzyły się drzwi i nasz Mistrz, dobrze podchmielony, wszedł i ruchem ręki zaprosił nas do swojego gabinetu za dźwiękoszczelnymi drzwiami. Siedział już tam z mętnymi oczami sam komendant milicji, jak również nasz starszy kolega, który, jak się uważało powszechnie, miał być następcą Mistrza, ale wcale nim nie został.

Mistrzowi był bardzo gościnnie. Piliśmy różne markowe koniaki Hennessey i Courvoisier. (Mistrzowi żartował, że kurwa zje i wypije też). Mistrzowi błyszczał. Właściwie nikogo nie dopuszczając do głosu, roztaczał przed nami wizje, jak to wszyscy jego pracownicy wchodzą do rury jako magistrzy a wychodzą jako profesorowie, co w moim przypadku okazało się później nieprawdą. No i oczywiście dodawał, że komendant pozwoli nam na wszelkie badania. Komendant zalany w trupa zgadzał się na wszystko i cały czas mruczał, że jest zaszczycony obecnością na Uniwersytecie. Nagle Mistrz wstał i oświadczył stanowczym głosem:

– Panowie oficerowie, strzeżniennego i rozchodzimy się!

Wszyscy przyjęliśmy to z niewypowiedzianą ogromną ulgą, a że nasz szef ledwo stał na nogach, ja z naszym starszym kolegą, wtedy adiunktem, odprowadziliśmy go półprzytomnego do samochodu, którym kierowca komendanta milicji miał dowieźć szczęśliwców do domu.

Nie było więc nic dziwnego w tym, że w gabinecie szefa czuliśmy się trochę jak w gorzelnii. Zapewne dlatego Mistrz, który miał dobrego nosa, co jakiś czas zamawiał wymianę zużytych dywaników. Ku mojemu zdziwieniu, Weronika, pozwoliła naszemu starszemu koledze odwieźć się taksówką do domu, więc zrozumiałem, że to on ma zdecydowanie większe szanse niż ja, co mnie nie dziwiło, bowiem nasza psychologia była zatrudniona, jako pomoc przy jego badaniach do pracy habilitacyjnej.

W kolejnych dniach poruszałem się po zawilosciach kryminalistycznych dochodzeń, lecz napisany przeze mnie w artykuł, nie spodobał się profesorowi z katedry procesu karnego. Wtedy natknąłem się na problem, związany ze stałą praktyką naszego Zakładu, czyli z konformizmem. Mistrz, oczekiwał ode mnie, że zgodzę się z krytyką starszego ode mnie specjalisty w zakresie procedury karnej, ja zaś chciałem postawić na swoim i wykazać, że mam rację (a byłem jeszcze przed doktoratem i habilitacją). Dni mijały, a dylematy etyczne ciążyły mi za nadto. Znalazłem pocieszenie w mądrych słowach wynikających ze szkolenia wojskowego: „Uczciwość oznacza postępowanie właściwe, nawet, gdy nikt nie patrzy”. Konflikt między moimi zasadami a wymogami wynikającymi z dyplomatycznych nakazów Mistrza nasilił się, wywołując burzę w moim sumieniu. Któregoś wieczoru, nie mogąc już dłużej znieść tego ciężaru, zdecydowałem się stanąć twarzą w twarz z Mistrzem. Powietrze w jego biurze wydawało się gęstsze, gdy starannie doбираłem słowa, kwestionując wątpliwe praktyki konformizmu, w które się angażowaliśmy. Wtedy, po raz pierwszy dostrzegłem błysk wrażliwości w oczach Mistrza. Ku mojemu zdziwieniu odchylił się w swoim skórzanym fotelu i spojrzał na mnie z wyrachowaniem w oczach.

– Jesteś mądry, prawda? – zapytał z przebiegłym uśmiechem.
– Ale musisz zrozumieć, że w naszej pracy kompromisy są niezbędne, aby przetrwać. Świat nie opiera się wyłącznie na ideałach.

Nie ustępowałem, moje postanowienie było niezachwiane.

– Przetrwanie kosztem naszych zasad wcale nie jest zwycięstwem – odparowałem, powtarzając wartości wpojone mi podczas służby wojskowej.

Reakcja Mistrza była nieoczekiwana. Zamiast mnie upomnieć, roześmiał się.

– Przypominasz mi siebie, kiedy byłem w twoim wieku – wymyślił – Ale zapamiętaj moje słowa: idealizm ma swoje ograniczenia w prawdziwym świecie. Naucz się grać w tę grę, a być może po prostu zwyciężysz.

Kolejne dni charakteryzowały się dziwną mieszanką rutyny i nieprzewidywalności. Mistrz wciągnął nas w wir badań i działań, które zdawały się zacierać granice między przepisami prawa a czymś bardziej tajnym. Nasz zespół, zatwierdzony przez Mistrza, składał się z pstrokatej ekipy ekspertów z różnych dziedzin – psychologów, kryminologów, a nawet doświadczonego detektywa, który widział więcej zbrodni, niż ktoś z nas mógł sobie wyobrazić.

Gabinet mistrza stał się naszą siedzibą, miejscem zderzenia teorii i praktyki, a idee iskrzyły jak uderzenie krzemienia o stal. Nocne uszkodzenia dywanów alkoholem i kawą płynącą jak ciemna rzeka, która pobudzała nasz umysł, stały się normą. Starszy kolega adiunkt zawsze pragmatyczny, trzymał swój zespół na poziomie. Jego detektywistyczny umysł był nieoceniony w przekładaniu wizjonerskich pomysłów Mistrza na realne plany. Weronika, enigmatyczna i błyskotliwa badaczka, wniosła swój wkład w nasze urzędzenia (w tym wykrywacz kłamstw), czym wprawiła nas wszystkich w zachwyt. Detektyw, który wywołał się z wydziału kryminalistyki milicji (głównie zajmował się daktyloskopią i badaniem śladów narzędzi, czyli mechanoskopią), stał się również częścią naszego zespołu i był jak mały rycearz z powieści Sienkiewicza.

Niezależnie od niekonwencjonalnego charakteru naszej pracy, charyzma Mistrza spajała grupę. Jego niezachwiana postawa była siłą napędową. Połączona z nadużywaniem alkoholu również spirytusu (z zestawu zamawianego do badań naukowych) popchnęła nas w strefę zagrożenia chorobą psychiczną (w moich najskrytszych myślach miałem wrażenie, że pracuję w domu wariatów.) W miarę postępu naszych badań, nasze metody zaprowadziły nas do miejsc, w których nie można było stosować logicznego rozumowania, toteż moim zdaniem, byliśmy świadkami zacierania się granic między tym, co akademickie a surrealistyczne.

Pewnego wieczoru, gdy zesłaliśmy się znowu w gabinecie Mistrza, ujawniono nowy projekt, który miał być zwieńczeniem pomysłu naszego adiunkta i jego pomocników. Przełom w psychologii sądowej, który mógł zrewolucjonizować profilowanie kryminalne, stał się faktem namacalnym. Podekscytowanie było naturalne, a oczy Mistrza błyszczały zapałem graniczącym z obsesją.

– Panowie – starał się podsumować podпиты Mistrz, wskazując na rysunkowe schematy rozłożone na biurku – stoimy na granicy przełomowego odkrycia. Nasza praca jest nie tylko rozwikłaniem tajemnicy ludzkiego umysłu, ale także dotyczy samej medycyny sądowej.

Nikt mu nie przerywał zwłaszcza, że przyszedł do nas przyjaciel szefa z Zakładu Medycyny Sądowej.

– Nie wiemy, czy nasze odkrycie – zachwycał się medyk sądowy – zwiększy wykrywalność sprawców przestępstw i czy wreszcie zmniejszy się ich ciemna liczba.

Coraz częściej pojawiała się granica między blaskiem a szaleństwem. Ambicje Mistrza osiągnęły nowy poziom,

a z każdym odkryciem nasze losy coraz bardziej spletały się z zagadką, określoną nowościami, które pozwalały rozwikłać nawet stare niewykryte sprawy. Droga przed nami obiecywała oświecenie, ale pytanie, co teraz nastąpi zostało w głębi naszych umysłów, podczas gdy nasz Mistrz spijał się coraz bardziej.

Po naszej jakże ważnej i profesjonalnej debacie nasz Mistrz wydał mi polecenie:

– Marku – powiedział, wręczając mi dosyć pokaźny zwinięty plik pieniędzy – proszę kup jakieś śledziki w restauracji, bo jeszcze dzisiaj przyjeżdża do nas prokurator generalny, który u nas robi doktorat. Nie będziemy siedzieć o samej wódce, którą, jak mi powiedział, wiezie ze sobą, a ty – zwrócił się do Niki, która właśnie pojawiła się w drzwiach naszego Zakładu – umyj proszę kieliszki i oczywiście siedźcie ze mną aż do końca. Ciebie Marku mianuję na dzisiaj szefem mojej ochrony.

Zerwaliśmy się i ostro wzięliśmy się do roboty. Po zakończeniu kilkugodzinnej wizyty prokuratora, miałem dojść z Mistrzem, jako szef jego ochrony, do dorożki (taksówki nie udało się złapać) i zawieźć go do domu. Po drodze Mistrz uwiesił się na mnie, a kiedy z dorożkarzem doprowadziliśmy go na drugie piętro i rzuciliśmy prosto w objęcia jego dzielnej małżonki, szybko uciekałem po schodach, aby nie zobaczyła, kto go odprowadził do domu i wrzucił do przedpokoju.

W tym czasie zajmowałem się tematem wykrywania przestępstw i zakładałem, że przestępstwa myślowe rzeczywiście stają się czymś bardzo realnym. Cały zbiór przepisów dotyczących „przestępstw z nienawiści” zakłada znajomość myśli sprawcy i ma na celu zaostrenie kary. Pamiętam, jak mój patron w czasie aplikacji prokuratorskiej powiedział:

– Aby wykryć przestępstwo „trzeba wejść w skórę sprawcy” czyli w jego sposób myślenia.

Moja grupa studentów wyruszyła w podróż, która zatarała granice między dobrem a złem, legalnością a moralnością, i postawiła ich przed próbą zakwestionowania podstaw systemu wymiaru sprawiedliwości. Nasza salka na zajęciach seminaryjnych stała się tygłem niekonwencjonalnych pomysłów, wywołując rewolucję w umysłach tych, którzy chcieli na nowo zdefiniować samo pojęcie sprawiedliwości. Reakcje były różne, ale powietrze przeciął jeden nieoczekiwany głos.

– Czy handel miękkimi narkotykami i ich posiadanie – powinien być legalny?

– Wszystkie narkotyki powinny być dozwolone! – krzyknął ktoś, przełamując schemat typowego akademickiego dyskursu.

Moi studenci, kierując się moim niekonwencjonalnym stylem nauczania, zgłębiali granice sprawiedliwości i legalności. Kiedy grupa zastanawiała się nad pytaniem, jakie przestępstwo naprawdę nie powinno być nielegalne,

rozwinęła się dyskusja globalna. Popularność zyskał pogląd, że zażywanie i posiadanie narkotyków na własny użytek można zdelegalizować przy jednoczesnym regulowaniu i karaniu nielegalnego handlu narkotykami. Natomiast kupno i sprzedaż usług seksualnych, chyba, że wyraźnie się z tym zgadza kobieta, okazało się punktem spornym. Narracja przybrała nieoczekiwany obrót, gdy rzuciłem swoim studentom wyzwanie, aby wyobrazili sobie świat, w którym pięć nielegalnych rzeczy stało się legalnymi i odwrotnie. Zastanawiając się nad konsekwencjami społecznymi, poruszali się po złożonej sieci legalności, moralności i wolności osobistej. Ktoś zapytał:

– Jeśli pozwolimy zalegalizowaną marihuanę, dlaczego nie rozszerzyć tej samej logiki na kokainę, amfetaminę i nie tylko?

Grupa zagłębiła się w dynamikę używania substancji psychoaktywnych, badając potencjalny wpływ przekierowania rynku, z nielegalnych i brutalnych gangów na bezpieczniejsze i łatwiej dostępne środki. Na końcu prawie każdego moich szalonych zajęć, na których pozwalałem się studentom do woli wykrzyknąć i mówić szybciej niż mogli pomyśleć, wracałem z uporem maniaka do pytania:

– Czy przyznanie się do nielegalnych myśli i/lub pragnień jest karalne?

– No na przykład, kiedy ludzie zostają aresztowani lub oskarżeni po prostu za to, co myślą, łądają w króliczej norze autorytarne społeczeństwa, gdzie praktycznie nic nie jest dozwolone. Ponieważ tylko podlegają ściganiu w oparciu o zamiar. Jeśli zostanie wykazane, że wykorzystałem swoje myśli do popełnienia przestępstwa – zwracałem się z tym pytaniem do jakiejś wybranej ładnej studentki, patrząc jej prosto w oczy i doprowadzając ją do pewnego rodzaju zmieszania – staje się to spiskiem, ale tak naprawdę musisz wcielić te myśli w działanie, a nie tylko o nich myśleć. Mogę myśleć o napadzie na bank, ale jeśli rzeczywiście nie dołożę starań, aby taki skutek osiągnąć, nie można mnie oskarżyć za samo myślenie o tym.

– A czy tak samo jest z umawianiem się z ulubionymi studentkami na kawę – zapytała mnie jedna z tych, które prowokowałem na zajęciach.

– Bez wątplenia myśli nie ulegają ocłeniu, ale działanie to już może być czynem zabronionym – odpowiadałem.

– Ale nie jest przestępstwem samo umówienie się na kawę – kontynuowała studentka.

– Oczywiście, że nie, ale proponuję byśmy się umówili i poszli na ta kawę z całą naszą grupą seminaryjną zamiast siedzieć w naszej salce, tym bardziej, że zbliżają się Juwenalia.

– A o czym nie wolno myśleć?

– Żadne z wyżej wymienionych przestępstw nie karze osoby za to, co myśli!

MARCIN MIELCAREK



MONIA

Monia siedziała w fotelu, paliła papierosa i przeglądała telefon, głównie media społecznościowe. Większość jej znajomych wrzucała zdjęcia swoje i swoich dzieci albo fotografie z wakacji. Niektórzy czasem zaserwowali ogółowi naiwne cytaty jaskrawą czcionką, brzmiące jak z wydzieranego kalendarza i oczywiście udawali, że słowa też należą do nich. Kolejna z jej licealnych koleżanek wyszła za mąż i postanowiła się tym podzielić. Po minie wydawałoby się, że dziewczę złapało jakiegoś boga za nogi. Nie prezentowała się najgorzej w tej białej sukni, ale wyraźnie przesadzono z włosami i makijażem, przez co wyszła bardzo sztucznie. On natomiast nie był w ogóle ciekawy. Pospolita, nalana twarz i głowa wygolona prawie na zero. Przymrużone oczy i uśmiech debila. Do tego wydatny brzuch. Monia stwierdziła nawet – z dziwną, rozpalającą satysfakcją – że wygląda jak prosiak wpełchnięty w garnitur. Potem pomyślała, że właściwie większość facetów tak wygląda.

Kiedy usłyszała napastliwy brzęk domofonu zerwała się, skoczyła do łazienki i spuściła papierosa w toalecie. Potem podbiegła do okna, otworzyła je i zaczęła rozganiać szary dym. Słyszała kroki na schodach. Ciężkie i złe. W końcu wszedł do mieszkania, a ona wybiegła na korytarz. Lubił, kiedy witała go w drzwiach.

– Kochanie jesteś wcześniej – powiedziała.

– Ano.

– Nie wstawiłam jeszcze ziemniaków na obiad, przepraszam.

– To wstawiaj!

Zostawił buty na samym środku korytarza i poszedł do łazienki, więc chwyciła je i schowała do szafki. Potem w kuchni zaczęła obierać ziemniaki, musiała pokroić je na bardzo małe części, aby szybciej doszły.

– Znowu palisz? – zapytał ją, wychodząc nagle z łazienki.

Był już nagi. Jego blade ciało porośnięte czarnym włosom wyglądałoby jak ciało trupa, gdyby nie te ohydne

czerwone od pracy na słońcu ręce.

– Nie – powiedziała, starając się na niego nie patrzeć.

– Przecież czuć.

– Nie wiem o czym mówisz.

Podszedł do niej i złapał ją za podbródek.

– Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię!

Spojrzała. W jego ciemnych oczach nie zobaczyła nawet grama emocji.

– Palisz? – Zadał ponownie pytanie.

– Nie.

– Dlaczego kłamiesz?

– Nie kłamię.

– W toalecie pływa pet.

Uderzył ją otwartą dłonią w lewy policzek. Nie za mocno. Tak, żeby poczuła. Żeby nie było widać. Wiedział, jak bić.

– Nie powinnaś tyle kłamać – oznajmił. – I nie powinnaś palić w ciąży.

Dokończyła sprawę z ziemniakami i postawiła je na gazie. Potem zajęła się resztą obiadu. On w międzyczasie wziął długi prysznic. Zawsze długo przesiadywał w łazience. Zwykle na toalecie z telefonem w dłoni. Kiedy wyszedł usiedli do stołu.

– Jak w pracy kochanie? – zapytała przymilnie.

– A jak ma być? – odparł. – Kupiłeś mi piwo?

– Piwo? – spytała naiwnie, przeciągając nieuniknione.

– Powiedziałem ci rano, żebyś wzięła mi w sklepie piwo. Zrobiłeś to?

– Mówiłeś mi o piwie?

– Zawsze ci mówię o piwie. To jak?

– Zapomniałam.

Była pewna, że znów ją spoliczkuje, przychodziło mu to w końcu z taką łatwością. On jednak nawet na nią nie spojrział. Jedli w milczeniu, wsłuchując się w szcęk sztućców, pogwizdywanie wiatru za oknem, ryki dzieciaków z pobliskiego placu zabaw, odgłosy kroków w mieszkaniu nad nimi. Zaniepokojona zerkała ukradkiem na profil jego poczerwieniałej twarzy. Wągry na nosie, otwarte pory na policzkach, ciemna szczecina pokrywająca rzadko szczękę i gruba, wypukła blizna na niskim czole wydawały jej się ohydniejsze niż zwykle. Złapała się na tym, że wołałaby, aby już po prostu ją uderzył. Ta cisza miała w sobie coś o wiele groźniejszego.

Zjadł obiad, kiedy ona była dopiero w połowie. Podniósł się z krzesła i zaczął ubierać w korytarzu.

– Dokąd idziesz? – zapytała.

– A gdzie mam niby iść, co? – warknął. – Do sklepu idę, skoro ty, do cholery, nie mogłaś tego zrobić.

Sekundę później wyszedł z mieszkania, trzaskając drzwiami. Popatrzyła na swój talerz, a potem wyrzuciła resztę jedzenia do kosza. Następnie skoczyła do łazienki i wymiotowała. Była w piątym miesiącu ciąży.

Spuściła wodę w toalecie i poszła do salonu położyć się na kanapie. Wzięła telefon do ręki. Dostała esemesa od Olka. Pytał czy może zadzwonić. Przydzielili mu telefon na kilka minut.

Olek był prawdziwym ojcem jej dziecka i oczywiście jej obecny partner nie miał o tym zielonego pojęcia. Olek siedział obecnie w więzieniu. Dostał trzy lata za pobicie. Na nią nigdy jednak nie podniósł ręki. Kochał ją i tylko jego. Nie chciała jednak wychowywać dziecka samemu i trafiła tak, jak trafiła.

– Dzięki, że odebrałaś – powiedział. – Brakowało mi twojego głosu.

– Ja też się za tobą stęskniłam, ale mam tylko chwilę. Właśnie wyszedł do sklepu.

– Jak się czujesz?

– Tak sobie.

– Znów cię uderzył?

– Nie mówmy o tym.

– Jak tylko wyjdę, to go załatwię na cacy.

– Nawet tak nie mów.

– Zobaczysz kochanie.

– Przestań. Potrzebuję cię tutaj, a nie za kratami.

Potem rozmawiali o tym, że pobiorą się jak tylko wyjdzie. Często o tym rozmawiali, bo pozwalało im to przetrwać. Była to swego rodzaju ucieczka przed zamknięciem, wyrwanie się z własnej celi, w której

obydwoje się przecież znaleźli. Monia oczyma wyobraźni widziała siebie w białej sukni. Chciałaby wziąć ślub nad morzem. Taki w amerykańskim stylu. Powiedziała mu o tym. Ciągle mu to powtarzała, a on za każdym razem zapewniał ją, że tak właśnie zrobią.

– Po ślubie wyjedziemy stąd, jak najdalej. Mam kuzyna w Australii, opowiadałem ci już o nim. – Mówił szybko, był wyraźnie podniecony.

– Tak, opowiadałeś.

– Ten właściciel rancza ze strusiami. Rozmawiałem z nim tydzień temu o tym, że moglibyśmy przyjechać. Chętnie nam pomoże. Pracowalibyśmy u niego do momentu, aż udałoby się znaleźć coś lepszego.

– To byłoby cudowne.

– A jak tam nasz syn? Dużo kopie? Pewnie tak, co? To wojownik jak tata.

– Skąd wiesz, że to syn? Przecież lekarz jeszcze nie określił płci.

– Bo wiem to i już. Dbasz o niego? Dobrze się odżywasz i dużo śpisz?

– Oczywiście.

Usłyszała nagle kroki pod drzwiami. Wiedziała, że to on wrócił. Jakimś cudem domofon nie zaalarmował jej w porę.

– Muszę kończyć – rzuciła, wystraszona. – Kocham cię Olek.

– Pewnie, że kochasz słonko.

Rozłączyła się, w momencie, kiedy otworzył drzwi. Lekko spanikowana skoczyła do korytarza. W siatce miał kilka butelek z piwem. Stał i patrzył na nią w milczeniu.

– Udało się kupić, fajnie – rzuciła, lekko się uśmiechając. – Następnym razem nie zapomnę, obiecuję.

– Z kim rozmawiałaś? – zapytał, ignorując jej słowa.

– Z nikim.

– Z kim rozmawiałaś, pytam.

– Przecież mówię, że z nikim.

– Stałem pod drzwiami i słyszałem, że z kimś rozmawiasz. Kto to był?

– Naprawdę nikt.

Postawił siatkę na podłodze i podszedł do niej. Jego brązowe oczy wydawały się oczami zwierzęcia. Nie próbowała nawet osłonić się przed nadchodzącym ciosem.

KRYSTYNA HABRAT

MALWA



Lubiła opowiadać, jakie miała powodzenie, że wszyscy chłopcy z miasteczka się w niej kochali, ale wyszła za Gara, bo chciał się z miłości do niej zabić. Taki romantyczny!

Jej matka też się chwaliła urodą córki. Wspominała, że nazywano ją Malwą, bo była wysmukłą niczym ten kwiat i miała piękną buzię. I to na jej cześć bar, który prowadził zięć zyskał swoją nazwę. Słuchając tego klienci przy kontuarze, wychylający w pośpiechu kolejny kieliszek czystej, kręcili głową z podziwem, ale i niedowierzaniem. Trudno było bowiem w pulchnej właścicielce baru dopatrzeć się smukłej malwy i niegdysiejszej lokalnej piękności. Chyba tylko w pulchnych ustach, które malowała na czerwono i z upodobaniem nadymała w nadąsaniu w chwilach, kiedy nikt niczego długo nie zamawiał i nudziła się za kontuarem. Tak, jej usta mogły przypominać kwiaty malwy.

Tylko jej mąż, do którego przyłgnał przydomek „Gar” od nazwiska Garewicz, mówił do niej: Helciu. Wydawał się niepokazny przy swej potężnej żonie, a jednak kiedy stawał obok na podwyższeniu barowym był tylko chudszy i zgarbiony, ale wzrostu mu nie brakowało. Jednak teściowa, wciąż – nie wiedzieć czemu – niekontenta, patrząc na niego, mruzczała ze złością: „A Helcia uparła się wyjść za takiego mizerotę”.

Gara widywano rzadko. Zwykle wtedy, gdy wyłaniał się z zaplecza z nową beczką i wysłuchiwał potulnie pretensji swej połowicy. Wizualnie przypominał wycofanego nieudacznika, któremu poświęciła życie urodziwa Hela. Stał z przygiętymi kolanami, przychyłony, mizerny, smętny, jakby już szykował się do ucieczki, ale nie śmiał odejść i bez słowa zniknął za zasłoną zaplecza. Wtedy Malwa odwracała się triumfalnie do klientów baru i obdarzała ich anielskim uśmiechem purpurowych ust.

Lubili tu zachodzić mężczyźni z miasteczka, by wychylić kieliszek, jeden czy drugi, pogadać, pożalić się na żonę i że piwo co rusz droższe. Piwko lub coś mocniejszego gasiło ich żale i wtedy mogli już zmykać pokornie do swej codzienności.

Tylko „zły pech”, jak tu mówiono, wiedząc, że pech zawsze jest zły, lecz ten tutejszy był jeszcze gorszy i czał się zaraz za progiem baru. Szczególnie w chwilach, kiedy szyl nad drzwiami „Bar Malwa” wydawał się opuszczającym lokal zawianym bywalcom nieco przekrzywiony. Szybko się więc zegnali i krokiem chwiejnym, to znów posuwistym, maszerowali chwacko w stronę torów. Niejeden zrzuciwszy z siebie w barze brzemień trosk szedł na skrót przez torę i nie zauważał nadjeżdżającego pociągu. Po jednym z wypadków zadziorna dziewczynka z czarną kokardą skarżyła się w szkole wychowawczyni:

– Proszę pani, a Iwona mówi, że moja mama miała kochanka i dlatego tatuś rzucił się pod pociąg.

– Cicho, cicho – pokrzykiwała nauczycielka stłumionym głosem. – Nie wolno wygadywać takich rzeczy. To

był nieszczęśliwy wypadek. Chwila nieuwagi...

Zbeshwane dziewczynki więcej tego tematu nie poruszały, a osierocona koleżanka po wakacjach do klasy nie wróciła. Wyjechała Opuściła miasteczko z mamą i dwójką rodzeństwa. Odtąd dzieciom w klasie zaczęła ciążyć jakaś straszna tajemnica. Niemal o tym zapomniano, ale koszmar powrócił, gdy wydarzył się na torach podobny wypadek. Potem następny. Wtedy zaczęto to miejsce nazwać „polem samobójców”.

Właściciel baru Malwa, Leopold Garczyński, zwany Garem, zabiegał nawet, aby tory przy barze odgrodzić siatką. Zafundował w tym celu niejedną kieliszek temu i owemu. W końcu postawiono siatkę, ale wychodzący z baru narzekali, że muszą nadkładać drogi, by ominąć siatkę i przejść przez tory dalej, co na niepewnych po piwie nogach było nie lada wyczynem. Przecież pociąg zobaczą! A tym bardziej usłyszą! Ale w nowym miejscu, zaraz przy końcu siatki kolejny bywalec baru nie zauważył pędzącej lokomotywy. Ten też miał jedzową żonę. Może tylko tak mówiono? Niektórzy zaprzeczali, bronili jej, bo wiedzieli lepiej, kto winien, ale i tak zła legenda się utrwała. A kiedy w barze rozprawiano o tym zbyt natrętnie, Gar schodził pospiesznie do piwniczki i siedział tam i siedział. Tylko Malwa uśmiechała się do wszystkich czerwonymi ustami jak dojrzałe wiśnie. Czujna matka wyglądała z kuchni, gdzie królowała nad kucharkami i szturchała ją w łokieć, mrużąc:

– Co on tak tam siedzi? Skaranie boskie z tym niedojdą.

Na to Malwa wołała w stronę schodów wymodulowanym głosem wielkiej damy:

– Poldziu, piwa zabrakło.

Przy gościach zawsze była wykwintna i dobrze ułożona. Nie na darmo brała kiedyś lekcje muzyki i francuskiego. Na jej zawołanie Gar wracał i bez słowa stawał przed żoną, czekając na dalsze rozkazy. Wiedział, że przy ludziach nie grożą mu połajanki od ponętnej małżonki, na którą sobie nie zasłużył, ani od jej mamuści w koronie dawno niemodnego warkocza, oplatającego wokoło jej małą główkę. Za to w domu, nad barem, czekały jeszcze trzy córki, na których zabawki, potem stroje musiał się nieźle napracować. Ale córki też go nie ceniły. Zresztą za co? Powtarzały, że muszą wyjść za bogatszych i piękniejszych, jak śpiewano w przedwojennym przeboju. Teraz mówiło się o wykształconych i ambitnych z widokami na przyszłość. Nie tak, jak on, bez intratnego zawodu czy perspektyw.

– I miej tu człowieku na plecach pięć bab – mawiał niby żartem Gar w gronie podpitych bywalców baru, gdy raz po raz wołała go żona, to teściowa, a wreszcie któraś córka. – Zwariować można!

Ale to nie były zwierzenia. Nigdy złego słowa nie ośmielił się powiedzieć o swej rodzinie. Jakby się bał, że to się naprawdę sprawdzi. Najwyżej westchnął coś niby żartem po kieliszku. W domu milczał, a gdy zaczynały jazgotać i przedstawiać pretensje, że brakuje im tego i owego, uciekał z domu do kolejnej pracy. Imał się wszelkich zajęć, byle tylko zniknąć z domu. Każdej jednak roboty nie brał. Malwa sprawdzała, czy któraś jej ujemnie przynosi. Przecież nie wyszła za byle dziada. Wprawdzie Leopold nie był kimś na stanowisku, jak marzyła, ale liczyła na rozbudzenie jego ambicji. Zakochał się w niej, gdy wrócił tu po zawałonych egzaminach na politechnikę. Na czas urlopu dziekańskiego zatrudnił się w administracji spółdzielni mieszkaniowej. Posadzono go w tym samym pokoju, w którym pracowała Malwa. Piękna, elegancka o wytwornych manierach, dwa lata, jak przyznała, starsza od niego. Przy niej zapomniał o swym braku zdolności do matematyki, i że miał zostać inżynierem. Pragnął tylko jej, a ona jego zapał lubiła. Nie przeszkadzało mu, co znajome opowiadały jego mamie o Heli, a ona mu powtarzała ku przestrodze. Podobno ile razy jakiś chłopak porozmawiał chwilę z Malwą na ulicy lub odprowadził ją z pracy pod dom, jej matka rozpowiadała wkoło: „Eee, co to za konkurent? Nawet zegarka nie ma!” A o następnym: „On tylko technik, a techników można by tu wozem drabiniastym wywozić.” Jednak na dłuższą metę plotki wyszydzące braki konkurentów trochę studziły jego zapał. Najgorsze przyszło, gdy prawie zdecydował się oświadczyć. Któregoś razu, ni z tego ni z owego, przyszła do jego mamy mama Heli. W odświętnej sukni i w słynnej koronie z wątego już warkocza, opasującego głowę. Długo rozmawiały na osobności. Wreszcie mama poprosiła go. Przybyła wypytywała, co z jego studiami? Ucieszyła się, że zamierza je ukończyć w trybie wieczorowym i zostać inżynierem. Nagle posmutniała i wypaliła wprost:

– Ale, Poldziu, ożenisz się z moją Helusią, gdy już jej nikt nie będzie chciał?

Tego już jego mama nie zdzierzyła. Poderwała się blada i wykrzyknęła:

– A co on taki najgorszy?!

W tym momencie wszystko zmieniło postać rzeczy. Miał być tylko ostatnią deską ratunku dla Malwy. Nie ukochanym, jedynym, upragnionym. Nawet, gdyby został inżynierem.

Kiedy skrzypnęły drzwi po pospiesznym wyjściu tamtej, jego matka zapowiedziała groźnie:

– Żebyś mi więcej o względy tej starej panny nie zabiegał! Na pewno jest starsza niż myślisz!

Nie zabiegał. Skupił się na studiach wieczorowych i dojazdach na zajęcia w każdy weekend do województwa, ale mu nie szło. Czyżby obie starsze panie wiedziały, że jest gorszy od innych? Niezdolny i głupi?

Nic mu się nie udawało. Był bez studiów, bez pieniędzy, takie kompletne zero! Czy wtedy chlapnął coś Malwie o samobójstwie? Nie pamiętał. Tylko to, że ona się zaliła, iż ósmy już rok siedzi w tej administracji na tym samym krześle i przekłada wciąż takie same papiery, znając na pamięć każdy słój drewna na swym biurku. Pobrali się i kilka lat biedowali. A tu córki zaczęły kolejno pojawiać się na świecie. Dorabiał, gdzie tylko mógł i poniechał myśli o skończeniu studiów.

Dopiero gdy po zmianach w kraju prywatne interesy wróciły do łask i stali się właścicielami najładniejszego w mieście baru z mieszkaniem na górze – nieopodal stacji kolejowej ich byt

się poprawił. Dużo ich kosztował długi remont starej kamienicy, ale Gar porzucił pracę w biurze i handlował warzywami na bazarze. Mama Malwy też pomogła im finansowo, sprzedając swe mieszkanie ze wszystkim i moszcząc sobie kąt, czyli duży pokój u nich. Była w swoim żywiole wyzywając się w barze na kucharkach, dostawcach i młodych kelnerkach. Pewnie dlatego Gar patrzył przez palce na niezgrabność tych dziewczyn, a Malwa wołała sama podawać gościom do stołu. Tylko od czasu do czasu serce biło jej mocniej, gdy pojawiał się w barze ktoś obcy i spoglądał na nią za długi. Wtedy wstydziła się, że jest tu za kelnerkę, ale zawsze znalazła sposób, by okazać, że jest właścicielką. Osobą najważniejszą. Z góry traktowała młodą kelnerkę, ponieważ Poldek ją lubił. Mogli zatrudnić więcej personelu, ale Malwa w skrytości ducha chciała królować za barem i mieć do czynienia z porządniejszymi klientami z dalekiego świata.

Czasem, kiedy stawiała przed eleganckim przyjezdnym bryzol z frytkami i groszkiem czy cielęcine, dania rzadko tu zamawiane przez tych od piwa, a klient nieoczekiwanie przytrzymał jej dłoń i całował, w podzięcie. Wtedy jej serce trzepotało niespokojnie, co wydarzy się dalej... Każdy jednak odchodził do pobliskiej stacji kolejowej i odjeżdżał. Czasem któryś z gości zapowiadał, że powróci na tak pyszną golonkę czy comber z zająca, ale odchodził pospiesznie. Żaden nie powrócił. Nawet nie potrafiła sobie wyobrazić po co niby miałby wrócić?

I po co ona uczyła się francuskiego? I jeszcze muzyki? Czemu wyszła za tego Poldzia? Dobry był. Dobry pozostał. Pracował, oddawał jej wszystkie pieniądze. Zostawiał sobie tylko na papierosy oraz niezbędne inwestycje, od których nieraz zależało powodzenie w prowadzeniu interesu. Mało o tym opowiadał, ale wyraźnie miał głowę do biznesu. Obie z mamą tylko mu pomagały w obsłudze gości i kierowaniu kilkusobowym personelem na zapleczu, a on choć mówił niewiele, jakoś panował nad całością. Szkoda tylko, że nie był tak przystojny, elegancki, wygadany, dowcipny, światowy, jak ci pojawiający się tu przejazdem, zamawiający drogie dania, nawet wykwintne trunki, i nigdy nie wracający. Gryzła potem nocami z żalu swe wydatne usta. Poldzio, naiwny prostaczek, spał spokojnie na sąsiednim łóżku i pojęcia nie miał, że ona znowu przewraca się do późna z boku na bok. Rano wykrzyczała mu z błahego powodu, że jest niedojdą i mogła wyjść za dziesięciu lepszych, ale tak prosił. Groził, że się zabije...

Teraz milczał, czyszcząc sobie w głębokim pochyleniu zimowe buty w przedpokoju. Nie miał już siły udawać, że znowu nie słyszy jej wiecznego żalu ani nocnych jęków.

– Po co tak za mną latałeś? Otumaniałeś mnie głupią.

Gar nagle się wyprostował i z całej siły rzucił szcztoką do butów o posadzkę. Włożył pospiesznie buty, nawet ich nie sznurując wybiegł na schody. Nie zatrzymał się jednak w barze. Nie wziął palta.

Pobiegł w stronę torów.

Wybiegła za nim młoda kelnerka, o którą Malwa, była zazdrosna. Coś wołała za oddalającym się szybko Poldkiem. Stojąca w oknie Malwa niczego więcej nie zobaczyła, bo sosny ich zasłoniły.

Głośno zagwizdał nadjeżdżający pociąg.

Biegący na oslepek Leopold potknął się o zwisającą z buta sznurówkę.

BARBARA KORTA-WYRZYCKA



BALANS

Siedziała na kuchennym taborecie wystawiając twarz ku słońcu. Balkon był tak wąski, że z trudem mieściły się równo ułożone stopy przy zgiętych pod kątem prostych nogach. Dla wygody mogła oprzeć się plecami o ścianę. Nie przeszkadzało jej to. Ważne że balkon był. Na barierce zawiesiła skrzynkę z pelargoniami, które udanie przezimowały i dawały nadzieję na szybkie kwitnienie.

Wystawiła twarz do słońca. Czuła na skórze ciepły dotyk promieni słonecznych chłodzony nieregularnymi podmuchami wiatru.

Patrzyła na korony kwitnących kasztanów. Starła się kontrolować oddech. Z lubością wdychała docierający na czwarte piętro zapach rozwijającej się zieleni. Próbowiła stopić się z naturą, poczuć jej częścią.

Natrętne myśli jednak nie odpuszczały. Z trzewi duszy wydobywały się kłęby wspomnień. Odpychała je.

Nie chciała wracać do lat przemocy i destrukcji. Niespodziewanych wizyt bezwzględnych wierzycieli. Godzin oczekiwania i obezwładniającego lęku przed nieuchronnymi powrotami pijanego agresywnego męża.

Od pół roku wszystko się zmieniło.

– Widzisz, Edek, a tak nie lubiłeś sąsiada spod trójki. Byłeś na takim hajcu, że nie zauważyłeś cofającego samochodu – stwierdziła w stronę filcowych kapci i przednich kół wózka inwalidzkiego zafundowanego przez, mającego poczucie winy, kierowcę.

– Na dzisiaj koniec wietrzenia. Idę na drugą zmianę. Jak przestaniesz w końcu panikować, to jutro zjedziemy windą na prawdziwy spacer.

Za godzinę przyjdzie opiekunka. Da ci utarte jabłko, może kisiel, a na kolację zmiksowaną cielęcinkę ze słoiczka. Poczyta ci gazetę, pooglądacie telewizję. O ósmej Cię umyje, wymasuje stopy i położy do łóżka. Poczekasz na mnie.

– No, nie rób takich wielkich oczu. Wiem, że lubisz jak się tobą zajmuje. Na mnie się krzywisz, że jestem niedelikatna.

Wróć po zamknięciu sklepu. Jak zwykle. Teraz zostawiam cię przy oknie. Możesz patrzeć co się dzieje na podwórku.

Poprawiła włosy przed lustrem. Po chwili wahania pociągnęła błyszczkiem usta. Uśmiechnęła się do swojego odbicia. Odzyskała balans.

JOANNA KRUPIŃSKA-TRZEBIATOWSKA

PROKURATOR ALEKS

Spotkali się w 1969 na Wydziale Prawa, ale wtedy osiemnastoletnia dziewczyna nie widziała świata poza swoim przyszłym mężem, studentem a później asystentem Akademii Ekonomicznej, należącym z racji swego wzrostu do krakowskiego klubu ludzi wysokich, a z racji pochodzenia do Stowarzyszenia Miłośników dawnej broni i barwy.

Dość niedbale ubrany dziewiętnastoletni Aleks o niemiecko brzmiącym nazwisku i semickiej urodzie nie był zresztą mężczyzną, na którego w ogóle mogłaby zwrócić uwagę, a co więcej nie podobało się jej to, że zajmuje się Związkiem Młodzieży Socjalistycznej (ZMS) na Uniwersytecie Jagiellońskim. Na to sobie, jej zdaniem, szacowna *alma mater* nie zasłużyła.

Trafili do dwóch różnych grup ćwiczeniowych i właściwie przez cały okres studiów się nie widywali. Barbara rzadko kiedy przychodziła na wykłady, poza nielicznymi, które sama sobie upodobała, jak na przykład profesora Vetulaniego, Woltera czy Woleńskiego. Pomimo więc że studiowali w tym samym czasie, rzadko kiedy mieli okazję się spotykać. Zwrócił na nią uwagę dopiero podczas komersu, bo z rozwianymi włosami, pijana i ekstrawagancko ubrana, w długiej, mocno wydekoltowanej i obcisłej sukni, rozbijała się po parkiecie w Feniksie, a o świcie, o zgrozo, próbowała wykapać się w fontannie przed Kościołem Mariackim, ku rozpaczy usiłującego ją powstrzymać, dopiero co poślubionego męża. Aleks musiał przyznać, że stanowią piękną parę.

– Ten to ma za swoje – pomyślał ubawiony, obserwując dystyngowanego, wykreowanego na Anglika mężczyznę w drogim garniturze.

Ledwie wszedł do domu i zdążył się rozebrać, z zamyślenia wyrwał go dźwięk telefonu.

– Mamy wypadek na Kombinacie, panie prokuratorze - usłyszał znajomy głos oficera dyżurnego – radiowóz już po pana jedzie.

– To, kurwa, nie wypadek – zaklął na widok tego, co zobaczył w czerwonej poświacie rzucanej przez ogień buchający z hutniczych pieców. Na zatrzymanej taśmie leżały pościartowane ludzkie zwłoki, które zniknęłyby bezpowrotnie we wrzącej surówce, gdyby ich ktoś nie zauważył w porę.

– Daj mi tego świadka – ryknął na porucznika Kota.

– On nic nie wie – odpowiedział Kot – jest w szoku.

– Kim jest ofiara? – w głosie Aleksa pojawiła się nuta pretensji.
– Nie ustaliliście tego dotąd?

– Niby jak? – warknął Kot, z pretensją patrząc prokuratorowi prosto w oczy. – Nie miał dokumentów...

Aleks zzieleniał usłyszawszy za sobą salwę śmiechu. Odwrócił się i spiorunował wzrokiem aspiranta, który odważył się roześmiać.

– Sporządźcie protokół oględzin i zabezpieczcie miejsce zbrodni.
– Niby gdzie? – posłyszał za sobą retoryczne pytanie.

– Dobre pytanie – przyznał w duchu, bo rzeczywiście biedak

nie zginął na tej taśmie. Czuł, że jest obserwowany, nie tylko przez ekipę śledczą, ale przez dziesiątki oczu czających się w ciemności i przesuwających się w mroku z osmolonymi od węgla twarzami.

– Nie prościej było razem z węglem wrzucić delikwenta do pieca? – zastanowił się – po co u licha, ktoś zadał sobie tyle trudu, by rozkawałkować ciało.

– Jeśli zrobił to na terenie huty, to musiał pozostawić po sobie jakieś ślady – zwrócił się do porucznika Kota.

– To prawda – odparł porucznik – najprawdopodobniej sprawca przyniósł ciało w kawałkach, bo znaleźliśmy kilka worków przygotowanych do spalania.

Po chwili zjawiła się na miejscu młoda lekarka i nawet nie patrząc na ludzkie szczątki, stwierdziła zgon. Aleks zauważył, że ledwie trzyma się na nogach, więc podtrzymał ją za łokieć.

– Nie powinna pani zemdleć, pani doktor – uśmiechnął się do niej przyjaźnie. Spodobała mu się jej pobladła z wrażenia twarz, więc pozwolił sobie na rycerskość.

– Zakończcie panowie oględziny i zlikwidujcie ten bajzel!

– Tak jest panie prokuratorze – odpowiedział Kot we właściwy sposób, który każdorazowo wytrącał Aleksa z równowagi.

Czuł, że nikt z tych starych milicyjnych wyjadaczy nie traktuje go poważnie.

– Oni wiedzą swoje i z całą pewnością znacznie więcej aniżeli ja.
– Ustalcie kto tu dzisiaj pracuje, bo sprawca musi być wśród załogi.

Nie czekał już na transport zwłok. Zlecił sekcję, zastrzegając sobie przy niej obecność i kazał odwieźć się do domu. Nie mógł zmrużyć oka i choć usilnie starał się zasnąć, sen nie nadchodził. Nie po raz pierwszy miał do czynienia z nieboszczykiem, tych już się sporo naoglądał, ale czegoś podobnego jeszcze nie widział. Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy nazajutrz okazało się, że ciało należało do kobiety a nie do mężczyzny.

– Wciąż nie znaleźliśmy głowy, panie prokuratorze – rozłożył bezradnie ręce porucznik Kot, wchodząc do gabinetu Aleksa.

– Ktoś zachował sobie głowę jako trofeum? – ośmielił się odezwać siedzący po drugiej stronie biurka Aleksa, jego aplikant Boguś S.
– Szkoda, że cię tam wtedy nie było – pomyślał, patrząc na niego Aleks – z całą pewnością zebrałbyś się, chłopie w gacie.

– Szukać mordercy wśród wielotysięcznej załogi, to jak szukać igły w stogu siana – westchnął porucznik Kot, zajmując miejsce Bogusia S. oddelegowanego przez Aleksa po kawę i papierosy.

– Zapalisz? – zwrócił się do niego Aleks, wyciągając w jego kierunku paczkę Malboro.

– Chętnie – odparł Kot.

Ich rozmowę przerwał zastępca prokuratora rejonowego, pytając czy mają sprawcę. Aleks i Kot wymienili ze sobą porozumiewawcze spojrzenia.

– Jeszcze nie, szefie – odparła Aleks, patrząc na Andrzeja P. z wyraźną niechęcią.

– To jakie mamy złożyć oświadczenie prasie?

– Że z uwagi na dobro śledztwa, nie możecie powiedzieć nic więcej.

Aleks w nienajlepszym nastroju schodził po schodach, kiedy ni stąd ni zowąd wyłoniła się przed nim Barbara. Wyglądał jakoś inaczej niż poprzednio, lecz nie od razu zorientował się na czym polega ta zmiana. Później ktoś mu powiedział, że prokuratora wystylizowała się na dziennikarkę z filmu *Człowiek z marmuru*.

Blżej poznali się dopiero jesienią 1973 roku w czasie aplikacji, ale i wtedy spotykali się w jedynie co dwa tygodnie na poniedziałkowych szkoleniach. Barbara pracowała w terenie, w oddalonym od Krakowa o 40 km Olkuszu, a on, czego nie omieszkała złośliwie a przy tym publicznie skomentować, siedział, jak u Pana Boga za piecem, w jednej z miejscowych jednostek. Od razu też spostrzegł, że dziewczyna odnosi się do niego raczej niechętnie, przypuszczając nie bez racji, że jest mocno protegowany.

Kiedy w środku lata, niemal prosto z Czchowa, Barbara zgłosiła się w Nowej Hucie na osiedlu Zgody, w budynku użytkowanym również przez Wojskową Komendę Uzupełnień, prokurator rejonowy był właśnie na urlopie. Jego zastępca, Andrzej P. przełknął prośbę mocno skonfundowanej Barbary o dalszy urlop, bo w rzeczywistości nie robiło mu różnicy, czy dziewczyna zacznie pracę miesiąc wcześniej czy później. Wielkich nadziei w niej nie pokładał. Barbara praktycznie nikogo nie знаła poza Ewą, z którą rozpoczynała aplikację oraz Alekssem. Był pierwszą osobą spotkaną na korytarzu i powitał ją bez entuzjazmu, uważając – do czego przyznał się później – za osobę wyniosłą, a przy tym mało koleżeńską. Tymczasem ona, wyczuwając jego niechęć, uśmiechnęła się do niego czarująco. Na szczęście nadal nie brakowało jej pewności siebie. Zawędrowała w ślad za nim do jego gabinetu i usadowiwszy się po drugiej stronie biurka, wyciągnęła paczkę Zefirów, a gdy usłużnie podał jej ogień, zapaliła papierosa. Sam zapalił Carmena. Nie odmówiła, gdy zaproponował jej kawę, a kiedy wyszedł, zwróciła uwagę na leżący na jego biurku spory pakiet zdjęć częściowo już przypiętych do akt śledztwa i sięgnęła po nie ręką. Była blada jak ściana, kiedy wrócił.

– Co to, u licha, ma być? – zapytała, patrząc nie go oczami pełnymi zdumienia.

– To co widzisz – odparł z sarkastycznym uśmiechem – makabryczna zbrodnia. – Chciał powiedzieć, że nie każdy nadaje się do tej roboty, ale nie zrobił tego. Wyobraził sobie własną żonę na miejscu siedzącej naprzeciwko niego dziewczyny, która z całą pewnością umarłaby z wrażenia widząc coś takiego.

– Widziałam już kiedyś rozkawałkowane zwłoki – odezwała się Barbara, patrząc na Aleksa niepewnym wzrokiem – na pierwszym roku aplikacji zbieraliśmy je na torach, ale to tutaj nie wygląda na nieszczęśliwy wypadek.

– To bez wątplenia zbrodnia – odparł Aleks nieco protekcjonalnym tonem, obserwując przy tym Barbarę z zainteresowaniem.

– Czy wiadomo już, kto to zrobił?

Uśmiechnął się tylko w odpowiedzi i wykonał przeczący ruch głową.

– Miło się z tobą gawędziło – wstał z krzesła – ale muszę pogonić chłopców do roboty.

– Nie ma sprawy – odpowiedziała, podając mu rękę – też się spieszę.

1 września 1977 roku zaczął pisać się drugi rozdział życia Barbary i to zarówno tego zawodowego jak i osobistego. Po powrocie do Krakowa czekało ją małe *tête-à-tête* z szefem. W sekretariacie natknęła się na przystojnego, lekko szpakowatego mężczyznę tuż po czterdziestce albo przed pięćdziesiątką, o ujmującym sposobie bycia, który przywitał ją przyjaźnie.

– Przychodzi pani po urlopie, więc mam nadzieję, że zabierze się pani z entuzjazmem do pracy – powiedział pół żartem pół serio, zapraszając ją do swojego gabinetu. Widać było, że ma klasę i duże poczucie humoru, więc zdziwiła się, że nie przez wszystkich jest lubiany. Uśmiechnęła się w odpowiedzi, bo przecież nie mogła mu powiedzieć, że jej entuzjazm jest dość iluzoryczny, bo właśnie porzucił ją mąż, a na domiar złego ma ciężko chore dziecko, z którym lekarze nie wiedzą, co począć.

Tuż po pierwszej, przyjaźnie do niej nastawiona koleżanka Ewa, zajmująca gabinet piętro wyżej, z którą zetknęła się w 1973 na pierwszym roku aplikacji, wyciągnęła Barbarę na obiad do Kasyna mieszczącego się w budynku Komendy Milicji. Weszły na salę, gdzie banda kolegów, a w tym Aleks, siorbiąc zupę pomidorową, dywagowała na temat stosunków panujących w pracy.

– Cześć Aleks – usiadła obok niego, przysuwając sobie wolne krzesło od sąsiedniego stolika – jak twoje śledztwo?

Spojrzał na mocno opaloną i uśmiechniętą od ucha do ucha Barbarę i w tym samym momencie zaciągnął łyk zupy do płuc i zaczął się krztusić, co widząc poklepała go mocno po plecach. Poczul odurzający zapach jej perfum i delikatny zapach potu unoszący się spod bluzki na cieniotkich ramiączkach, pod którą wyraźnie rysowały się niezbyt duże piersi. Założyła nogę na nogę i sięgnęła po swojego Zefira. Wstał, aby podać jej ogień.

– Minęły dwa tygodnie – zagadnęła ponownie – z pewnością macie już sprawcę?

– Co też ona sobie wyobraża? – Aleks poczuł nagły przyływ irytacji. – Myśli, że zaczęła opowiadać jej w miejscu publicznym o toczącym się śledztwie?

– Niedawno zapadł wyrok w sprawie zabójstwa kobiety ze szczególnym okrucieństwem. Gdy odmówiła oskarżonemu seksu, pobił ją, rozebrał, związał, a potem podpalił jej mieszkanie. Odpowiada też za próbę zabójstwa partnera kobiety, który w ostatniej chwili zdołał uciec. Może to ten sam sprawca?

– Nie ustaliliśmy nawet tożsamości ofiary – wyrwało się Aleksowi.

Nie wrócił do biura tego dnia, lecz udał się do Zakładu Medycyny Sądowej.

– Trudno będzie ustalić co było bezpośrednią przyczyną zgonu – orzekł biegły sądowy – ale, co ciekawe, kobieta mogła być w ciąży albo niedawno urodzić dziecko.

– Gdzie ta cholerna głowa? – ryknął wchodząc do budynku komendy.

– Kot, głuchy jesteś czy co do cholery.

Porucznik spojrział na niego spode łba i rozłożył bezradnie ręce.

– Przechesaliśmy cały teren i niczego nie znaleźliśmy. Jutro będziemy sprawdzać pozostałe dzielnice.

– Gorzej, jeśli zbrodni dokonano poza miastem, bo w takim wypadku z pewnością jej nie znajdziemy.

– Albo co wysoce prawdopodobne głowa jako pierwsza wyładowała w piecu albo we wrzącej stali – dodał starszy rangą oficer przysłuchujący się rozmowie i pośrednio zaangażowany w śledztwo.

– Sprawdziliście panowie rejestry zaginionych osób?

– Nic nie da się dopasować – odparł Kot. – W ostatnim czasie nikt nie zgłosił zaginięcia młodej kobiety.

– Sprawdźcie panowie również, czy nie pojawiło się gdzieś jakieś dziecko, którego pochodzenie jest niepewne.

Kot wyciągnął z szuflady biurka butelkę z bimbrem zarekwirowanym w czasie przeszukania jakiejś meliny i oficjalnie zniszczonym i spojrział pytającym wzrokiem na Aleksa.

– Strzel sobie, prokuratorze, jednego, a od razu lepiej się poczujesz.

Aleks wychodził już z komendy, gdy przypomniał sobie o sprawie, o której wspomniała Barbara.

– Sprawdźcie panowie jeszcze i ten wątek, choć pozornie nie ma on żadnego związku z naszym śledztwem.

W pierwszych dniach września 1977 roku w polu widzenia Barbary pojawił się również Kaziu P., starszy od niej o rok albo dwa absolwent drugiego liceum imienia króla Jana III Sobieskiego, który uparcie adorował ją w trakcie szkolnego balu w dziesiątej klasie. Wprowadził go do pokoju rekreacyjnego szef i przedstawił jako nowego kolegę.

– My się chyba znamy?

– Nie da się ukryć – odpowiedziała, śmiejąc się. – Pamiętam cię doskonale.

– Doprawdy? – wyraźnie się zaczerwienił.

– Mamy nawet wspólne zdjęcie ze szkolnego balu.

– To były wspaniałe czasy – przyznał Kaziu P., zajmując miejsce pomiędzy Barbarą a Aleksem, który przysłuchiwał się ich rozmowie z uwagą. Barbara odnosiła wrażenie, że łypie na nich okiem zza swoich grubych okularów i nigdy nie patrzy nikomu prosto w oczy.

– Chodziliście razem do liceum?

– Nie razem, ale osobno – zażartowała Barbara.

Kaziu P. opowiadał, że przeniesiono ze wschodnich rejonów Polski z uwagi na sytuację rodzinną i konieczność niesienia pomocy rodzicom, a ona miała ochotę zapytać, dlaczego po tym balu, na którym tak bardzo mu się spodobała, nigdy później się do niej nie odezwał. Przez cały wieczór jej wówczas nie

odstępował i wciąż zapraszał do tańca, a nawet poprowadził w korowodzie par przed gronem nauczycielskim.

– Może coś wypijemy po pracy – zaproponował Kaziu P., gdy wychodzili z Kasyna.

– Rzeczywiście powinniśmy postawić jakąś wódkę – odpowiedziała Barbara, sięgając po portfel.

– Ja się dorzucę – zaproponowała Ania, bardzo ładna, filigranowa i nieco eteryczna blondynka tuż po trzydziestce z burzą loczków na głowie – też jestem tutaj nowa.

Pokój rekreacyjny wypełniał się stopniowo prokuratorami i pracownikami sekretariatu. Po chwili stanęła twarzą w twarz, z pełniącą funkcję zastępcy prokuratora rejonowego, Eugenią B., która omal nie umarła na zawał latem 1974 roku w Wiedniu, gdy Barbara oświadczyła jej, że nie wraca razem z całą grupą prokuratorów do Polski.

– Witamy na pokładzie! – powitała Barbarę serdecznie, tak jakby nigdy nic się pomiędzy nimi nie wydarzyło. Gdyby nie ona, Barbara z całą pewnością wyleciałaby z aplikacji po swoim wiedeńskim exodusie.

Z trudem łapiąc oddech, opadła na krzesło obok Ani, sprawiającej wrażenie jedynej normalnej istoty w tym gronie, której nieodmiennie towarzyszył najwyraźniej zafascynowany jej urodą Gieniu W. Wszystko można o nim można było powiedzieć, tylko nie to, że jest przystojny.

Andrzej P. w pierwszej chwili wydał się jej sympatyczny, lecz niebawem Barbara miała się zawieść na tej jego pozorowanej życzliwości do świata i ludzi. Gdy w jakiś czas później, usiłowała uzyskać jego wsparcie, tłumacząc, że z racji trudnej sytuacji rodzinnej nie jest w stanie sprostać wymaganiom szefowskim, powtórzył wszystko, co wówczas do niego powiedziała prokuratorowi rejonowemu, a ten z kolei, ku jej niebotycznemu zdumieniu, ostrzegł ją, że powinna bardziej uważać na to, co do kogo mówi, bo nie każdy jest jej przyjacielem. Teraz więc wiedziała, że Andrzej P. jest dwulicową kanalią i nawet nie próbowała zastanawiać się, dlaczego taki jest.

Po chwili do pokoju rekreacyjnego weszła Mrówka, mocno zaniehdana, przeraźliwie chuda czterdziestokilkuletnia blondynka z dużym odrostem, częściowo czarnych a częściowo siwych włosów, zazwyczaj wypowiadająca się na każdy temat z pozycji besserwissera i z zapalczliwością broniąca potem własnego zdania oraz Magda S., niebawem wręcz flegmatyczna niewiasta w wieku balzakowskim, pasjonatka ręcznych robótek, którą interesowało wszystko poza pracą zawodową. Za nimi wtoczyli się dwaj panowie prokuratorzy w średnim wieku, Heniu R. oraz zajmujący się sprawami drogowymi Marian M. i chyba z tej właśnie przyczyny, co sam wielokrotnie podkreślał, nigdy nie zasiadający za kierownicą.

Impreza nie zakończyła się na trzech butelkach wódki. Koledzy przynieśli następne. Pijany Kaziu P. zaczął przysuwać się do Barbary coraz bliżej, niebezpiecznie blisko i szeptać jej do ucha czułe słowa:

– Pojawiałas się i znikaaś jak syrena. Byłaś zjawiskowa w tej długiej wydekoltowanej syreniej sukni. Nie mogłem oderwać od ciebie wzroku.

Barbara podniosła się z miejsca starając się wymanewrować z nieżyczliwej sytuacji, ale Kaziu P. wdarł się do jej gabinetu zanim zdążyła zamknąć drzwi.

– Tylko nie to – jęknęła, gdy rzucił się na nią, usiłując ją pocałować.

– Daj spokój – poprosiła – skompromitujesz nas oboje – ale to nie zrobiło na mężczyźnie najmniejszego wrażenia. Popchnął ją na biurko usiłując unieruchomić ją pod ciężarem własnego ciała. Ku jej zaskoczeniu był zdumiewająco silny i była w konfrontacji z nim bez żadnych szans. W tym momencie otworzyły się drzwi i stanął w nich aplikant, Boguś S.

– Zaczekaj – zawołała Barbara – też wychodzę.

Zjawiła się nazajutrz w biurze z przerażającym bólem głowy, uniemożliwiającym jej wręcz normalne myślenie. Podpisując listę obecności, czuła na sobie karcący wzrok szefa, który spoglądał na nią przez szeroko otwarte drzwi, ale nie odezwał się ani słowem. Odłożył na moment gazetę i wydawało się Barbarze, że zamierza zaprosić ją do siebie. Ponieważ tego nie zrobił, schroniła się w pokoju rekreacyjnym, gdzie zgromadzili się podobnie jak ona skacowani koledzy, a wśród nich Krzysztof K. Trafił razem z nią do Nowej Huty, na miejsce dwóch emerytowanych prokuratorów, po stalinowskiej szkole Duracza (Szkoła prawnicza funkcjonująca w latach 1948–1953) i nawet powiedział, że prokuratura się oczyszcza. Barbara zauważyła, że kiedy wchodził do pokoju, rozmowy milkły albo ktoś prędko zmieniał temat, nie od razu jednak zorientowała się, że o wszystkim, co się tutaj dzieje, donosi szefowi.

– Czyżby doniósł mu o wczorajszym incydencie z Kaziem P.? – zaniepokoiła się. Odczuwała rodzaj szczególnego zażenowania, zupełnie tak, jakby to ona była winna, że pijany facet się na nią rzucił, chociaż niczym go nie sprowokowała.

– Dlaczego wybrał akurat mnie, a nie epatującą seksem Anię?

Barbara wyszła ostentacyjnie, gdy do pokoju rekreacyjnego wszedł z miną winowajcy jej wczorajszy absztyfikant i zamierzał usadowić się koło niej.

– Co to to nie – wyszczała przez zaciśnięte zęby – nie będę z tobą piła nawet kawy!

– Nie gniewaj się – szepnął cichym głosem, a po chwili przyszedł do jej gabinetu z zaproszeniem do kina.

– Nie mam na to czasu – odparowała Barbara.

Z przerażeniem spoglądała na piętrzące się stopy akt, nie bardzo wiedząc jak zabrać się do roboty. Przeglądała sprawę za sprawą, przytłoczona ich nadmiarem i brakiem kompetencji, lecz w autentyczną panikę wpadła dopiero na myśl o konfrontacji z sądem.

Barbara kładła się akurat do łóżka, gdy zadzwonił telefon i oficer dyżurny poinformował ją, że doszło do potrącenia pieszego w Pleszowie.

– Cholera jasna – zaklęła, ubierając się z powrotem – nie mógł dureń zgłosić wypadku pięć minut wcześniej?

Zwłoki leżały otoczone taśmą ledwie widoczną w egipskich ciemnościach. Padał ulewny deszcz ze śniegiem, który pojawił się wcześniej niż zwykle o tej porze roku i prawie nic nie było widać w gęstniejącej mgle. Barbara widziała grupę ludzi czających się w ciemności i mimo woli zastanawiała się, czy jest wśród nich sprawca. Wiedziała, że lubią wracać i zdalnie obserwować pracę

ekipy dochodzeniowej.

– Kiedy to się stało? – zapytała Barbara.

– Jakąś godzinę temu kierowca przejeżdżającego tędy samochodu ciężarowego zauważył leżącego na jezdni człowieka. Jechał na szczęście na tyle wolno, że jakimś cudem zdołał w ostatnim momencie zahamować.

– Bo jak pani prokurator widzi, droga wąska i zupełnie nieoświetlona – dorzucił młodszy znajomy aspirant.

– Czy to ten samochód?

– Kierowca jest w środku, ale trudno się z nim rozmawia, bo jest w szoku.

– Co takiego? – zdziwiła się Barbara.

Weszła do szoferki i usiadła na siedzeniu pasażera, a młodszy aspirant za jej plecami.

– Co pan widział? – zapytała Barbara, przyglądając się twarzy niewiele starszego od niej mężczyzny. – I co pan tu właściwie robi o tej porze służbowym samochodem?

Mężczyzna zmieszał się, wyraźnie przestraszony i dopiero ponaglony kolejnym pytaniem, wykszusił, że nieopodal mieszka jego dziewczyna.

– To ta – dodał wskazując na moknącą w strugach deszczu nastolatkę. – Miałem przyjechać dzisiaj wieczorem, ale szef mnie zatrzymał i nie zdążyłbym na ostatni autobus, więc zamiast odstawić samochód do bazy...

– To teraz nie ma znaczenia – powiedziała Barbara – proszę powiedzieć, co pan widział.

– Ja nie widziałem nic, ale ona mieszka w tym domu po lewej stronie – znowu wskazał na moknącą w strugach deszczu nastolatkę – i wypatrując mnie przez okno, zauważyła, jak pędzący środkiem drogi samochód rąbnął w idącego poboczem chłopaka.

– Najpierw usłyszałam silnik pędzącego samochodu, a po chwili huk – potwierdziła siedemnastoletnia dziewczyna. – Biedak jeszcze żył, gdy do niego dobiegłam, a moja mama wezwała pogotowie i milicję.

– Lekarz tu był w międzyczasie i stwierdził zgon, pani prokurator – wtrącił się ktoś z ekipy wydziału ruchu drogowego.

– Możemy się związać – dorzucił młodszy aspirant.

– Wiecie panowie, kim jest ofiara? – zapytała Barbara.

– On mieszka kilka domów dalej, ale jego matka jest zagranicą, a siostra nie przyszła, aby go zobaczyć, bo ma małe dzieci w domu. Rozpoznali go sąsiedzi.

– Dobrze, że mamy chociaż jednego świadka – pomyślała Barbara, wracając do radiowozu.

– Z tego co mówi świadek – relacjonowała nazajutrz szefowi – to nie był wypadek, ale morderstwo. Padał ulewny deszcz, prawie nic nie było widać w oparach mgły, droga była ekstremalnie śliska, a sprawca pędził środkiem drogi i zamiast hamować przed oznaczonym zakrętem, wyraźnie przyspieszał.

– Sugeruje pani, że to było celowe potrącenie – Bogusław T. spojrzął na Barbarę zza swoich grubych okularów pytającym wzrokiem.

– Na to wygląda – odpowiedziała bez chwili wahania – bo ani nie próbował hamować, ani się nie zatrzymał, tylko uciekł z miejsca zdarzenia.

– Uciekł najpewniej dlatego, że był pijany, ale gdyby przyjąć taką tezę, jak pani sugeruje, to trzeba by znaleźć jakieś powiązania pomiędzy ofiarą a sprawcą wypadku.

– Nie mamy sprawcy, szefie, a z relacji naocznego świadka wynika, że był to najprawdopodobniej Polonez albo duży Fiat, co grubsza zgadza się ze śladami opon. Gwałtownie hamował dopiero za zakrętem. Nikt, poza jedną dziewczyną, która akurat obserwowała drogę, tego samochodu nie widział.

– Skoro ma pani tego rodzaju podejrzenia, to zadekretuję tę sprawę na panią – zakończył rozmowę prokurator rejonowy, wyraźnie obserwując reakcję Barbary. – Zaprzyjaźni się pani przy okazji z wydziałem ruchu drogowego, ale proszę uważać, bo to niezła banda.

– To zwykły wypadek! – wyśmiała ją, gdy zleciła przesłuchanie mieszkańców wsi na okoliczność, z kim utrzymywał kontakty zmarły mężczyzna.

– No trudno – pomyślała – zrobię to sama.

Wzywała ludzi z kolejnych domów i ku jej zaskoczeniu nie wiedzieli nic, albo nie chcieli nic mówić. Okazało się, że zmarły mężczyzna dwa tygodnie przed śmiercią opuścił zakład karny po odbyciu kary dziesięciu miesięcy pozbawienia wolności za rozbój i próbował wrócić do rodzinnego domu, ale jego starsza siostra nie chciała go wpuścić do środka i musiał nocować w stodole.

– Pewnie, że nie chciałam, aby do nas wrócił, bo zaraz przywlekłaby się za nim ta ciężarna zdzira, z którą się spotykał, a i bez tego w domu jest pięcioro małych dzieci – wykrzyczała Barbarze niemal w twarz.

– Jaka zdzira? – zdenerwowała się Barbara – proszę uważać na to, co pani mówi.

– Nachodziła mnie tutaj wielokrotnie, po tym jak Antek trafił za kratki – zaczęła opowiadać bynajmniej niepograżona w żalobie kobieta i wciąż wrogo nastawiona do zmarłego brata. – Lamentowała, że przysiągł, że się z nią ożeni, a potem, jak już była w widocznej ciąży, groziła, że się utopi w stawie, bo matka wyrzuciła ją z domu i nie ma gdzie się podziąć.

– Imię i nazwisko – Barbara czuła wzbierającą złość. – Proszę podać imię i nazwisko narzeczonej brata – powtórzyła z naciskiem.

– A niby to ja je znam – warknęła kobieta i widać było, że niczego więcej się z niej nie wycisnie.

Ludzie we wsi dziewczynę widywali, ale nikt nie wiedział, kim jest ani gdzie mieszka, w końcu jednak Barbara wpadła na pomysł, aby sprawdzić w zakładzie karnym, kto osadzonego odwiedza. Okazało się, że odwiedzała go Anita Wąs, ale niestety nie odnotowano jej adresu. Wyglądało na to, że nie da się ustalić sprawcy wypadku, kiedy nieoczekiwanie, podczas kontroli jednego z warsztatów samochodowych zlokalizowanego na obrzeżach Nowej Huty, ujawniono czerwonego Poloneza z charakterystycznymi wgnieceniami, które zainteresowały funkcjonariuszy milicji, bo mogły powstać podczas kolizji z innym samochodem albo nawet z człowiekiem.

– Albo z krową – zażartował funkcjonariusz ruchu drogowego w rozmowie z Barbarą.

Pracownicy warsztatu byli podejrzani o paserstwo, handel kradzionymi oponami, kołami, kołpakami i innymi częściami samochodowymi, które zresztą im udowodniono i nie bardzo wiedzieli, skąd się wzięły u nich czerwony Polonez. Ktoś wreszcie z nich wydusił, że wstawił go pracownik kombinatu.

– To światelko w tunelu – ucieszyła się Barbara, zlecając oględziny pojazdu przez biegłego.

– Sądzi pani prokurator, że to może być ten sam samochód, który potrącił pieszego w Pleszowie?

– Proszę się zastanowić, dlaczego stał tam od dwóch tygodni bez tablic rejestracyjnych i nic z nim nie zrobiono?

– Nie zdążono rozebrać go na części – pewnym tonem powiedział biegły.

– Wyobraź sobie, Aleks, że mam zabezpieczony samochód, który został skradziony w Kielcach w przeddzień wypadku w Pleszowie. Jego właściciel tego nie zauważył, bo był wówczas w szpitalu – obwieściła Barbara, wpadając do pokoju rekreacyjnego ze szklanką czarnej jak smoła kawy, którą zamierzała posłodzić służbowym cukrem. Była tak podekscytowana, że cukierniczka wyleciała jej z rąk, a cukier wysypał się na podłogę.

– O mój Boże! – zmartwiła się sekretarka. – To był szefowski cukier.

– Co z tym samochodem? – zapytał prokurator rejonowy, wyraźnie ubawiony. – Ustaliła pani czy rzeczywiście ma jakiś związek z pani sprawą?

– Z jakąś sprawą ma na pewno, bo znaleziono w nim ślady krwi – odpowiedziała z wrodzoną pewnością siebie Barbara – ale nie mamy stuprocentowej pewności, że to krew chłopaka zabitego w Pleszowie.

– A grupa krwi się zgadza?

– Zgadza się, panie prokuratorze, ale co gorsza, poza uszkodzeniami widocznymi z przodu samochodu, znaleziono również spore ślady krwi w bagażniku, tak jakby ktoś przewoził w nim zwłoki. I to już nie jest ta sama grupa krwi co na przednich częściach wozu. Z całą pewnością można stwierdzić, jest to krew należąca do dwóch różnych osób.

– A w twojej sprawie, Aleks, coś się posunęło?

– Niestety nie, szefie, wciąż nie możemy ustalić, kim była ofiara. I wciąż nie znaleźliśmy jej głowy.

– Zdajesz sobie sprawę, że za chwilą polecą nasze głowy, najpierw twoja a potem moja.

– Chyba mamy przełom w pani sprawie, pani Barbaro – odezwał się wyraźnie zadowolony Bogusław T. – Wydział kryminalny Komendy Wojewódzkiej przekazał informację, że krew zabezpieczona w bagażniku Poloneza odpowiada grupie krwi ofiary z kombinatu, ale to stanowczo za mało, aby stwierdzić, że to była Anita Wąs.

– Mamy zatem, panie prokuratorze, dwie ofiary śmiertelne. Zamordowaną kobietę o nieustalonej tożsamości, która być może była w ciąży albo niedawno urodziła, na co wskazywałyby rozsunięte kości miednicy i potrąconego przez samochód mężczyznę, którego odwiedzała ciężarna dziewczyna w zakładzie karnym...

– Doskonale, pani Barbaro, tylko czy jest coś, co pozwala powiązać ze sobą te dwie sprawy?

– Dziecko – wykrzyknęła Barbara – musimy znaleźć dziecko. Dzieci są rejestrowane w szpitalu przy porodzie i potem w Urzędzie stanu cywilnego.

– Życzę powodzenia, choć wydaje się rzeczą mało prawdopodobną, aby sprawcą morderstwa i wypadku była ta sama osoba.

Barbara popędziła piętro niżej do gabinetu Aleksa i zastała go zajętego konwersacją z Anną, którą najwyraźniej zdawał się uwodzić.

– Czy wiesz, że mamy wspólnego podejrzanego? – wykrzyknęła entuzjastycznie. – Udało się odszukać dziewczynę zabitego na drodze chłopaka.

– Ale wciąż nie mamy urodzonego przez nią dziecka – powiedział mocno protekcyjnym tonem.

– To prawda – przyznała Barbara, której entuzjazm z wolna opadał – ale dlatego właśnie chciałam cię prosić o pomoc.

– Czy wiesz, Basiu, ile dzieci rodzi się każdego dnia? – roześmiała się Anna – To będzie przypominać szukanie igły w stogu siana.

Po Wszystkich Świętych, Barbara zjawiła się w biurze w nienajlepszym nastroju i zamknęła się w swoim gabinecie. Siedziała przy biurku, popijając zaparzoną w szklance po turecku kawę i czytając gazetę, gdy wszedł Aleks i bez słowa położył przed nią planszę z fotografiami młodej ślicznej dziewczyny, podpisaną nazwiskiem Anita Wąs.

– Wiemy, że od wakacji nie pojawiła się w domu – powiedział ponurym głosem – i chyba rzeczywiście rodzice wyrzucili ją z domu, gdy okazało się, że spodziewa się dziecka. Wedle wyliczeń jej matki mogło urodzić się z końcem sierpnia albo na początku września, ale tego z całą pewnością nie da się stwierdzić, bo dziewczyna nigdy nie zgłosiła się do lekarza, ani w miejscu swojego zamieszkania, ani tutaj na terenie Nowej Huty. Nie wiadomo, gdzie zamieszkała i gdzie urodziła dziecko. W żadnym z okolicznych szpitali nie odnotowano rodzącej Anity Wąs.

– A czy sprawdzaliście w USC czy dziecko zostało zarejestrowane?

– Nie figuruje w ewidencji – odparł Aleks.

– To by znaczyło, że została zabita, gdy była w ciąży, albo pozbyła się dziecka po porodzie, choć to mało prawdopodobne, aby czekała z tym tak długo. Większość kobiet potrafi pozbyć się niechcianej ciąży, chyba że...

– Co chciałaś powiedzieć? – zaciekawił się Aleks.

– Pomyślałam, że pochodząca ze wsi, bogobojna dziewczyna wolałaby raczej oddać dziecko do adopcji aniżeli je zabić – powiedziała Barbara bez przekonania. – Wypadałoby tam zrobić rekonesans, przesłuchać jej rodziców i przyjaciół, a także księdza.

Barbara zdziwiła się, gdy okazało się, że szef polecił, aby pojechali razem do niewielkiej wsi za Myślicami, gdzie o tej porze wszelkie życie zamiera. Matka dziewczyny nie przyjmowała do wiadomości, że córka zaginęła i być może nie żyje i uparcie utrzymywała, że włóczy się gdzieś po świecie razem z chłopakami.

Wiedziała natomiast o śmierci narzeczonego córki.

– Jak to skąd? – kobieta wzruszyła ramionami – stale ktoś o niego dopytuje. Przegoniłam go stąd nie bez powodu. Stale przywoził ze sobą jakieś trefne rzeczy. Dopiero gdy trafił do więzienia, przejrzała na oczy, a i tak postanowiła wziąć z nim ślub. Poszła nawet w tej sprawie do księdza, bo nie wiedziała, że najpierw trzeba mieć cywilny, a na to ja musiałabym wyrazić zgodę i sąd rodzinny, bo była jeszcze nieletnia. Zaczepił mnie raz nawet ten ksiądz po mszy i zaczął prawić mi kazanie na temat miłosierdzia i oskarżać o bezduszość, bo moja własna córka poszła do niego na skargę. Powiedziała, że musi mieszkać kątem u obcych ludzi, bo ja wymówiłam jej mieszkanie.

– A to prawda? – zapytała Barbara.

– Prawda, bo nie mogłam dłużej na nią patrzeć, na ten jej coraz to większy brzuch i ten wstyd, jakiego mi narobiła w całej wsi. Obgadywała mnie i żaliła się do ludzi i do koleżanek, tak że wchodząc do kościoła czułam się napiętnowana. A teraz to już ludzie nie tylko, że się na mnie nie patrzą, ale nawet ze mną nie gadają.

– A ksiądz?

– Dał mi nawet adres, na wypadek gdybym chciała skontaktować się z córką. Zaraz, zaraz, gdzie ja go posiałam – kobieta zaczęła rozglądać się bezradnie po kuchni.

Weszli po mszy do zakrystii, gdzie znaleźli miłego księdza w średnim wieku, który zaprosił ich na plebanię i poprosił, aby się rozgościli.

– Wiem już, że przychodzicie państwo w sprawie Anitki – uśmiechnął się – biedne dziecko tyle wycierpiało.

– Wycierpiało? – podchwyciła Barbara – co ksiądz ma na myśli?

– To bardzo dobra dziewczyna, która wpadła w pułapkę. Gdy okazało się, że jest w ciąży, jej chłopak został aresztowany.

– Nie mógł jej ksiądz jakoś pomóc? – zapytała poruszona do głębi Barbara

– Ależ pomogłem – wykrzyknął ksiądz takim tonem, jakby chciał odeprzeć od siebie wszelkie oskarżenia. – Odesłałem ją nawet do sióstr, które pomagają młodym matkom, ale ona zdecydowała się zamieszkać u jakichś ludzi, którzy postanowili zapłacić jej za dziecko.

– Co takiego – oburzyła się Barbara – dlaczego nie zawiadomił ksiądz milicji.

– No, wie pani, to nie byłby dobry pomysł.

– A wie ksiądz chociaż co to za ludzie? – włączył się Aleks.

– Zostawiła mi adres, a ja dałem go jej matce, aby mogła się z nią skontaktować.

– A może pamięta ksiądz jakiś szczegół, który pomógłby ustalić, gdzie ci ludzie mieszkają?

– Niestety nie, ale proszę skontaktować się z księdzem proboszczem w Arce, bo wiem, że do nich chodziła sprzątać. Może on coś wie.

Wychodzili już, gdy zatrzymał ich przy furtce.

– Jakiś czas temu zjawił się tutaj ten jej chłopak i dopytywał, czy nie wiem, gdzie ona jest i co stało się z dzieckiem.

Aleks przytomnie sięgnął do akt i okazał księdzu fotografie ofiary wypadku.

– Tak to on – ucieszył się. – Nie mam najmniejszej wątpliwości. Przychodzili tu razem, zanim trafił do więzienia.

– Podsumujmy, Basiu! Wiemy na pewno, że chłopak będący ofiarą wypadku samochodowego był ojcem dziecka Anity Wąs. Nie wiemy natomiast kto go przejechał i czy rzeczywiście działał z zamiarem pozbawienia go życia. Wiemy tylko, że sprawca poruszał się skradzionym samochodem i być może pracuje w hucie, bo o tym wspominał jeden z pracowników warsztatu. Nie wiemy co stało się Anitą Wąs i jej dzieckiem. Części ciała znalezione w hucie nie nadają się do identyfikacji.

– Musimy znaleźć dziecko – podsumowała Barbara – jestem pewna, że to ono jest kluczem do rozwiązania zagadki.

– Powinniśmy szukać wśród dzieci urodzonych pomiędzy 20 sierpnia tj. ostatnią wizytą Anity Wąs w zakładzie karnym, a dniem, w którym znaleziono w hucie porąbane zwłoki kobiety

– Niech zrobią spis i sprawdzają dom za domem i rejestrują wszystko, co mogłoby wydawać się im podejrzane.

– To zajmie miesiące – westchnął Aleks.

6 grudnia spadł śnieg. Ogromne białe płatki wirowały za oknem w świetle ulicznych latarni. Późnym wieczorem, ledwie Barbara usiadła z książką w ręku przy kuchennym stole, usłyszała delikatne stukanie do okna.

– Aleks? – zdumiała się. – Co ty tutaj robisz?

– Muszę ci powiedzieć, że funkcjonariusze przeszukujący blok, za blokiem, mieszkanie za mieszkaniem trafili wreszcie na kobietę, która nie wygląda na naturalną matkę swojego dziecka.

– Co to za kobieta? – ponagliła go – opowiadaj!

– Kot mówi, że to istna wiedźma z gatunku tych, co to latają na miotle i gdy zapukali do jej drzwi nie chciała ich wpuścić do środka. Znaleźli zabiedzone kilkumiesięczne, wrzeszczące dziecko, na którego płacz zupełnie nie reagowała, a przy tym była wyraźnie zdenerwowana i zachowywała się nienaturalnie, a kiedy poprosili o akt urodzenia dziewczynki i okazało się, że kobieta go nie posiada, a to wydało się im podejrzane.

– Wezwali opiekę społeczną?

– Nie było do tego podstaw, Basiu, ale Kot wymusił na niej informację, kiedy i gdzie urodziła to dziecko. W szpitalu powiedziano mu, że tamtej nocy urodziło się tylko jedno dziecko i to przez cesarskie cięcie. Zapamiętali pacjentkę, bo wyraźnie nie zgadzał im się wiek metrykalny rodzącej z jej wyglądem, ale do głowy personelowi nie przyszło, że pacjentka mogła podać się za kogoś innego, czyli przedstawić przy przyjęciu cudze dokumenty. Jak dotychczas to się nigdy nie zdarzyło.

– Ale na tym nie koniec. Wyobraź sobie, że kiedy funkcjonariusze zaciągnęli kobietę po zatrzymaniu również na badanie ginekologiczne, okazało się, że w ogóle nigdy nie rodziła, a z całą pewnością nie przez cesarskie cięcie. Dopiero wtedy dziecko przeszło pod pieczę opieki społecznej, a kobieta do aresztu.

– A jej mąż?

– Zapadł się pod ziemię, więc wydałem za nim list gończy.

Pewnie nieprędko się znajdzie. Okazaliśmy jego zdjęcia w tym warsztacie samochodowym, do którego trafił czerwony Polonez, ale niestety nikt go tam nie rozpoznał. Nie potwierdził, że to on przyprowadził tam samochód. Niewykluczone, że po konfrontacji, ktoś z paserów go rozpozna.

– A co mówią sąsiedzi?

– Nie wszystkim udało nam się jeszcze przesłuchać, ale jedna z sąsiadek zeznała, że przez jakiś czas mieszkała w tym mieszkaniu również młoda dziewczyna i znikła akurat wtedy, kiedy pani Lisowa wróciła ze szpitala razem z noworodkiem. Podobno wielokrotnie dobijała się do ich drzwi, wrzeszcząc, że ukradli jej dziecko, a nawet groziła, że zawiadomi milicję.

– Mają jakieś zgłoszenie?

– Sprawa wygląda gorzej, bo dziewczyna rzeczywiście zjawiła się w komisariacie razem z jakimś młodym księdzem, lecz gdy zaczęła opowiadać, że ukradli jej dziecko, nikt nie chciał jej uwierzyć i w ogóle nie przyjęto od niej zawiadomienia. Posiedziała tam sobie tylko, popłakała i poszła. Co gorsza ta sama sąsiadka twierdzi, że jakiś czas później Lisów zaczął nachodzić młody mężczyzna z ogoloną głową, który szukał u nich swojej dziewczyny

i domagał się od nich wydania swojego dziecka. Kobieta nabrała wtedy podejrzeń, że Lisowa nie jest matką dziewczynki, ale bała się wkraczać w ich życie, bo jak twierdzi Lis jest osobą niebezpieczną i nieprzewidywalną i podobno niejednemu już spuścił niezły łomot. Ogólnie rzecz biorąc Lisowie nie są lubiani przez sąsiadów i z nikim nie utrzymują żadnych kontaktów. Podejrzewani są też o przynależność do jakiejś sekty, a dzielnicowy w wywiadzie środowiskowym zaznaczył, że należą do Świadków Jehowy. Osobiście ustaliłem, że do kościoła nie chodzą, a sąsiedzi twierdzą, że księdzu chodzącemu po kołędzie, to drzwi nawet nie otwierają, pomimo że obydwoje są w domu.

– A czy ktoś w ogóle widział, żeby ta Lisowa była w ciąży? – zapytała Barbara.

– Sąsiedzi widywali ją w ciąży i stąd ich najbliższa sąsiadka wysnuła wniosek, że kiedy ciąża Lisowej zakończyła się niepowodzeniem, przejęła dziecko od Anity Wąs. Ale bała się o tym komukolwiek powiedzieć.

– To może być częściowo prawdą, bo proboszcz mówił, że Anita postanowiła oddać swoje dziecko obcym ludziom – zaczęła spekulować Barbara – ale nadal nie mamy żadnego dowodu na to, że została zamordowana. Stwierdzenie anatomopatologa, że ofiara mogła być w ciąży albo nawet urodzić dziecko, to za mało, aby przyjąć, że to ciało Anity znalezione w hucie.

– A co wykazało przeszukanie u Lisów? – zapytała po chwili. – Znalezione cokolwiek, co mogłoby wskazywać na to, że popełnili zbrodnię?

Aleks zaczął się śmiać, widząc niecierpliwość z jaką ponagliła go Barbara.

– Niestety nie. Staramy się natomiast ustalić, co to za ludzie. Na dziś wiemy tylko tyle, że jakiś dwadzieścia lat temu Lis jako młody chłopak przyjechał do Nowej Huty z Kielc, gdzie chodził do szkoły i od razu zatrudnił się w stalowni. Jest co prawda niekarany, ale ludzie wiążą go ze światkiem przestępczym i unikają. Wolą nie wchodzić mu w drogę. Mówią, że od czasu do czasu odwiedza go bardzo stary ojciec razem ze swoim młodszym synem i że łączą ich jakieś cichociemne interesy. Podobno wszyscy trzej handlują kradzionymi samochodami, bo

za każdym razem przyjeżdżają innym.

– Sądzę, że niewiele ryzykujemy składając szefowi relację, że ustaliliśmy tożsamość zamordowanej kobiety i że mamy potencjalnych sprawców?

– A jak się okaże, że Anita Wąs żyje? – włos niemal zjeżył się na głowie Aleksa – nie bądź taka w gorącej wodzie kąpana!

Nazajutrz stawiała się w prokuraturze matka Anity Wąs z deklaracją przejęcia opieki nad urodzonym przez córkę dzieckiem.

– Za wcześniej na to – wysyczał przez zaciśnięte zęby, patrząc w okno zamiast na świadka – śledztwo wciąż jest w toku.

– To maleństwo potrzebuje opieki, ty bezduszny człowieczku – rozzłościła się Barbara i pobiegła do szefa.

– Jeśli wiadomo, że ojciec dziecka zginął śmiercią tragiczną potrącony przez samochód, a matka najprawdopodobniej zaginęła, to trzeba załatwić z sądem rodzinnym tymczasowe przejęcie nad nim pieczy przez babkę macierzystą – zgodził się z Barbarą prokurator rejonowy.

– A niby skąd mamy wiedzieć, że to rzeczywiście dziecko Anity Wąs? – zaoponował Aleks.

– Po pierwsze wszyscy sąsiedzi Lisów, którym okazano plansze ze zdjęciami, rozpoznali na nich Anitę Wąs i twierdzą, że mieszkała u Lisów – zirytowała się Barbara – a ponadto również położna, która miała odbierać poród i lekarz, który rozwiązał ciążę przez cesarskie cięcie, potwierdzili zgodnie, że rodzącą była Anita Wąs a nie Lisowa.

Barbara patrzyła na Aleksa wzrokiem pełnym dezaprobaty, a on na nią z wściekłością.

– Najprawdopodobniej sprawca wypadku samochodowego, w którym zginął chłopak Anity Wąs, okaże się też jej mordercą – brnęła dalej w jawny spór z Alekssem Barbara.

– To może powiesz mi jeszcze, jak go znaleźć – wysyczał Aleks.

– Chciałabym osobiście przesłuchać Lisową – zaproponowała Barbara – może ja z niej coś wyciągnę. – Jest również świadkiem w mojej sprawie i może wiedzieć, co tamtej krytycznej nocy robił jej mąż.

Na pytanie, kiedy i gdzie poznała Anitę Wąs, podejrzana odpowiedziała, że dziewczyna zapukała pewnego letniego dnia do drzwi ich mieszkania, prosząc o pomoc.

– Była przemoczona do suchej nitki, bo padał ulewny deszcz, a kiedy ściągnęła przemoczone ciuchy, zauważyłam, że jest w ciąży. Lamentowała, że nie ma gdzie się podziać, bo matka wyrzuciła ją z domu, a chłopak trafił do aresztu.

– A kiedy doszłyście do porozumienia, co do dziecka? – zapytała Barbara.

– Do żadnego porozumienia nie dochodziłyśmy. Dopiero potem okazało się, że Anita ukradła mój dowód osobisty i podała w izbie przyjęć moje dane personalne, bo nie miała własnego dowodu, nie była nigdzie zameldowana i nie pracowała. Bała się, że jej nie przyjmą do szpitala. Po kilku dniach przyszła ponownie i wręczyła mi dziecko, mówiąc, że nie może go zatrzymać.

– A co powiedziała pani jej chłopakowi, kiedy jej szukał i chciał odebrać swoje dziecko?

– Nikt taki tu nie przychodził – kobieta zwiesiła głowę i przestała

odpowiadać na pytania Barbary.

– Musisz powołać biegłych i najpewniej nie obędzie się bez obserwacji sądowo-psychiatrycznej – poinformowała Aleksa, starając się go przy tym nie urazić. – Z akt wynika, że dwadzieścia lat temu Lisowa była oskarżona o zamordowanie dziecka, lecz sąd ją uniewinnił z powodu niepoczytalności i orzekł detencję.

– Nie pojmuję jakim cudem udało się jej w ogóle opuścić szpital psychiatryczny – zdumiał się Aleks – kto i na jakiej podstawie doszedł do wniosku, że schizofreniczka nie będzie stanowić zagrożenia dla siebie i innych.

– Właściwie nie wiadomo na jakiej podstawie rozpoznano wówczas u oskarżonej schizofrenię. Aż do siedemnastych urodzin, nigdy nie była leczona psychiatrycznie i nie było w jej życiu żadnych epizodów świadczących o tym, że może być chora. I nagle ni stąd ni zowąd kradnie dziecko pozostawione przez matkę w wózku przed sklepem, ucieka i ukrywa się z nim. Nie robi tego dla pieniędzy i nie żąda okupu. Niejasne są też okoliczności śmierci tamtego dziecka. Teraz też sprawa nie ma podtekstu materialnego, a co więcej to ona daje Anicie pieniądze, aby sobie poszła. Tylko, że Anita czuje, że coś jest nie w porządku, zwraca się do księdza o pomoc, sugeruje, że dziecko trafiło do złych ludzi, którzy mogą zrobić mu krzywdę.

– Dobry Boże – westchnęła Barbara porażona nagłym odkryciem, że być może trauma wojny, widziana oczami Rebeki Goldstein jako małej dziewczynki, która straciła rodziców i całą swoją rodzinę w Holokauście, zaciążyła na jej psychice w tym stopniu, że aby odczarować rzeczywistość popadła w schizofrenię. Próbowana odnaleźć się w nowej już rzeczywistości powojnia, jednak nie pozwoliły jej na to stale powracające wspomnienia i strach.

Aleks patrzył na siedzącą *vis a vis* Barbarę, zastanawiając się, co kłębi się w jej głowie, a na koniec zapytał:

– Czy sądzisz, że Rebeka mogła zabić Anitę Wąs?

Gdy Barbara wychodziła z biura, czekała na nią przed budynkiem matka Anity Wąs w samochodzie księdza proboszcza, który trzymał na rękach niespełna półroczną, śliczną dziewczynkę.

– Dziękuję, pani prokurator – odezwała się kobieta, płacząc – gdyby nie pani...

Tymczasem Aleks zatrzymał przejeżdżającą taksówkę i podał taksówkarzowi adres Barbary.

– Zaprosisz mnie chyba na herbatę? – zapytał, gdy wysiedli z taksówki.

– Na herbatę tak – zażartowała – ale na nic więcej nie możesz liczyć.

W tydzień po wyjeździe Aleksa na delegację, otrzymała od niego kartkę z pozdrowieniami i dopiskiem „ale pamiętaj, że rozsądny to ja nie jestem”

Fragment przygotowywanej do druku powieści

Prokurator Aleks

JOLANTA BAZIAK

Z dziejów początku

Piekiel nie ma
to czas ulewnego światła
czyściec prapoczątku

Ruach
nad wodami

w raj
ktoś zbuntowany

adam
człowiek
mężczyzna i niewiasta
w zachwycie
tulą owoc miłosny

dotknęli

przed sądem wieszczym
z drzewa poznania
zarodki wszechświatów
zerwali

ku ziemi piszą o CAŁYM człowieku
malarzepoeci

Michał Anioł da Vinci Norwid
całe zastępy

widziano ich wśród aniołów
ras czarnych żółtych białych

żar
proch czasu
w pułapce

bez ramy

W komnatach ukrytych

Słucham
muzyki pod chmurami nad chmurami
cichego kwilenia nowiu
orkiestracji pełni
i ciszy gdy Wenus
wysła pocałunek po nocy
miłosnej

światło wschodu odsyła tych dwoje
do komnat ukrytych
przed wzrokiem śmiertelnym

w dno oka Dalekiej Wenus
wplatam swój warkocz małej i jeszcze
nagiej historii
dziewczynki
z łzą

materia z mgławicy

Powidok z Islandii II

nie jestem wyspą odsuniętą od sztormu
Maluję opuszkami pamięci ten witraż
za kratami doczesnego okna
– szarość jest tutaj doskonała
jak doskonałość bywa szarością
i tu i tam serce przybywa i oddycha
w liście do istnienia
lód
ornament
oryginał
– zimno– zimno– ciepło
połóż na tę mgłę
marginesy rodzących się konstelacji
zapisz za mnie to jedno wspomnienie
zwycięstwo świtu nad zmrokiem świtu nad
zmierchem

a wiesz że tak nie było z prawdą?
były gry świadomości
racjonalizm
nauka
a może
jestem tak blisko źródła i tego nie czuję –
że parzysz
dłonie?
a jednak
utrzymam świt gorejący
w palcach

taki mam kontrakt –
TY stwarzasz
ja trzymam

Kacper o impresji

Kacperkowi

Kacper pyta o impresjonizm
igranie wody i o zwiniańtko
wyrzucone na brzeg

to może być każde zwierzątko
każda woda
brzeg klif

Kacper pyta o ptaki na falach
może nury lub zwykłe kaczki
– zmrzmy powieki

martwa foka rozkłada płetwy
unosi wysoko
nad horyzont

Kacper wie uśmiecha
jakim cudem jest uśmiech
mruży powieki by igrać z impresją

Kacper stał się uśmiechem
o tam – ażurowy motyl

mewa śmieszka różowy księżyc

skrzydła

żagiel

ja

Świerk i drozd

Drzewo

potężne w ramionach

to tu to tam przebłyszcz

promień

na wierzchołku trzy ptaki

– choinka z gwiazdą

świerk w słońcu

niedalekie żagle przesuwały brzeg

ostatnie dni sierpnia

wszystko płynie

wysycha mój ostatni obraz

pod mokrą warstwą

ukryta twarz Chrystusa

teraz

laguna w świetle pomarańczowego księżyc

jeszcze wyraźniej widać głębokie ryty pędzla

po cierniach

przed próg spadło bladobrazowe piórko

wiele ich tutaj

drozdów śpiewaków

po deszczu wzbijają się z długimi wstęgami liszek

o świetle słychać polifoniczny koncert

piórko dodałam do obrazu

zostanie po małym droździe z nóżką

długo stał

nie jadł nie pił

patrzył

czarnym bolesnym okiem

pochowałam pod świerkiem w słońcu małego

drozda

teraz to piórko śpiewa

niemą falą na obrazie

Dar

Kant i Platon

Trzy światła za wodą – droga

trzy świetliste

– gdybym umiała biegać po falach...

horyzontalnie

wertykalnie

nade mną droga mleczna nie zawsze wyraźna

dziś doświetlona

i ten Immanuel

z rozumem praktycznym

niebo gwiazdziste nade mną

tak

boskie

nie dobiegające nigdy końca

zgubiliśmy się między światłami

w jaskiniach

pozostał imperatyw –

tylko blask odbity

Czy widzisz

Sofjce

Ptaki odlatają

a ja mam teraz nóżki – popatrz

powiedziała dwuletnia Sofia

jakby pamiętała

przestrzeń

czas

z innego wymiaru

Wielki Wymiar –

Sofia

jej starożytnie imię

wygrzewamy się tymczasem w świetle

promieni sierpniowego słońca

ziemskiego słońca

mały pająk

snuje niezmiernie misterną nić

tło

widzisz Tło?

Żółty

Ostatni liść

ostatni list

wiewiórki są już po drugim śniadaniu

tup tup tup

put put put

tup tup tup

put put put

a kobieta nasłuchuje i śmieje się

widzi już sprawy wysokie

czasem pyta o ptaka

pikującego pod niebieską wodę

szarego horyzontu

ustanawia nowe przestrzenie

owinięta w chorobę

dziś już nie krząta się jak Marta

jest Marią

nawet takie jej imię

ostatnia obecność jesieni

ruszyła wolno taśma

nieskończoności

malarska

i jakże żółta

Na ziemi

Gwizdy wróżą pogodę
dla bogatek w gniazdach
tam ukrył się Bóg

pisklęta zakwitają
ziemia gubi pamięć o ranach

cóż
ludzie
zapominają o Holomorze
Oświęcimiu
Dachau

publiczna dezynfekcja

śpij synku spokojnie
tylko mama się lęka
naszych drzwi nie naznaczono farbą

nie przychodzi żaden Anioł

O teatrze ciała

Słońce coraz niżej
dzwon uwagi
muszę usłyszeć z czułością

będziesz jesienna
zimowa
mijasz
telefony kolejno milkną
zapytam cię wiosną
o ziarna pokoleń
odejdziemy znad bliskich grobów
obrazy trwają
wspólną przypiływów i odpływów
należy być delikatnym dla zeszcłego liścia
kopca kreta
to nie boli

kilka sekund niczym drapieznik

chwila człowiecza
dumny moment w stronę światła

Sny nieodwracalne

Ziemia paruje
lekka mgła nad przestrzenią
nieoczekiwane faktury deszczu
Zachwył

sny z porwanych schodów
z rozpadliny ścian
nad urwiskiem
o poranku wiodły ku miłości
oczywistej
bezcieleśnej

testament obecności
na opuszkach palców
białym atramentem spisany
dojrzał do wieczystego zapisu

nieodwracalnie
wpisany w ruch niebieskich ciał

czy wiesz
nie wiesz

byłam białym atramentem

Ogienku

Z zapalki
z ogniska
stepów i przestworzy
głębokości ziemskich płyt

ogienku prochów przodków

złudnie podpalasz
darowany czas

wędrowania
do źródła
Ognia

Monarcha bytu

Dziwny jest ten świat
To nic że piękny
utajony przed stworzeniem
by dokostnie wielbiło nic z niczego

gubią ślad tysiąclecia
a On uparcie tylko
z laską żebraka
trędowatych synów
dotyka

wcielając nieskrzydlatych
do upadku

wzlatujących odwiecznie
upadłych Ikarów

Obcowanie kontynentów

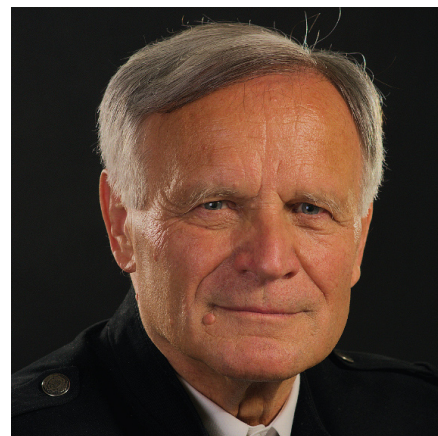
Twoje– jej
mnożysz
dzielić musiałaś się jednak uczyć
w linii potomstwa

kontynentem jest tu i twoja osoba
i gwiazda z której przyszedł
spoza nawiasów galaktyk

a wszystko to
w gorączce miłości
zmierza do pustki

racjonalnej abstrakcyjnej`

BOLESŁAW FARON



WYGNANIEC

W marcu br. otrzymałem opasłą przesyłkę z Bydgoszczy, a w niej miły list Jolanty Baziak i trzy ostatnie jej książki, a mianowicie – *Wygnaniec, tułacz, a może Ikar...* (Bydgoszcz 2019); *Słowo obraz. 40 wierszy, 40 obrazów* (Bydgoszcz 2021) oraz *Eroti* (Bydgoszcz 2024). W korespondencji autorka nawiązuje do naszych wspólnych korzeni. Jej rodzina wywodzi się bowiem również z ziemi łąckiej; Maszkowice, Zabrzeż, Łącko to miejscowości, skąd pochodzą jej przodkowie. Ona urodziła się w Toruniu, a większość swojego życia spędziła w Bydgoszczy. Pamiętam z dzieciństwa, że nazwisko Baziak było przy różnych okazjach wymieniane przez moich rodziców w Czarnym Potoku, obok innych łąckich familii, jak Pasoń, Dybiec, Turek... Dochodzenie do korzeni jest pasją Jolanty Baziak. Stąd wywodzą się jej książki: *Baziaki. Pokolenia* (2017) i część druga *Pokolenia. Baziaki II* (2019).

W tym nurcie pozycji dokumentalnych mieści się pierwsza z wymienionych tu książek, a mianowicie *Wygnaniec, tułacz, a może Ikar...* poświęcona arcybiskupowi Eugeniuszowi Baziakowi, nietuzinkowej postaci wśród polskich duchownych Kościoła Rzymskokatolickiego. Książka Jolanty Baziak przypomina osobę i dzieła, pięćdziesiąt lat kapłaństwa i biskupstwa na tle historii lat towarzyszących kapłanowi.

„Od osoby – pisze Jolanta Baziak – rodowego punktu kotwicznego – zaczynam narrację. Napisałam <„zaczynam”>, bowiem książka powstaje z wielu warstw: źródeł, relacji, spotkań, korespondencji, odkryć, wzruszeń i oczywiście zamierzonych poszukiwań ludzi oraz zjawisk. Książka żywa. Czasem w trakcie pracy pojawia się – raczej odślania, nieoczekiwane” (s. 9).

Przyjrzyjmy się – choć w maksymalnym skrócie – życiu i dorobkowi arcybiskupa Eugeniusza Baziaka. Urodził się 8 marca 1890 roku w Tarnopolu. Jego ojciec, Józef Baziak, urzędnik sądowy, wykształcony w Wiedniu, pochodził z Sądecczyzny. Po ukończeniu gimnazjum tarnopolskiego został alumnem lwowskiego seminarium duchownego i słuchaczem Wydziału Teologii Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. W 1912 roku otrzymał święcenia kapłańskie w Przemyślanach. W 1917 roku został powołany jako kapelan do służby wojskowej. W 1921 roku obronił doktorat z teologii na Uniwersytecie Jana Kazimierza. W 1933 roku został biskupem tytularnym Phocaea i sufraganem ks. abp. Bolesława Twardowskiego Metropolity Lwowskiego. Po różnych perypetiach okupacyjnych w 1944 obejmuje rządy nad archidiecezją lwowską. W kwietniu 1946 roku zostaje odstawiony przez NKWD na granicę polską, do Lwowa już nigdy nie powróci.

Przybywa do Lubaczowa, gdzie został rezydencjalnym biskupem lwowskim. W 1951 objął obowiązki biskupa koadiutora archidiecezji krakowskiej, a po śmierci ks. kard. Adama Sapiehy został administratorem apostolskim archidiecezji krakowskiej. W 1952 roku został uwięziony w krakowskim urzędzie Bezpieczeństwa. Po zwolnieniu otrzymał

zakaz pobytu w Krakowie i Lubaczowie. Przebywa w Krynicy i Tarnowie, gdzie mieszkają jego matka i siostra. 18 września 1958 roku konsekruje na biskupa ks. Karola Wojtyłę. 3 marca 1962 roku papież Jan XXIII mianował go metropolitą krakowskim i jednocześnie administratorem apostolskim archidiecezji lwowskiej. Ogłoszeniu nominacji przeszkodziła śmierć Arcybiskupa. 15 czerwca 1962 roku zmarł na zawał serca w Warszawie po posiedzeniu Konferencji Episkopatu Polski. Został pochowany w katedrze wawelskiej w krypcie pod kaplicą pw. św. św. Kosmy i Damiana (kaplica Zebrzydowskich).

Jolanta Baziak – jak wspominałem wyżej – stwierdziła, że „książka powstała z wielu warstw”. To prawda. Naracja autorki została tu bowiem ograniczona do minimum. Skupiła się ona na zebraniu i uporządkowaniu wielu dokumentów, dzięki którym poznajemy dramatyczne niezaznaczone tej niezwyklej postaci na tle najnowszej historii Polski; wyznaczone przez pierwszą wojnę światową, dwudziestolecie międzywojenne, burzliwe losy Lwowa podczas okupacji niemieckiej i radzieckiej oraz czasy PRL.

Źródła, do jakich dotarła autorka, są bogate, różnorodne. Znalazły się wśród nich: fragmenty z posiedzenia Senatu, podczas którego uczczono pamięć Arcybiskupa; fragmenty artykułów z czasopism katolickich, jak np. „Tarnowskie Studia Teologiczne”; Biuletyny IPN; wypowiedzi hierarchów Kościoła katolickiego; zapisy w Wikipedii oraz sporo kopii dokumentów.

Otrzymaliśmy dzięki temu nie tylko wiele informacji o biografii arcybiskupa Eugeniusza Baziaka, lecz również szeroki kontekst uwarunkowań społecznych i politycznych, w jakich przyszło mu żyć i działać.

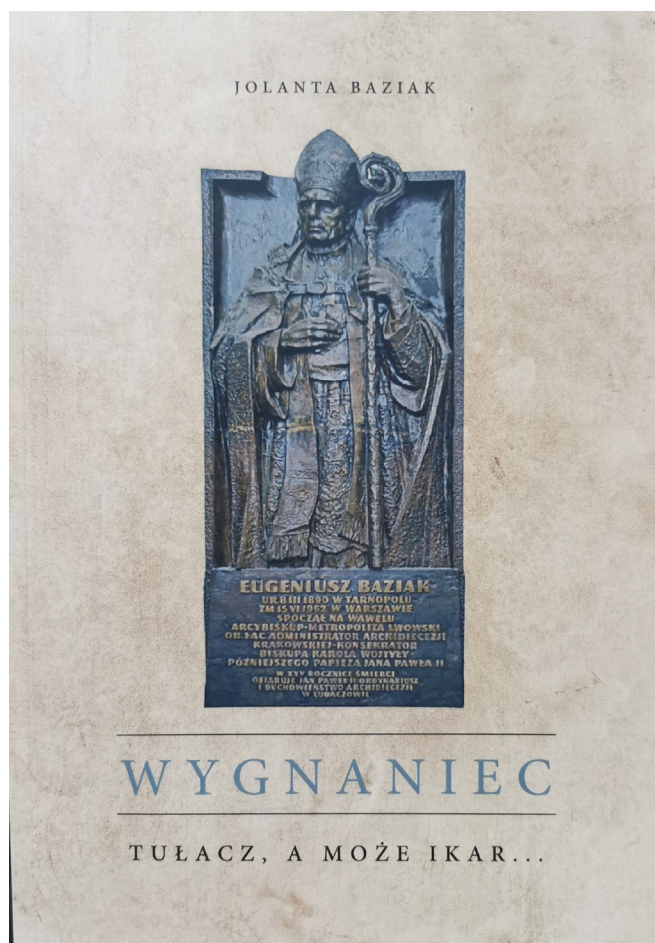
Dość mocno zostały zatem wyeksponowane decyzje polityczne w Jałcie i ich konsekwencje dla Polski oraz polskiego Kościoła, sylwetki kard. Augusta Hlonda i kard. Adama Sapiehy, relacje Baziaka z Karolem Wojtyłą, walka o krzyż i kościół w Nowej Hucie oraz relacje między hierarchią kościelną i władzami PRL. Wprawdzie zestawienie obok siebie tak różnych dokumentów, różnych świadectw musiało prowadzić niejednokrotnie do powtórzeń pewnych treści, to jednak dzięki tej wielości punktów widzenia sylwetka arcybiskupa Baziaka została solidnie umocowana na tle współczesnej historii. Autorka rekonstruując w ten sposób osobę arcybiskupa, dołożyła jeszcze jedną cegiełkę do swojej misji powrotu do korzeni.

Na zakończenie omówienia książki o arcybiskupie Eugeniuszu Baziaku parę zdań o autorce noszącej to samo nazwisko. Jolanta Baziak jest poetką, eseistką, krytykiem literackim, redaktorem ogólnopolskiego miesięcznika „Akant”, wydawcą, animatorem kultury. Ukończyła Wydział Teologiczny Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, podyplomowo filologię polską w Uniwersytecie Kazimierza

Wielkiego w Bydgoszczy. Pracowała w wielu placówkach kultury, m.in. w Estradzie – w Poznaniu, Bydgoszczy. Od 2007 roku do chwili obecnej jest zatrudniona jako specjalista do spraw wydawnictw i redaktor muzealnych publikacji w Muzeum Okręgowym im. Leona Wyczółkowskiego w Bydgoszczy.

Debiutowała w 1974 roku w Polskim Radiu cyklem wierszy *Strefa pomyłonych*. Wydała ponad dwadzieścia publikacji zwartych: poetyckich, prozatorskich, popularnonaukowych. Jej wiersze były tłumaczone na języki – angielski, niemiecki, czeski, islandzki. Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich od 1995 roku. Bardzo aktywna w środowisku kulturalnym Bydgoszczy. W br. obchodzi pięćdziesięciolecie twórczości.

Jolanta Baziak, *Wygnaniec, tułacz, a może Ikar*, Bydgoszcz 2019, Biblioteka Bydgoskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich; Wydawca: Towarzystwo Inicjatyw Kulturalnych w Bydgoszczy. Instytut Wydawniczy „Świadek”.



BOLESŁAW FARON

NOWE WIERSZE POETÓW SĄDECKICH JERZY TRZAJNA

Podczas gromadzenia materiałów do sylwetek sądeckich poetów, które publikuję od 2016 roku w miesięczniku „Sądeczanin” (wcześniej też na portalu: sądeczanin.info), zorientowałem się, że na ziemi sądeckiej kształtuje się kilka ośrodków, które szczególnie obrodziły w ludzi sięgających po pióro (komputer), by wypowiedzieć swoje myśli, doznania i uczucia. Wymienić tu należy przede wszystkim miasto Nowy Sącz, ale też dolinę Popradu (ze szczególnym uwzględnieniem Piwnicznej), Łososinę Dolną oraz Łącko i okolicę. Tu najwybitniejszym – moim zdaniem – poetą jest Broniek z Obidzy. Obidza graniczy z Jazowskiem, oddziela je rzeka Dunajec. Dzisiaj czytelnikom „Sądeczanina” przedstawię Jerzego Trzajnę, urodzonego i zamieszkałego w Jazowsku.

Jerzy Trzajna po ponad dwudziestu pięciu latach, podczas których pracował w Jaworznie czy w Krakowie, powrócił na rodzinną ziemię, założył własne przedsiębiorstwo wodno-kanalizacyjne, zbudował dom i zintensyfikował swoje zainteresowania literackie. Wiersze i fragmenty prozy drukuje w „Almanachu Łąckim” i „Angorze”. Opublikował też tom poezji pt. *Wiersze, teksty piosenek. Tomik I* (Jazowsko 2019), ze słowem wstępnym Elżbiety Kurek, poetki i hafciarki z gminy Wilga, autorki tomiku *Chwila*. Książka zawiera sześćdziesiąt tekstów poetyckich z ostatnich lat, a także niektóre wcześniejsze, jak napisana w 1975 roku piosenka *Dziewczyzna za wodą, Luśtro* – 1995 rok czy *Kohysanka Morska*, napisana w Kołobrzegu w roku 2012.

Ze *Słowa wstępnego* Elżbiety Kurek warto przytoczyć następujące konstatacje:

„W swoich wierszach [Jerzy Trzajna] opisuje sens życia i miłość do przyrody, do gór. Wiersze emanują wielką wrażliwością Poety. [...] Pochyla się w szczególności umęczonej sądeckiej przyrodzie. Ubolewa nad jej degradacją, nad Dunajcem, który ukochał od dziecka” (s. 4).

Z tym ubolewaniem nad degradacją umęczonej sądeckiej przyrody to lekka przesada, gdyż kwestii zanieczyszczenia Dunajca dotyczy zaledwie jeden tekst. Natomiast swój stosunek do ziemi rodzinnej poeta manifestuje wprost w komentarzu do piosenki z 1975 roku *Dziewczyzna za wodą*, pomieszczonym na Facebooku: „Urokliwe położenie gminy Łącko w dolinie rzeki Dunajec, chciałem w tamtych latach uszanować i zaznaczyć zależność jej uroku od kaprysów górskiej rzeki, jaką jest Dunajec”. W wierszu daje o sobie znać młodzieńcza tęsknota do ukochanej, którą oddziela od niego rwąca rzeka.

Wśród wielu tematów wierszy zgromadzonych w tym tomiku można wyodrębnić utwory rodzinne – o matce, ojcu, wnukach. Uwagę zwraca wzruszający wiersz *Dla Matki*. Jest to refleksja z perspektywy człowieka dojrzałego, żal, że jako dziecko nie umiał okazać jej miłości. Podobnie o ojcu, w utworze *Ojciec Mój*, który posyłając syna w świat, powiada: „Wiedz na drogę synu / o tym byś nie splamił nam

honoru”. Przypomniało mi to pożegnanie mojego ojca, kiedy w niezbyt odległym od Jazowska Czarnym Potoku żegnał mnie przed wyjazdem „do szkół”. Rzekł wówczas tylko jedno zdanie: „pamiętaj synu, jak się nazywasz”. Do tej grupy tekstów zaliczyć też trzeba *Słoneczko kochanym wnuczkom*, a także *Moja ojczyzna* (tworzą ją najbliżsi), wiersze: *Powrót – Moje wiersze* (o powrocie w strony rodzinne), *Dziecięce Wspomnienia*, *Idą święta* czy *Nasz Sad*, *Nasz Dom*.

Ten świat młodzieńczej arkadii to kraina nad górską rzeką. *Dunajcowe Klimaty*, apoteoza rzeki, zachwyty nad jej urodą, choć znajdzie się też tutaj tekst *Umęczona kraina*, gdzie ubolewa na degradację przyrody na przykładzie zanieczyszczenia Dunajca.

Raz po raz w wierszach i piosenkach pojawiają się refleksje nad życiem, jego urodą, wznosami i upadkami człowieka. Wspomnienia, powroty do lat młodości spędzonej na Sądecczyźnie, westchnienia do tej, która wywoływała wówczas drżenie serca, to częste motywy zawartych tu tekstów (*Droga życia – blues*; *Życie jak kwiat – blues – piosenka*; *Czas*).

Nie stroni również od tematów politycznych, choć nie analizuje bieżących zdarzeń politycznych. Wyraża sceptycyzm wobec ludzi, którymi zawładnęła jedynie myśl o karierze, którzy nie oglądają się na innych (*Kariera*), polityków przestrzega, że ich czas się kiedyś skończy (*Polityk*). Czasom PRL-u stara się wymierzyć sprawiedliwą ocenę, wskazując również na pozytywne zjawiska w tej epoce.

Wyłania się z tych tekstów postać pogodnego podmiotu lirycznego, przyjaznego ludziom, odrzucającego zło, nienawiść, zawiść i inne przywary. Autor wierzy w dydaktyczny sens słowa pisarza. Chciałby, by jego wiersze czyniły ludzi lepszymi, a świat piękniejszym. Nawet, jeżeli jest to idea nabytym optymistyczna, może nieco na wyrost, to warto ją zaakcentować.

Swoje myśli, spostrzeżenia wyraża wprost, bez silenia się na specjalną metaforę czy porównania. Tu i ówdzie pojawia się skłonność do tradycyjnego rymowania. Nie jest jednak w tym względzie konsekwentny. Prostota to cecha tych wierszy, a także prawda i solidność.

Gdyby autor planował edycję następnych tomów wierszy, a sądzę, że tak będzie, to sugerowałbym staranniejszą korektę tekstów. Jest to apel może mniej do poety, a bardziej do potencjalnego wydawcy jego utworów.

Jerzy Trzajna urodził się 20 kwietnia 1949 roku w Jazowsku w rodzinie robotników fabrycznych, jako najmłodszy syn z jedenaściorga rodzeństwa. Jego dziadkowie ze strony ojca i matki: Sebastian Trzajna ze Słupnic i Wojciech Bulanda z Zalesia przybyli tu w latach 1870-1876, w związku z możliwością podjęcia pracy w Fabryce Mebli Giętych

Michała Adera i jego braci. Założyli rodziny z miejscowymi kobietami. Tak powstała Jazowska gałąź rodu.

Ojciec Jerzego Trzajny, Antoni, zajmował się taborem konnym u Aderów. Był żołnierzem we wrześniu 1939 roku, przebywał w niewoli niemieckiej. Po wojnie otrzymał 2,7 ha ziemi na Gruszowie wraz z zabudowaniami po byłym dworze. Matka Tekla z domu Bulanda urodziła się w Kadczy. Zajmowała się gospodarstwem domowym i wychowaniem dzieci.

Jerzy Trzajna po ukończeniu Szkoły Podstawowej w Jazowsku (1958-1965) zdał egzamin do technikum Samochodowego w Nowym Sączu. Ze względu jednak na brak miejsc zaproponowano mu Szkołę Rzemiosł Budowlanych. Podjął tu naukę na specjalności instalacje sanitarne, które były wówczas nowym kierunkiem. Ukończył ją po trzech latach. Następnie pracował w Przedsiębiorstwie Robót Instalacyjnych w Krakowie, na budowach w Jaworznie, a od 1957 roku w Przedsiębiorstwie Naftobudowa. Pełnił różne funkcje zawodowe, m.in. monter, mistrza, nauczyciela zawodu, kierownika zespołu robót. W latach 1975-1976 kontynuował naukę w Technikum Budowlanym w Jaworznie. Choroba uniemożliwiła mu jednak ukończenie tej edukacji.

Jego zainteresowania literaturą, poezją dały znać o sobie dość wcześnie. Na jego dyplomową pracę z języka polskiego w Nowym Sączu zwróciła uwagę nauczycielka, podkreślając jej oryginalność. Rzecz dotyczyła *Balladyny* Juliusza Słowackiego. Podczas dłuższej choroby wiele czasu poświęcał na samokształcenie i na lekturę literatury klasycznej, poezji i prac historycznych. Zaciekała go też piosenka, zwłaszcza Wojciecha Młynarskiego. Pierwsze próby literackie, pierwsze teksty łądowały głównie w szufladzie. Dopiero w latach 90. po powrocie do Jazowska, po założeniu w 1993 roku własnej działalności: Zakład Instalacji Sanitarnych, Wodno-Kanalizacyjnych, CO, Gaz – nieco więcej uwagi poświęcił sztuce pisania. Wcześniej swoje zainteresowania kulturą realizował jako gitarzysta zespołu muzyczno-estradowego „Fundamenty” w Jaworznie (1971-1979). W 1978 roku na przeglądzie Miejskich Zespołów Muzycznych miasta Jaworzno otrzymał wyróżnienie za tekst i melodię utworu o rzece Dunajec pt. *Dziewczyzna za wodą*. Występował też jako członek chóru kościelnego Parafii Rzymsko-Katolickiej w Jazowsku.

Wiersze i fragmenty prozy drukuje w „Almanachu Łackim” i w „Angorze”. Wydał tom poezji *Wiersze, teksty piosenek. Tomik I*, Jazowsko 2019. Wydawca: Drukarnia Flexergis Sp. z o.o.

Mieszka w Jazowsku w gminie Łącko. W korespondencji do mnie napisał m.in.: „jestem żonaty, mam trzech synów, a umiłowanie moim pozostaje zawsze literatura z muzyką. Kończę też obecnie rys historyczno-obyczajowy mojego rodu na terenie ziemi jazowskiej, pozostający w ścisłej korelacji z byłą fabryką mebli Michała Adera w Jazowsku”.

Jazowsko jak jazy

W mojej wsi mówili
Dunajec jest wieczny
osiadł nad nim człowiek
bo mu z nim dorzecznie.

W mojej wsi na jazach
łososie łowiono,
tratwy z drewnem pierwsze
do Wisły spławiano.

W mojej wsi za młodu
płynął czystą wodą,
pili z jego nurtu
zwierzęta i ludzie.

W mojej wsi Dunajec
białe miał kamienie,
stromo jego brzegi,
widzą nas w nim, z cieniem.

Wczoraj

A przecież jakby wczoraj
był ten czas,
gdy mogłem ciebie
leciuchno niczym piórko
unieść na rękach,
ku naszym szczytom wzniesień
i stawało się niebo bez bram.

A dzisiaj wołam oniemiały pustką
i tylko wiatr ten sam
puka w moje okno
wspomnieniem.

Mentalność

Wciąż budzę się rano
w starej mentalności
kodowanej biernie
na bezsilność w sobie.

Z tym niedowierzaniem
w pozycji obronnej
jak ptak ze zranionym
skrzydłem ku wolności.

Z tym pojęciem prawdy
przewrotności słownej,
jak niedziela w piątki
gdy miłość tkwi w grobie.

I z nadzieją w drodze
zaoranej wojną,
kiedy świeci promień
nowym blaskiem wschodu.

Wojna

Czemu żeś ty wojno
wciąż nienasycona
żałabyś bez końca
wiecznie żywych głodna.

Żałabyś i piła
krew chłęptała wściekła
jakby ci kazała
jakaś siła z piekła.

Kto cię wojno spłodził
na taką wychował,
że wciąż żądasz ludzi
na śmierć iść gotowych.

Komu na tym świecie
tak bardzo zależy,



JERZY TRZAJNA

by dla ciebie wojno
bliźni człowiek nie żył.

10.02.2024 r.

Człowieczeństwo

Już więcej jest za mną
wspinam się pod górę
kolejne wzniesienie
przysłania mój szczyt.

Jeszcze nie ostatni
pewnie mam pagórek
idę jednak wolniej
niosąc życie swe.

Najwięcej mi ciąży
moje człowieczeństwo
bo być może mogło
inną drogą iść.

Bo być może
a może zbyt rzadko
pytałem sam siebie
jak mam z życiem żyć.

Jazowiak

Pod koniec swojego samotnego życia
w oczekiwaniu na kilka lepszych chwil
i łyk nadziei z gwinta, codzienne rano,
stał pod sklepem miejscowego Geesu.

Na słowa jak się masz? Po chwili,
z kwaśnym uśmiechem na ustach
i łzami niczym grochy w oczach
odpowiadał, że dobrze.

Jego zmęczona, bladolina pociągła twarz
mówiła więcej.

Bywało, że gdy zdążył już przytłumić
ból swej duszy, zadziornie wspominał,
pamiętasz, jak śpiewaliśmy na ganku
starej poczty, intonując – Na wyspach
kochania, gdzie stanie nasz dom...

Gdzie oni są, ci co tu stali,
gdzieś za mgłą pewnie stoją,
a może mnie tylko tak się zdaje,
że wciąż tu są, gdzieś obok, z nami

On serce miał dobre
i robotę umiał wykonać,
tylko najbliżsi za młodu
za mało go kochali, sądzę.

Wiatry Gruszowa

Na wyniosłym wzgórzu połaci Gruszowa
patrzącym w stronę doliny Dunajca,
widnieją od wieków ludzkie sadyby,
smagane wiatrem, jak wronie gniazda.

Każdego roku w porze przedwiośnia
kiedy po zimie śniegi tajały,
złowieszczy koncert jęków i świstów
mieszkańców wzgórza trwogą napawał.

Nawała wiatrów jęczących groźnie
od białych Tatr i mórz południa,
trwożyła wszystkich nikt nocą nie spał,
zmuszeni domy, stodoły ratować.

Nie jedna strzecha zmieciona wiatrem
zerwane dachy, wyrwane wrota,
świszczący halny podszyty diabłem,
to na przedwiośniu wichrów robota.

Domostwo

Za opuszczonym drewnianym domem,
na którym ugięty starością dach
pamięta minione ulewy i wiatry,
rośnie jak on wiekowy też sad.

W obejściu przycupła zbutwiała obórka
z grzędą, na której nie pieje już kur,
kępami pokrzyw zarosło podwórko
po gospodarzach mieszka ich duch.

I tylko komin rozpruty deszczem
zaświadcza o tym, że płynął nim dym,
szare renety w gałęziach swych gęstwie
skrywają ostatnie owocne im dni.

A gdy w jesień cieplejsze słońce,
promieniem ogrzewa domostwo i sad,
można usłyszeć bażanta w zaroślach,
jak głosi krzykliwie, że życie tu trwa.

Śpij synku

Śpij synku, śpij, ja muszę iść,
noc już widnieje, wygania mnie,
tam muszę być, byś ty mógł żyć,
inaczej jak ja, gdybym tobą był.

Śpij synku, śpij, nabieraj sił
na mnie już czas, daleka droga,
bo kiedyś ty jak dzisiaj ja,

też musisz iść i silnym być.

Śpij synu, śpij, a kiedy wstaniesz
nie płacz przy mamie, że mnie tam nie ma,
zdobędę nam czas, przyjazny wiatr i słodki rogal
byś lepiej miał, jak miałem ja, gdym dzieckiem był.

Przyjacielu

Chcę, jeszcze gościć na ustach twej mowy
i nie unikam polemik wzajemnych,
ale powiedz zwyczajnie prosto
życie to teatr, groteska czy wojna.

Pragnę zrozumieć tak niebanalnie,
jaki jest cel ludzkiego istnienia,
czy tylko po to na ziemi żyjemy,
by ją oszpecać, w pustynię zamieniać.

Nie, nie daję ci rady, jak żyć należy.
każdy z osobna wybiera swą drogę,
wiem jedno pewnie, że dzieje się zbrodnia
na świata obliczu i jego losach.

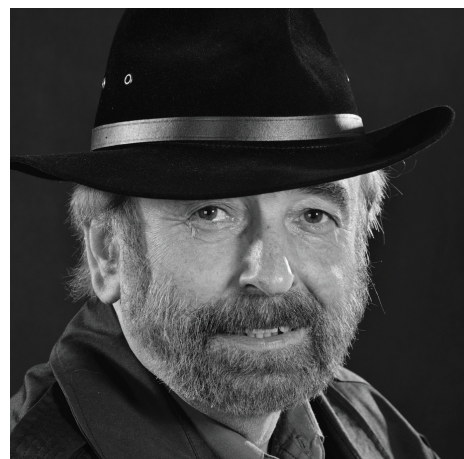
Wierzę też święcie, że ty mnie w tym wspierasz,
by zaprzestano nakręcać sprężynę
ona już dawno straciła prężność
i może spłonąć jak balon z wodorem.

Nocy spokojna

Weź mnie w ramiona ciszy swojej,
myśli odejmij rozedrgane,
niech w niespełnieniu swym
dni spokojniejszych doczekają.

Pomaluj smutne barwy snów na jasne,
promieniem słońca jutro nasze oświeć
i taką mi wizję świata przywróć,
w której nie cierpi żaden człowiek.

4.02.2023 r.



IGNACY S. FIUT

W POGONI ZA ZNACZENIAM I SŁÓW

Tadeusz Hutyra, autor tych dwóch obszernych tomów – "Dom Filozofa" i "Beatrycze, Beatrycze" – tworzy poezję inspirowaną wielką fantazją artystyczną, którą kształtuje w dwóch wymiarach: poezji polskiej i amerykańskiej. Są to typowe fantazje poetyckie. Ponieważ w każdym wierszu podmioty liryczne są takie same, poeta przez cały czas fantazjuje ta temat możliwych relacji między Beatrycze i Korneliuszem, ukazując niekończące się horyzonty zachodzących między nimi związków. Taki dyskurs poetycki w poezji europejskiej jest raczej mało prawdopodobny, natomiast w amerykańskiej jest on często spotykany i stanowi przejaw nieskończonej w tej kulturze wolności słowa. Zastosowany zabieg poetycki w budowie tego typu dyskursu może prowadzić do nieskończonego układu wersyfikacji, a więc staje się on artystycznie mało skuteczny. Pod taki układ można również podłożyć dowolny system eksponowanych tu wartości i interpretacji słów i ich układów.

Tematy i motywy, które tu dominują to przede wszystkim: emigracja, migracja, niekończąca się sieć relacji między podmiotami lirycznymi, co powoduje, że całość utworu jest mało konkluzywna. Zachęca nadto do pogoni za finałem zdarzeń między bohaterami. Wydaje się jednak, że zabiegi wersyfikacyjne i artystyczne Autora są przemyślane i celowe, a chodzi mu o uzyskanie w obszarze swej poezji tzw. „wariabilizmu słownego,” a więc wielowymiarowości tych utworów, by wyjść naprzeciw różnorodnym grupom potencjalnych czytelników. I właśnie z tej przyczyny warto sięgnąć po te tomiki i zapoznać się z zawartymi w nich utworami.

T. Hutyra, „Beatrycze, Beatrycze” i „Dom Filozofa”, USA 2024.



TADEUSZ HUTYRA

PIELGRZYM

Stałem na brzegu Zatoki Orientalnej w sercu Wellingtonu, słynnym od wiatrów
Wiatry, wiatry, muzy piękne, tańczące, tak zwinne jak tancerki i gimnastyczki
Zabierzcie mnie, wzdychałem, do tego kraju dalekiego po drugiej stronie globu
Tam, gdzie inne nieboskłony, tak bliskie mojemu sercu! Bo tęsknię, tak bardzo!

I po cóż mi to było, gdy Pacyfik zimny, nie drgnęła jego tafla, jego struny nieczułe
Hen, aż po dalekie horyzonty, gdzie Słońce kładło się do snu w wodach oceanu
Niby spokojnego jak jego nazwa sugerowała, lecz nie miałem żadnych złudzeń
Bo burzyły się we mnie samym fale, które wpływały we mnie z niego na gwałt.

Ach! Dusilem się! Tonąłem! Na próżno były moje wołania, na próżno błagania
Stałem na tym brzegu, zapomniany. A ojczyzna moja daleko, tam pod stopami!
Tam, po drugiej stronie globu! Słyszałam ją dobrze! Wsłuchiwałem się w nią!
W jej pieśni i w dźwięki Chopina! A serce biło mi głośno, jakbym był w domu!

W takich to chwilach wydawało mi się, że to nie była Nowa Zelandia a Polska
Że ja na jej łonie, ja, wieczny pielgrzym, nareszcie w domu, w kraju ojczystym!
Ale pragnąłem również dostać się do Ameryki, do Nowego Jorku, światła nadziei
W końcu stało się to faktem, Boże, dopiąłem tego! Powrócił spokój życia do mnie.

BEATRYCZE!

/z cyklu Beatrycze & Korneliusz /

Beatrycze! Beatrycze! Gdybym cię miał opisać w księgach życia
To porównałbym cię do olśniewających, gwiazdnych fajerwerków
Do kwiatów otwierających swoje pąki w dżdżyste, słoneczne poranki
Do dźwięków z harfy Appolina, liry Orfeusza i muz im wtórujących.

Twoja twarz emanuje pięknem twojej niepowszedniej kobiecości
Zachwytem życia, mieniącego się serca twego roziskrzonymi brylantami
Uśmiechem nigdy nie schodzącym z twego nadzwyczaj rozjaśnionego lica
Beztruską co niby melodie śpiewane w dziewicze poranki i nocy zorze.

Ile w tobie energii, ile brawury i niczym niezmaconego szczęścia
Ten tylko by tego doświadczył, kto z tobą obcował, ciebie kochał
A któż inny mógłby to poprzysiąc, Beatrycze, na wszystkich świętych
Jak nie ja, Korneliusz, twój anioł, kochanek, wieczny pielgrzym.

Ach, Beatrycze! Kwiecie ty najwspanialszy pod rajskim Słońcem
Ileż ty radości mi przydała, ileż melodii ze strun mego ducha i ciała!
I wiesz, Beatrycze, bogini ty moja, niewiasto z ogrodowych ozdób
Tyś jako chaber bławatek, czermuszka damasceńska, rezedza wonna
Jako groszek pachnący, mak lekarski, smagliczka nadmorska
I jako aksamitka wyniosła, szaławia błyszcząca, lilia tygrysia...
Ach, Beatrycze, Beatrycze, wymieniałbym tak z serca bez końca
Tyś początkiem i końcem, mego życia sednem, wręcz moim życiem, Beatrycze.

DYRYGENT W EKSTAZIE

/Korneliusz do Beatrycze, z cyklu "Beatrycze, Beatrycze"/

Za każdym razem, Beatrycze, kiedy cię muskam swoimi ustami i to w gorączce niesłychanej
Wytryskują ze mnie iskrzące się promienie, takie, że nam wiosną i latem zarazem w Słońcu
Wiesz, muskam raz, jak najbardziej delikatnie, bo ciało twoje aksamitnymi płatkami róży
I smakuję cię na swoim języku, delektując się tobą euforycznie, nie mogąc zaprzestać

I... Boże!, to dźwięki z pianina! *A-dur! C-dur!* Ich całe melodie! I Chopin mi się śni!
Muskam raz drugi a to smyczek i skrzypce! Wyginasz się jak baletnica, a jam tym smyczkiem!
I, Boże, *A-dur! C-dur!* Znowu! Muskam dziesiątki razy i to już jest szalona muzyka
Do tańca naszych gorących ciał i spragnionych siebie serc! Istna symfonia! Filharmonia!

Czy dobrze słyszę i czuję? Muskam raz jeszcze, i raz jeszcze. I nie dowierzam sam sobie
Bo z twojego ciała, pianina, dźwięki bajeczne! Tym bardziej muskam, w szalonym tempie!
A dźwięki te mi nagrodą: *g-moll op. 23, F-dur op. 38, As-dur op. 47, f-moll op. 52*
Boże, czyż to ballady Chopina? Wnet jednak nowe dźwięki, nowe melodie, oddają się im.

Ach! Beatrycze, gdziekolwiek cię musnę, tam dźwięki jakby z Niebios całych, i alleluja!
Każda cząstka ciebie mi harfą, lutnią, wiolonczelą... Dyrygentem jam już z batutą, w ekstazie!

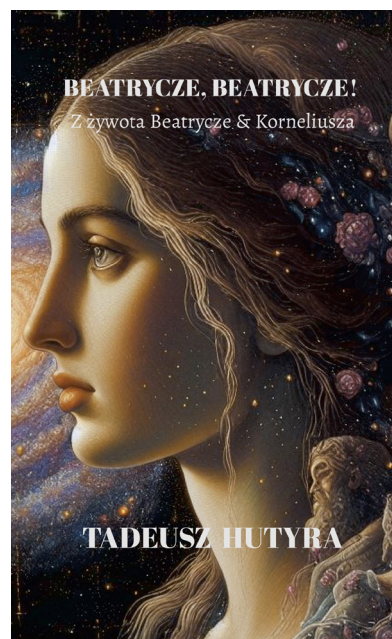
ENIGMA

Sam już nie wiem, czy życie we mnie wrze, czy tylko się tli
Gdyby przeliczyć wszystkie te lata w siedmiomilowe buty
Z całą pewnością byłoby to stukrotne okrążenie Ziemi
A czuję się tak, jakbym astronautą, choć jam, Boże, stąd!

Refleksje krążą we mnie tak, jak planety wokół Słońca
Jak nawet gwiazdy w swoich mgławicach, galaktykach
Niemniej i w cząsteczkach atomów, bozonów, kwarków
Bóg wie, czego jeszcze, poznania nigdy kres, to zapewne!

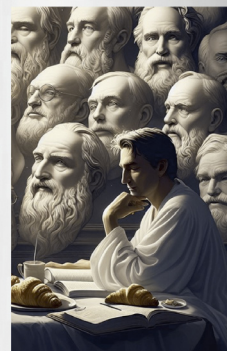
Refleksje drażą się we mnie, płomieniem mi z ogniska
Co albo bucha strzeliście w samo niebo, albo i przygasa
Iskierki niczym moje myśli, kołatające się w mojej głowie
Ach! Spokoju! Tego mi potrzeba w tym szalonym świecie!

Raz burzy się we mnie, jakby fale sztormu rozrywały skałę
To cisza wraca, słonecznie w moim mózgu. Enigma to cała.



Dom Filozofa

Philosophia Deductionis



Tadeusz Hutyra



Wielce Szanowny Panie,

Z uznaniem odebrałem wiadomość o tym, że został Pan laureatem Honorowej Nagrody Kowadła - szczególnego wyróżnienia przyznawanego za dzieła, czyny i postawy szczególnie poruszające środowisko Kuźnicy i zarazem ważne dla polskiego życia społecznego i kulturalnego.

To wyróżnienie o wyjątkowym prestiżu i znaczeniu. Rad jestem, że trafia dziś w ręce wielkiego artysty nierozłącznie związanego z Krakowem.

Niezwykły jest Pański dorobek twórczy, którego owoce znajdujemy w niejednej dziedzinie. W każdej z uprawianych dyscyplin porusza Pan i zachwyca odbiorców sztuki na całym świecie. To bogactwo wyjątkowe i imponujące.

Serdecznie gratulując odbieranej dziś nagrody, proszę o przyjęcie moich wyrazów głębokiego poszanowania dla Pana wyjątkowej pracy.

Nie mogąc osobiście uczestniczyć w zaplanowanym na tę okazję święcie, kieruję je w tej formie wraz z podziękowaniami za zaproszenie i życzeniami udanej uroczystości, a także wszelkiej pomyślności w każdym obszarze życia.

Prezydent Miasta Krakowa

Jacek Majchrowski

"KOWADŁO"

JANUSZOWI TRZEBIATOWSKIEMU

22 marca 2024 roku w siedzibie Stowarzyszenia KUŹNICA w Krakowie odbyła się uroczystość wręczenia szczególnej NAGRODY „KOWADŁO KUŹNICY”.

Laureatem został były prezes: Stowarzyszenia Twórczego Nowa Huta, prezes honorowy Stowarzyszenia Twórczego POLART w Krakowie, Członek ZPAP w Krakowie. Autor niezliczonej ilości proporców, plaketek, ulotek, afiszy i plakatów dla fundacji, stowarzyszeń, instytucji kultury i placówek edukacyjnych. Laureat w 2024 roku obchodzi 70 rocznicę pracy twórczej. Janusz Jutrzenka Trzebiatowski to były prezes krakowskich NGO: Akademickiego Oddziału PTTK, Stowarzyszenia Nowa Huta, Stowarzyszenia Twórczego POLART, wiceprezes Stowarzyszenia Pastelistów Polskich, członek Stowarzyszenia Naukowo-Kulturalnego Kraków, pomysłodawca programu Pracownia dla młodego

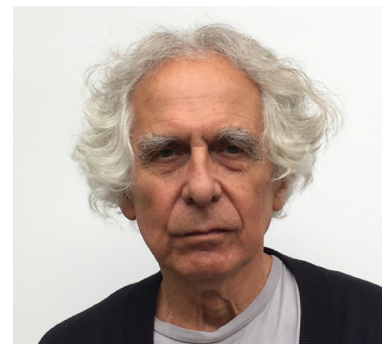
plastyka w Nowej Hucie, radny Nowej Huty, Honorowy Obywatel Miasta Chojnice i Siennicy Różanej, Laureat Nagrody Miasta Krakowa.

Wręczenie nagrody odbyło się w Stowarzyszeniu KUŹNICA w Krakowie. Uroczystość prowadził prezes Stowarzyszenia Paweł Sękowski. Laudację o nagrodzonym przedstawił prof. Bolesław Faron,

Laureat otrzymał specjalny adres od Prezydenta Miasta Krakowa prof. Jacka Majchrowskiego.

Ferdynand Nawratil

WOJCIECH ANTONI SOBCZYŃSKI



WYCIECZKA PO MYŚLACH I W ZADUMIE Z OKAZJI CYKLU WYSTAW KRYSTYNY I JERZEGO NOWAKOWSKICH

Na ścianie przylegającej do krętych schodów w mojej pracowni wiszą trzy starannie oprawione obrazy. Oglądam wszystkie bez wyjątku kiedy codziennie chodzę pomiędzy warsztatem na parterze i antresolą powyżej.

Pierwszy z obrazków jest zdjęciem matki, której zawdzięczam wszystko bez reszty. Drugi, to zdjęcie mojej babki, której miłość do piękna była dla mnie przykładem na całe życie. Do długiej listy dziękczynnej na wrywki zaliczam: świat przyrody i poezji, literatury lub muzyki, znajomość kształtu pospolitego owada, czy też świadomość wielkich dzieł sztuki dostępnych na stronach książek w jej bibliotece. Wertowałem je przed laty i do dzisiaj kartkuję.

Trzecim obrazkiem 'przy schodach' jest malutka grafika Rembrandta* przedstawiająca człowieka przy szczególnej pracy. Patrzę na ten miedzioryt ze specjalnym uczuciem, gdyż opisuje on migawkę z życia przypominającego moje własne i równie podobne do życia moich przyjaciół rzeźbiarzy, o których będzie tutaj mowa.

Rembrandt przedstawia ciemne pomieszczenie. W środku stoi artysta patrzący w skupieniu na swoją pracę, być może odlew w brązie, który wymaga cyzelerskich zabiegów. Spracowaną lewą ręką podtrzymuje on swoje dzieło. Rzeźba przedstawia figurę kobiety z dzieciątkiem na rękę a starsze dziecko garnie się do matczynej spódnicy wyciągając do góry swoje ręce. Matka z czułością przygarnia do siebie starsze dziecko. Jest to przykład charakterystycznego świeckiego tematu macierzyństwa, który w XVII wieku wypłynął ze sztuki religijnej. Rzeźba stoi na dekoracyjnym podwyższeniu. Być może jest to postument będący częścią całości dzieła. Za plecami artysty widać żarzące się palenisko, na którym rzeźbiarz prawdopodobnie rozgrzewał kawałek metalu i teraz wprawia miękki plastyczny materiał korygując powierzchnię dużym młotkiem.

W lewym dolnym rogu ryciny widnieje narzędzie, które spotykane jest tylko w kuźniach i warsztatach odlewniczych. To narzędzie wygląda tak jak płaskie cegi. Służą one do wkładania i wyjmowania przedmiotów wymagających termicznej obróbki. Przypuszczam, że warsztat jest zimny pomimo żaru paleniska. Mężczyzna jest w grubym roboczym stroju i ochronnym fartuchu na szelkach, a ciepła i głęboka czapa osłania jego głowę. Kim jest ten człowiek? Pewnie przyjaciel Rembrandta, który pozostawił po sobie dużą kronikę scen rodzajowych z życia obserwowanego w codziennym otoczeniu. Może był to sąsiadujący rzeźbiarz, którego Rembrandt odwiedzał jako przyjaciela 'po fachu' – artystą – jednym z nas – wtedy i do dzisiaj?

Kiedy zaglądam od czasu do czasu do ukochanego Krakowa staram się odwiedzić podobną zaprzyjaźnioną pracownię, pełną zaczarowanych obiektów pracowitego twórczego życia. Rzeźby stoją wszędzie. Duże kompozycje wypełniają parter pracowni. Malutkie projekty widnieją na półkach. Pod ścianami mieszczą się stoły, a na nich leżą różnorodne narzędzia, maszyny, materiały do obróbki. Każdy zakamarek ma swoje przeznaczenie i funkcję. Gospodarzami tej niezwykłej przestrzeni jest dwoje artystów rzeźbiarzy: Krystyna i Jerzy Nowakowscy. Opisywane wcześniej mały fragment XVII-wiecznego warsztatu pracy artysty z ryciny Rembrandta jest znacznie mniejszy w rozmiarach, a jednak wszystkie podstawowe aspekty twórczo – technologiczne pozostają niezmiennie do dzisiaj. Różnica leży jedynie w stylu i ornamentacji. Minęły już ponad trzy stulecia od czasu kiedy Rembrandt pochylał się nad malutką płytką wypolerowanej miedzi i mozolnie grawerował zamierzony rysunek. Wprawdzie stylistyka współczesna jest dzisiaj inna lecz wspólnym mianownikiem na przestrzeni wieków jest 'twórcza praca'.

U Nowakowskich, podobnie jak u mnie, zaproszony gość podąża za gospodarzami wąskimi schodami na górę. Tam, przy dobrej kawie rozmowa zawsze toczy się wartkim tempem, czasem o sztuce i projektach, to znowu o sprawach świata i współczesności, przeskakując inne kwestie jak sprinter na torze z przeszkodami. Lekkoatleci określają czasami bieg na 800 metrów jako bieg przez mękę. Mówią, że 100, 200 lub 400 metrów jest do wytrzymania, ale każda następna przeszkoda, każdy dalszy metr biegu jest ponad siły.



*Moja reprodukcja Rembrandta ukazuje się za zezwoleniem właściciela oryginału. **informacja zaczerpnięta z książki p.t. Rembradt Gravures: Oeuvre Complet „Złotnik” – 1655, miedzioryt, sucha igła i aqua forte, 7.7 x 5.6

Jakiś czas wcześniej Nowakowscy zostali zaproszeni do wielkiego wyścigu z czasem, którym była wspólna retrospektywna wystawa. W dodatku pokaz planowano w trzech osobnych przestrzeniach wystawienniczych wymagających osobnej aranżacji. Sumując – można powiedzieć, że Jurek i Krystyna pracowali nad sześcioma wystawami jednocześnie – prawdziwy maraton.

Jesienią ubiegłego roku Nowakowscy zblizali się do mety. Widziałem ich miesiąc przed otwarciem. 14 listopada zaplanowane było uroczyste otwarcie pierwszej z cyklu wystawy w Akademii Sztuk Pięknych. 15 listopada w Uniwersytecie Ekonomicznym a 16 w Nowohuckim Centrum Kultury 'Biała Galeria – CENTRUM'. Niestety, żałuję bardzo, że nie byłem na uroczystym otwarciu ale w duchu i z daleka śledziłem wydarzenia. Podziwiałem i życzyłem sukcesu, bo rozumiem z jak kolosalnym wysiłkiem wiąże się takie przedsięwzięcie. Zadanie, nad którym pracowali zespołowo już ponad rok.

Organizatorzy zaprosili Krystynę i Jerzego razem. We dwoje stanowią nierozłączny filar artystycznego życia w Krakowie od wczesnych studenckich lat. Ich wspólnota jest czymś większym – jest 'szersza i wyższa' niż fizyczne wymiary ich dzieł w sensie rzeźbiarskim. Oni są zespołem, który podwójnie spełnia niezbędne kryteria kwalifikujące do udziału. Wydarzenie planowane było w ramach już dziesiątej edycji „Przestrzeni dla Sztuki”, zainicjowanej w 2012 roku przez prof. dr hab. Jerzego Hausnera. Ten cykl wystawienniczy stał się cennym i prestiżowym wydarzeniem kulturalnym poszerzającym bogatą panoramę artystycznego Krakowa. Centrum Kultury w Nowej Hucie i jego dyrektor Zbigniew Grzyb ma w nim wiodącą rolę nadzorując co roku potrójne odsłonięcia. Władze obydwu uczelni, studenci i szeroka publiczność mają okazję do dogłębnego zapoznania się z twórczością specjalnie wybranych osobowości świata sztuk pięknych.

Swoistą 'przestrzeń dla sztuki' Jurek i Krystyna dzielą na co dzień, współpracując pod jednym dachem we wspomnianej pracowni. Pracują osobno i niezależnie, lecz prowadzą bez wątplenia niezbędny dialog myśli twórczej zachowując wzajemną autonomię.

Już sam tytuł wystawy „Introwersus – Extrowersus – Ukryty wymiar” zawiera pierwsze prowokujące publiczne zwierzenie współpracującej pary. Nowakowscy – jak pacjenci na przysłowiowej kanapie u psychoanalityka, ujawniają swoje wnętrza dzieląc się z nami swoją bogatą twórczością. Taka jest przecież rola wystaw artystycznych, które zapraszają widzów – przyjdźcie, popatrzcie – tu jest nasza praca, tu jest zasadnicza część naszego życia. Nie ulega wątpliwości, że oboje przeżyli wiele i zacerpnęli również wiele z okresu niedawnej historii. Urodzeni i wykształceni w Polsce lat powojennych przetrwali pokonując na swoim torze życia wszelkie przeszkody z zachowaniem godności ludzi dobrej woli. Niektóre tytuły dzieł Jurka z tego okresu wyraźnie określają rozterkę i niepokój związany z kryzysem w polskim społeczeństwie. „Wysockiemu” (1981), „Cykl kontemplacyjny – Człowiek” (1981) „Skrepowana rzeczywistość” (1982). Ww sekwencję dramatycznych przemysłów zaczynają wkładać się tytuły nowych myśli „Uwolnienie” (1988), piękna i dramatyczna rzeźba, zwiastun nowej rzeczywistości. Podobną ewolucję kryzysowego pesymizmu widzę w pracach Krystyny: „Wolne miejsce” (1986) – to obraz bezimiennych grupy ludzi, a obok stoi puste krzesło. Oglądając, zadaję sobie pytanie postawione przez Krystynę: Kto tam usiadzie? Czy stary, czy słaby, czy też człowiek co stracił skrupuły i godność? Obok widzę rzeźbę Krystyny p.t. „Siła życia” (1988), w której człekokształtne podpory podtrzymują drzewo. Jego wszystkie gałęzie są obciążone, a jednak powstaje nowa gałąź bo odradza się nowe życie dzięki witalnym siłom tych co nadal podpierają, ci zaangażowani, godni zaufania. To kolejny przykład spójności myślenia obojga artystów.

Okres dynamicznej transformacji polskiego życia po 1989 roku otworzył Jurkowi Nowakowskiemu nowe perspektywy, konsolidując jego zaangażowanie dydaktyczne w życiu Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, oraz społeczne w wielce zasłużonym

Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych. Pojawił się też rynek wystawienniczy i kolekcjonerski z małym, ale stale rosnącym patronatem. Wydaje mi się, że oboje artyści mają swoich stałych kolekcjonerów.

Krystyna zdobyła uznanie publiczności intymnymi kompozycjami, w których współczesna kobieta stanowi oś rozważań. Są wśród nich kobiety tańczące, anioły, szalone bachantki i „Nostalgia” (2010), kobieta współczesna świadoma swojej wartości. Jurek Nowakowski znalazł odbiorcę wśród znawców małych form rzeźbiarskich, a szczególnie w medalierstwie i tablicach pamiątkowych robionych na rzecz znaczących instytucji. Jest to szczególna specjalizacja wymagająca zbieżności wielu umiejętności: rzeźbiarskiej koncepcji, komunikatywnego wyrazu, technologicznych rozwiązań, liternictwa. Konkretnie zamówienia zobowiązują do ścisłej dyscypliny pracy, utrzymanie harmonogramu, gwarantowanego rezultatu. Szukając przeciwwagi, Jurek ucieka do wolnych i nieskrępowanych kompozycji, z których „Przejście” (1997) sygnalizuje początek ciekawych poszukiwań formalnych. Są „Introwersje” (1996 – 1998, pastel na papierze), będące odskocznią od mocno osadzonego tematu kompozycyjnego w rzeźbach, w których sferyczne kształty otwierają swoje wnętrza dając pole do wielorakich narracji. Widać w nich formalne podobieństwa do medalierskich prac Jerzego, gdzie przecięte koło jest jednym z ulubionych kompozycyjnych rozwiązań. Na końcu katalogu pojawiają się dwie prace, które oglądam ze szczególną uwagą – „Pejzaz horyzontalny” (2021), dyptyk w brązie, miedzi i alpaka. Piękny obiekt, który ma w sobie element metalowego kolażu i przemawia do widza zagadkową 'procesją' maszerujących kształtów. Ostatnią pracą w katalogu jest praca w drewnie nazwana „A w Oczekiwaniu – Nadzieja” (2022). To są wysokie pionory. Ich biała wertykalność przecina rytmiczny system przeciwstawnych cięć. Jeden z pionów jest zachwiany, już nadcięty, może nawet zaraz runie. Padnie z łoskotem jak wieża z klocków. Najwyższy z nich jest wyjątkowy w barwach błękitu i żółci. Wiemy o czym Jurek myślał kreując ten obiekt. Niech ta wieża przetrwa. Niech nie upadnie.

Dominującym materiałem rzeźbiarskim obojga artystów jest brąz, jedna z najszlachetniejszych technik, sięgająca tradycją do początków cywilizacji. Dzięki trwałości rzeźb wykonanych w tej technice, Krystyna i Jerzy Nowakowscy wpisują się w karty historii.

Z żalem przyznaję, że nie widziałem osobiście wystaw „Przestrzeń dla Sztuki” i skreślając niniejsze słowa na temat autorów, ich historii i dorobku opieram się na wcześniejszych materiałach, wizytach w pracowni oraz, ponad wszystko, na znakomicie zredagowanym katalogu. Śledziłem jednak rozwój wydarzeń z odległego Londynu, korzystając z bogatej kroniki zdjęć udostępnionych przez artystów. Podziwiałem zawiłą choreografię ekspozycji, która zdołała zachować czytelność dorobku obydwu indywidualności, utrzymując równowagę jakościową.

Cieszę się, że uroczyste otwarcie zaszczyliło artystów obecnością najwyższych dostojników władz miasta i współpracujących uczelni. Wprawdzie wystawa jest już zamknięta, ale wspomniany katalog 10–tego wydania cyklu „Przestrzeni dla Sztuki” wpisuje Krystynę i Jerzego Nowakowskich w poczet ich znakomitych poprzedników: Paulina Wojtynę, Janiny Kraupe, Janusza Tarabulę, Stefana Gierowskiego, Leszka Misiaka, Franciszka Bunscha, Ryszarda Otrębę, Teresę Kotkowską–Rzepecką i Jacka Waltosia – wielkie brawa!

Wielkie 'rendez vous' z historią przemija. Po wystawie wraca codzienność. Kiedy następnym razem zawitam do kantorku ponad pracownią Nowakowskich wiem, że niezmiennie zobaczę pochylone nad pracą głowy, cierpliwie przekształcające ulotne myśli w konkretne piękno materii... To artyści – tak jak to robił Rembrandt i złotnik z jego ryciny, dawniej i do dzisiaj.

**Redaktor Naczelny:**

Joanna Krupińska-Trzebiatowska
e– mail: joanna.kt@poczta.fm
tel. 12 429 70 40

**Sekretarz Redakcji:**

Barbara Korta-Wyrzycka
e– mail: barbarawyrzycka@gmail.com

**Sekretarz Redakcji:**

Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska
e– mail: trzebiatowska.izabela@poczta.fm

Wydawca:

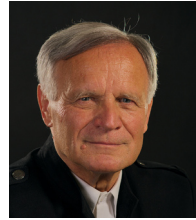
Janusz Trzebiatowski
Stowarzyszenie Twórcze POLART
<http://polart-stowarzyszenie.pl/>

ISSN 1731– 9668

ISBN: 83– 8664855 –11– 6



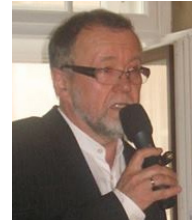
Józef Baran,



Bolesław Faron,



Ignacy S. Fiut,



Wacław Krupiński,

Kolegium Redakcyjne

Irena Kaczmarczyk,



Ferdynand Nawratil,



Tadeusz Skoczek,



Marek Sołtysik

Redakcja:

30-250 Kraków, ul. Gajówka 25
tel. 12 4297040

Korekta:

Barbara Korta– Wyrzycka

Skład i łamanie tekstu:

Joanna Krupińska-Trzebiatowska

Okładka:

str.2 i 3 Krystyna Nowakowska, rzeźba

Zdjęcia:

Izabela Jutrzenka-Trzebiatowska

Andrzej Makuch

Adam Mikołajczyk

Wojciech A. Sobczyński

Kaja Solecka

Adam Wojnar

Jan Zych

Andrzej Ziębliński

Druk:

Drukarnia Cyfrowa Eikon

Naukowa Rada Redakcyjna:

dr Edward Chudziński

prof. dr hab. Stefan Dousa

prof. dr hab. Bolesław Faron

prof. dr hab. Ignacy St.Fiut

prof. dr hab. Józef Lipiec

prof. dr hab. Ewa Okoń– Horodyńska

prof. dr hab. Jerzy Nowakowski

prof. dr hab Elżbieta Stefańska– Kłyś

prof. dr hab. Zdzisława Tołłoczko

prof. dr hab. Andrzej Ziębliński

Numer konta:

Stowarzyszenie Twórcze POLART
30– 250 Kraków, ul. Gajówka 25 A
40 1240 4533 1111 0010 3142 4771



Krystyna Nowakowska - DOBRANA PARA, brąz, wys. 61 cm, 2022

